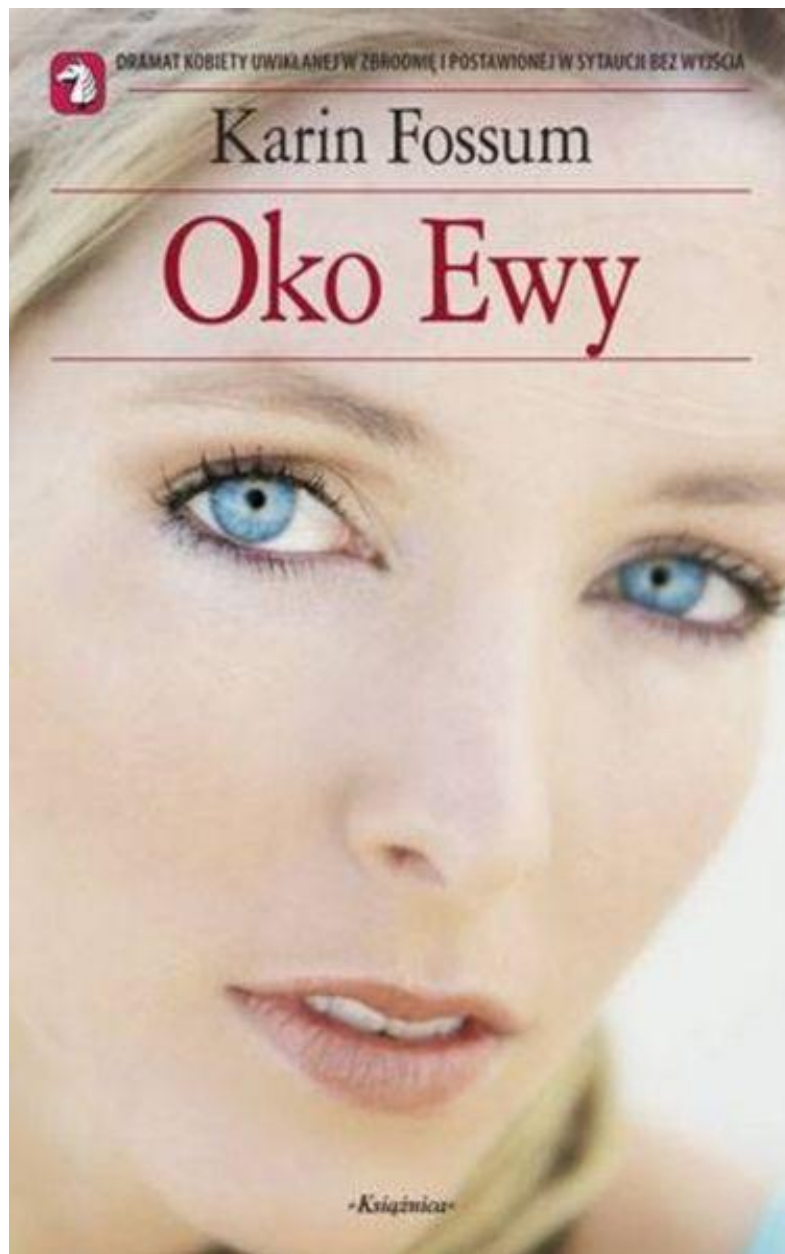




KARIN FOSSUM

OKO EWY

Przełożyła z norweskiego Maria Gołębiewska-Bijak



To był domek do zabawy dla dzieci.

Malutka chatka o czerwonych parapetach, w oknach koronkowe firanki. Zatrzymał się w pewnej odległości i zaczął nastuchiwać, lecz nie zarejestrował żadnych dźwięków poza dyszeniem psa obok i lekkim szumem w gałęziach starych jabłoni. Czuł, że wilgoć trawy przenika przez podeszwy butów, a serce zwalnia rytm po pościgu przez ogród. Pies patrzył na niego i czekał. Z wielkiego pyska buchała para, nos węszył lekko w ciemnościach, uszy drżały. Być może, dotarli doń z wnętrza dźwięki nieuchwytnie dla człowieka. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na willę, której okna świeciły ciepłym, spokojnym blaskiem. Nikt nic nie usłyszał, nawet szczekania psa. Na ulicy zostawił zaparkowany dwoma kołami na chodniku samochód z otwartymi drzwiami.

Ona się boi psa, pomyślał ze zdziwieniem. Pochylił się, chwycił za obróżę i wolnym krokiem podszedł do ganku. Taki mały domek na pewno miał tylko jedno wejście, i to bez zamka. Musiała jej teraz, może właśnie gdy zatrząskiwały się drzwi, przyjść do głowy myśl, że wpadła w pułapkę. Bez wyjścia. Nie miała szans.

Tinghuset był lekko wyoblonym, siedmiopiętrowym budynkiem z szarego betonu. Jak potężny wiatrochron stał tuż przy głównej ulicy miasta i łagodził impet lodowatych podmuchów znad rzeki. Swoją masą osłaniał położone z tyłu baraki. Zimą było to błogosławieństwo, latem natomiast prażyły się w nieruchomym powietrzu. Fasadę nad wejściem przyozdabiała nowoczesna postać Sprawiedliwości. Z daleka, gdy się na przykład stało przy stacji Statoilu, przypominała raczej wiedźmę na miotle. Komenda Policji i Więzienie Okręgowe dysponowały trzema najwyższymi piętrami i dodatkowo objęły w posiadanie baraki.

Drzwi otworzyły się na oścież jakby z jękiem niezadowolenia. Brenningenowa drgnęła i postawiła palec w książce na słowach „nadmierne prawdopodobieństwo”. Podkomisarz Sejer wkroczył do holu. Obok niego szła kobieta w porwanym płaszczu i spódnicy, z raną na brodzie i zakrwawionymi ustami. Sprawiała wrażenie kompletnie wyczerpanej. Brenningenowa nie poświęcała zazwyczaj wchodzącym szczególnej uwagi. Siedziała w recepcji od siedemnastu lat i tyle się już tu zdążyło przewinać najróżniejszych typów, że dość się naoglądała. Teraz jednak po prostu nie mogła opanować ciekawości, toteż wetknęła pomiędzy kartki stary rozkład jazdy autobusów i zamknęła książkę. Sejer położył rękę na ramieniu kobiety i wprowadził ją do windy. Weszła ze spuszczoną głową. A potem drzwi się zatrzasnęły.

Sejer miał nieprzeniknioną twarz. Nie można z niej było odczytać myśli. Dlatego robił wrażenie odpychającego, choć w rzeczywistości jedynie zachowywał dystans, a za surowymi rysami kryła się stosunkowo przyjazna dusza. Tyle że nie obdarzał każdego na prawo i lewo ciepłym uśmiechem.

Używał go wyłącznie do nawiązania kontaktu, gdy czegoś od kogoś potrzebował. Natomiast słowa pochwały były zastrzeżone dla nielicznych.

Zamknął drzwi i skinął głową w kierunku krzesła. Następnie wyciągnął z pojemnika nad umywalką pół metra papierowego ręcznika, zwilżył go ciepłą wodą i podał kobiecie. Wytarła nim krew wokół ust i rozejrzała się po pokoju. Był dość skromnie umeblowany, natomiast jej uwagę zwróciły dziecięce rysunki na ścianie i figurka z masy solnej na biurku, które zdradzały, że poza tymi gołymi ścianami podkomisarz rzeczywiście ma jakieś życie prywatne. Postać przedstawiała lekko skurczonego policjanta w fioletowoniebieskim uniformie i zbyt dużych butach, z brzuchem sięgającym kolan. Nie przypominała specjalnie pierwowzoru, który właśnie siadł naprzeciwko i przyglądał się jej z powagą w szarych oczach. Na biurku stał magnetofon kasetowy i komputer marki Compaq. Kobieta zerknęła na nie spod oka i ukryła twarz w wilgotnym papierze. Sejer nie ponaglał. Wyjął z szuflady kasetę i zanotował na nalepce: Ewa Maria Magnus.

— Czy pani boi się psów? — spytał łagodnym tonem.

— Może dawniej — odparła, podnosząc wzrok. — Teraz już nie.

Zmiała papierowy ręcznik w kulkę.

— Przedtem byle co mogło mnie przestraszyć. Teraz nie boję się niczego.

*

Był zimny kwiecień. Rzeka podzieliła krajobraz na pół i zziębnięte miasto rozpadło się na dwie szczękające zębami części. Dokładnie w miejscu gdzie docierała do śródmieścia, w pobliżu Szpitala Centralnego, zaczynała się skarżyć i szumieć, jakby napór ulicznego ruchu i hałas przybrzeżnych zakładów przemysłowych ją niepokoił i denerwował. Płynąc przez miasto, coraz gwałtowniej zakręcała i jej nurt stawał się bardziej wartki. Mijała stary teatr i budynek Domu Ludowego, płynęła wzdłuż torów kolejowych i dalej, obok rynku, do wiekowej Giełdy, która obecnie stała się restauracją McDonalda, do uroczo pastelowo szarego browaru, zresztą naj-

starszego w kraju, do marketu Cash & Carry, pod most na autostradzie, obok ogromnych terenów przemysłowych z licznymi salonami samochodowymi — i na koniec ku staremu przydrożnemu zajazdowi. Tam wreszcie wydawała ostatnie tchnienie i uchodziła do morza.

Było późne popołudnie, słońce już zachodziło i wkrótce browar z bezbarwnego olbrzyma miał się zamienić w bajkowy zamek, oświetlony tysiącem blasków odbijających się w rzece. Dopiero po zapadnięciu zmroku to miasto stawało się piękne.

Ewa podążała wzrokiem za dziewczynką biegnącą brzegiem. Odległość między nimi nie przekraczała dziesięciu metrów i kobieta starała się jej nie zwiększać. Dzień był szary i na ścieżkach spotykało się niewielu ludzi. Od wzburzonej rzeki szedł lodowaty powiew. Rozglądała się za wyprowadzającymi psy i gdy spotkała kogoś ze zwierzakiem spuszczonej ze smyczy, nie odetchnęła spokojnie, póki ich obie nie minęły. W tej chwili nie groziło im niebezpieczeństwo. Wiatr przenikał przez cienki wełniany sweterek, toteż skuliła ramiona i skrzyżowała ręce na piersi. Emma podskakiwała nieopodal radośnie, choć bez szczególnego wdzięku. Mały grubasek z szerokimi ustami i kwadratową buzią. Rude włosy objęły się o kark, a wilgoć w powietrzu sprawiała, że wyglądały na przetłuszczone. Nie była słodką, śliczną dziewczynką, ale nie wiedząc o tym, mogła beztrąsko podskakiwać tanecznym krokiem pozbawionym elegancji, za to zdradzającym właściwą wszystkim dzieciom chęć do życia. Za cztery miesiące, w sierpniu, pójdzie do szkoły, pomyślała Ewa. Pewnego dnia ujrzy swe odbicie w krytycznych spojrzeniach innych uczniów i po raz pierwszy zda sobie sprawę ze swojego wyglądu. Jeśli jednak ma w sobie siłę, jeśli jest podobna do ojca, który znalazł sobie inną, po prostu spakował manatki i odszedł, nie poświęci temu ani jednej myśli. O tym to dumiała Ewa Magnus, spacerując nad rzeką. O tym i o płaszczu, który został na wieszaku w przedpokoju.

Znała każdą nierówność na tej ścieżce. To Emma nie chciała zrezygnować ze starego przyzwyczajenia, jakim była przechadzka nad rzeką. Ewa mogłaby się bez tych spacerów doskonale obejść. Co jakiś czas córka zniknęła z pola widzenia, by pomyszkować tuż nad wodą, bo akurat dostrzegła tam coś, co trzeba było dokładniej zbadać. Ewa obserwowała ją ja-

strzębim wzrokiem. Gdyby mała wpadła do wody, nikt inny by jej nie uratował. Rzeka była wezbrana, fale lodowate, a dziewczynka ciężka. Ewa wzdrygnęła się na tę myśl.

Emma właśnie znalazła nad wodą płaski kamień i pomachała mamie, wzywając ją do siebie. Ewa zeszła na brzeg. Miejsca starczyło akurat na tyle, by obie mogły usiąść.

—Nie możemy tu siedzieć, kamień jest mokry. Zaziębimy sobie pęcherz.

—Czy to coś groźnego?

—Nie, tylko kłopotliwe. Swędzi i ciągle chce się siusiu. Siadły jednak. Śledziły wzrokiem fale.

—Skąd się biorą wiry w rzece? — spytała Emma.

— Sama nie wiem — odpowiedziała Ewa po chwili milczenia. — Może ma to coś wspólnego z dnem. Na tylu sprawach się nie znam. Będiesz się o tym uczyć w szkole.

— Zawsze tak mówisz, kiedy nie umiesz odpowiedzieć.

— Zgoda, ale to prawda. W każdym razie możesz się o to zapytać swojej pani. Panie nauczycielki wiedzą dużo więcej ode mnie.

— Nie wierzę.

Właśnie nadpłynęła z dużą prędkością pusta plastikowa butelka.

— Wyciągnij ją, mamó! Będzie moja!

—Pfuj, zostaw! Niech sobie płynie, to śmieć. Zmarzłam, może już pójdziemy do domu?

—Jeszcze trochę, mamó.

Emma założyła włosy za uszy i oparła brodę na kolanach. Sztywne kosmyki nie poddawały się łatwo i co chwila zasłaniały oczy.

—Czy tu jest bardzo głęboko? — Kiwnęła głową w kierunku środka rzeki.

—Nie, właściwie nie bardzo — odparła cicho Ewa.

— Przypuszczam, że jakieś osiem, dziewięć metrów.

—Strasznie głęboko!

—Nie, nie tak strasznie. Największa głębia na świecie znajduje się gdzieś na Pacyfiku — mówiła zamyślona Ewa.

— Taki rów. Ma jedenaście tysięcy metrów. To jest moim zdaniem strasznie głęboko.

— Nie chciałabym się tam kąpać... Wiesz tyle różnych rzeczy, mamó. Myślę, że pani nauczycielka tego wszystkiego nie wie. Chcę mieć różowy tornister — dodała.

Ewę przeszedł dreszcz.

—Hm... — odezwała się. — Owszem, różowe są ładne. Ale bardzo szybko się brudzą. Wolę brązowe, ze skóry. Widziałaś je? Takie dla starszych uczniów.

—Nie jestem starsza. Idę dopiero do pierwszej klasy!

—Tak, ale urośniesz, a nie możesz co roku dostawać nowego tornistra.

—Ale już się nam lepiej powodzi, prawda?

Ewa nie odpowiedziała. Pytanie spowodowało, że prędko spojrzała za siebie. Taki zwyczaj sobie ostatnio przyswoiła. Emma znalazła jakiś patyk i wetknęła go do wody.

— Skąd się bierze piana na wodzie, mamó? — rzuciła następne pytanie, siekąc gałązką powierzchnię. — Żółta, paskudna piana? Mam się spytać w szkole?

Ewa milczała dalej. Ona także oparła brodę na kolanach i zatopiła się w myślach. Kątem oka niewyraźnie dostrzegała Emmę. Rzeka coś jej przypominała. W ciemnych falach migąła jakaś okrągła twarz ze szparkami oczu pod czarnymi brwiami.

...Połóż się na łóżku, Ewo. Co takiego? Po co?

Po prostu zrób, jak mówię. Połóż się na łóżku...

—Pójdziemy do McDonalda? — spytała nagle Emma.

—Słucham? Ach tak, owszem, możemy. Tam przynajmniej jest ciepło.

Wstała, trochę nieobecna duchem, i wzięła dziecko za rękę. Potrząsnęła głową, wpatrując się w rzekę. Widziadło zniknęło, ale na pewno znowu się pojawi, może będzie ją prześladować do końca życia. Wspięły się z po-

wrotem na ścieżkę i ruszyły powoli w kierunku miasta. Nie spotkały po drodze nikogo.

Myśli Ewy rozpraszały się, biegly własnymi torami i zaczepiały o to, o czym najchętniej by zapomniała. Szum rzeki wywoływał szereg niewyraźnych obrazów. Czekala, aż odzyska spokój. Tymczasem dni mijały, a dodawane do siebie zamieniły się w pół roku.

—Dostanę hamburgera z prezentem? Kosztuje trzydzieści siedem koron, a mnie brakuje Aladyna.

—Dobrze.

—A ty, mamó? Co weźmiesz? Kurczaka?

—Jeszcze nie wiem.

Znowu wpatrywała się w czerń wody. Na myśl o jedzeniu robiło się jej niedobrze. Nie była głodna. Powierzchnia wody falowała pod szarozółtą warstwą piany.

—Mamy teraz więcej pieniędzy, mamó, prawda? Możemy jeść, co się nam podoba?

Ewa milczała. Stała nagle i zacisnęła gwałtownie powieki. Tuż pod wodą pojawiło się coś bladoszarego. Unosiło się bezwładnie, spychane ku brzegowi przez wartki nurt. Tak bardzo zajął ją ten widok, że zapomniała o córce, która także się zatrzymała, a wzrok miała lepszy od niej.

—Człowiek! — krzyknęła Emma prawie bez tchu. Przywarła do ramienia matki, a oczy mało nie wyskoczyły jej z orbit. Przez kilka sekund stały jak przygwożdżone do ścieżki, wpatrując się w nasiąkniętą wodą, rozkładające się ciało, które lawirowało między kamieniami głową do przodu. Topielec leżał na brzuchu i przez cienkie włosy na potylicy widać było kawałek łysiny. Ewa nie czuła wpijających się w ramię paznokci, obserwowała zwłoki i zmierzwióne blond włosy, nie przypominając sobie, by je kiedykolwiek widziała. Natomiast adidas w białe i granatowe paski, z cholewką... w ustach poczuła smak krwi.

—To człowiek — powtórzyła Emma ciszej. Ewa zdusiła w gardle krzyk.

—Utopił się, biedaczysko. Utonął, Emmo.

—Czemu on tak wstrętnie wygląda? Jak galareta?

— Bo... bo to... — wyjąkała Ewa — to się stało dawno temu.

Zagryzła wargi tak mocno, że skóra pękła, a smak krwi sprawił, że się zachwiała.

— Wyłowimy go?

— Coś ty! Tym się musi zająć policja.

— Zadzwońisz do nich?

Ewa objęła szerokie plecy córki i potykając się, odeszła kawałek dalej. Obejrzała się jeszcze raz ukradkiem za siebie, jakby w oczekiwaniu ataku, nie wiedząc jedynie, z której strony ma się go spodziewać. Przy wjeździe na most stała budka telefoniczna. Ciągnęła córkę w tamtym kierunku, szukając jednocześnie po kieszeniach spódnicy drobnych. Znalazła piątkę. Obraz zwłok migotał przed oczami jak ostrzeżenie, jak zapowiedź wszystkiego, co się zdarzy. Zdołała już odzyskać spokój, czas pokrył wszystko kurzem i koszmar zbladł, a teraz serce pod swetrem dudniło na nowo szalonym rytmem. Emma milczała. Dreptała za matką, a z jej szarych oczu wyzierał strach.

— Stój tutaj. Zadzwońię na policję i powiem, żeby go zabrali. Nie odchodź nigdzie!

— Zaczekamy na nich?

— Nie, nie zaczekamy!

Weszła do budki, z trudem opanowując panikę. Przez głowę przebiegały jeden za drugim pomysły i wybiegi, lecz odrzucała je po kolei. W końcu powzięła decyzję. Wilgotnymi od potu palcami wrzuciła piątkę do otworu i prędko wystukała numer. Ojciec odezwał się nieobecny głosem, jakby go wyrwała ze snu.

— Tu Ewa — wyszeptała. — Obudziłam cię?

— Owszem, ale to dobrze — mruknął w odpowiedzi. — Niedługo będę przesypiał całą dobę. Co się stało? Jesteś zdenerwowana. Słyszę to. Przecież cię znam.

Jego głos, choć suchy i chropawy, zachował dawną ostrość, którą tak kochała. Był jak szpilka, która spinała ją z rzeczywistością.

— Nie, nic takiego. Wybieramy się z Emmą coś zjeść i przechodziłyśmy właśnie koło budki.

—To daj ją tutaj!

—No... nie da rady. Jest nad rzeką.

Obserwowała malejące cyfry w okienku automatu, rzuciła szybkie spojrzenie na córkę, przyciskającą nosek do szklanych drzwi. Rozpłaszczył się jak marcepanowa kulka. Czy słyszała treść rozmowy?

— Nie mam więcej drobnych. Wpadniemy do ciebie któregoś dnia, jeśli masz ochotę.

—Czemu mówisz szeptem? — spytał podejrzliwie.

—Szeptem? — odparła trochę głośniej.

— Uściskaj moją wnusię. Mam coś dla niej. Dostanie, jak mnie odwiedzicie.

— Co takiego?

— Nowy tornister. Będzie go przecież potrzebowała na jesieni. Pomyślałem, że wezmę na siebie ten wydatek, i tak nie jest ci lekko.

Gdyby wiedział, do jakiego stopnia!

—To miło z twojej strony, tato — odrzekła głośno — ale ona dokładnie wie, o jaki jej chodzi. Będzie go można wymienić?

—Pewnie tak, ale kupiłem właśnie taki, jak trzeba. Różowy.

—Muszę już kończyć, tato — zniżyła głos do normalnego tonu. — Pieniądze się skończyły. Uważaj na siebie!

Dało się słyszeć buczenie, cyferki stanęły i połączenie zostało przerwane.

Emma przyglądała się jej z napięciem.

— Kiedy przyjadą? Zaraz?

—Tak. Wyślą samochód. Chodź, pójdziemy coś zjeść. Zadzwoń do nas w razie czego, ale myślę, że nie będą musieli z nami rozmawiać, przynajmniej nie od razu. Może później nawiążą z nami kontakt. Nie mamy z tym przecież właściwie nic wspólnego, prawda? — mówiła gorączkowo, prawie bez tchu.

—Nie mogłybyśmy poczekać, aż przyjadą? Mamo, proszę!

Ewa potrząsnęła głową. Ciągnąc za sobą córkę, przebiegła jezdnię na czerwonym świetle. Trudno o mniej dobraną parę: Ewa, wysoka, szczupła, wąska w ramionach, ciemnowłosa — i Emma, gruba, pleczysta, kołysząca

się na krzywych nogach. Marzły, niezależnie od różnic, obie jednakowo. Całe miasto przenikał chłód idący od rzeki. Cóż za brak harmonii, pomyślała Ewa. W tym rozpołowionym rzeką ludzkim siedlisku nigdy nie mieszkało szczęście. Obie części walczyły ze sobą o pozycję. Północna, z kościołem, kinem i najdroższymi butikami, i południowa, z linią kolejową, supermarketami, pubami i sklepami monopolowymi. Te ostatnie miały swoją wagę, zapewniały stały przepływ ludzi i samochodów przez most.

— Mamo, dlaczego on się utopił? — Emma wpatrywała się w twarz matki w oczekiwaniu na wyjaśnienie.

— Nie wiem. Może był pijany i zsunął się do rzeki.

— Może łowił ryby i wypadł z łódki. Powinien mieć na sobie kamizelkę ratunkową. Był stary?

— Nie tak bardzo. Może w wieku taty.

— Tata umie pływać — stwierdziła uspokojona Emma. Dotarły do pomalowanych na zielono drzwi McDonal-

da. Emma oparła się o nie brzuchem i pchnęła do przodu. Dochodzące z wnętrza zapachy hamburgerów i frytek gnały ją naprzód. Jej apetyt nigdy nie słabł. Zapomniała o topielcu i ciemnych stronach życia. Burczało jej w brzuchu, a Aladyn znalazł się w zasięgu ręki.

— Znajdź jakiś stolik, Emmo, sama kupię, co trzeba. Dziewczynka jak zwykle poszła w kąt sali i siadła pod

kwitnącym drzewkiem plastikowego migdałowca, Ewa zaś ustawiła się w kolejce. Próbowwała uwolnić się od napływającego wciąż przed oczy widoku, ale daremnie. Czy Emma zapomni, czy też zacznie to wszystkim rozpowiadać? Może będzie się jej śnił po nocach? Muszą to pokryć milczeniem, nie wspominać więcej o tym zdarzeniu, a w końcu uwierzy, że nigdy nie miało miejsca.

Kolejka posuwała się wolno. Ewa przyglądała się obojętnie młodym ludziom w czerwonych czapczkach i koszulkach z krótkimi rękawami. Pracowali w obłądnym tempie. Nad ladą unosiła się ciężka woń jedzenia, frytury, smażonego mięsa, stopionego sera i przypraw. Wciskała się w nozdrza. Im jednak najwyraźniej nie przeszkadzała. Jak pracowite czerwone mrówki uwijali się w gęstym od zapachów powietrzu, uśmiechając się z

optymizmem przy każdym zamówieniu. Ewa rejestrowała zwinne ruchy rąk i szybkie kroki. Jej dzień pracy był zupełnie odmienny. Większość czasu spędzała nieruchomo z założonymi rękami na środku atelier, wpatrując się wrogo albo błagalnie w rozpięte płótno. W dobre dni jej wzrok wyrażał agresję i wtedy stanowczo ruszała do zuchwałego ataku. Z rzadka udawało się jej sprzedać obraz.

— Poproszę Happy Meal — powiedziała szybko — kurczaka i dwie cole. Czy może pani włożyć do środka Aladyna? Brakuje córce do kolekcji.

Dziewczyna ruszyła do dzieła. Obracanie, przysmażanie, pakowanie i ustawianie odbywało się z szybkością błyskawicy. Emma z wyciągniętą szyją śledziła wzrokiem, jak matka chwiejnie zbliża się z tacą. Ewie zaczęły nagle drżeć kolana, więc osunęła się na krzeselko, patrząc zdumiona, jak córka z zapalonym otwiera kartonowy domek w poszukiwaniu prezentu-niespodzianki. Okrzyk zachwyty miał ogłuszającą moc.

— Aladyn! Mamo, dostałam Aladyna!

Emma uniosła figurkę nad głową, by ją zaprezentować wszystkim w lokalu. I wszyscy popatrzyli na nią. Ewa ukryła twarz w dłoniach i kasznęła.

— Jesteś chora? — pytanie zabrzmiało śmiertelnie poważnie. Emma schowała Aladyna pod stół.

— Nie... właściwie... tylko trochę źle się czuję. Zaraz minie.

— Żal ci tego topielca?

— Tak. — Ewa wzdrygnęła się, lecz odpowiedziała. — Żal mi tego człowieka. Ale nie będziemy teraz o nim rozmawiać. I nigdy później, słyszysz, Emmo? Nikomu o tym nie powiemy, bo od tego tylko nam będzie smutno.

— Ale... Jak myślisz mamo, czy on miał dzieci?

Ewa otarła ręką twarz. Już nie była tak pewna przyszłości. Wpatrywała się w porcję kurczaka, w brązowe, obtoczone w cieście kawałki mięsa smażone w tłuszczu i minęły jej resztki ochoty na jedzenie. Przed oczami znowu migwały obrazy. Przyglądała się im przez gałązki migdałowca.

— Tak — odpowiedziała po chwili, znowu wycierając twarz — zapewne miał dzieci.

*

Starsza kobieta, która właśnie wyprowadzała psa, dostrzegła między kamieniami biało-granatowy but. Tak jak Ewa zadzwoniła z budki przy moście. Gdy policja przybyła na miejsce, czekała, lekko zażenowana i odwrócona plecami od zwłok, na brzegu. Funkcjonariusz o nazwisku Karlsen pierwszy wysiadł z samochodu. Uśmiechnął się uprzejmie na widok kobiety i z ciekawością przyjrzał się psu.

— Chiński grzywacz nagi — wyjaśniła.

Było to doprawdy intrygujące maleństwo, całe różowiućkie i pomarszczone, tylko na łebku miało okazały, piaskowej barwy kosmyk, poza tym piesek był nieowłosiony.

— Jak się wabi? — spytał grzecznie Karlsen.

— Adam.

Policjant skinął głową, uśmiechnął się raz jeszcze i zanurkował do bagażnika w poszukiwaniu torby z wyposażeniem. Mocowali się przez chwilę ze zwłokami, w końcu zdołali je wyciągnąć na brzeg i umieścić na brezentowej płachcie. Topielec nie był wprawdzie bokserem wagi ciężkiej, ale po pobycie w wodzie takie właśnie robił wrażenie. Kobieta z psem odeszła na stronę. Ludzie pracowali skrupulatnie, niewiele się do siebie odzywając. Fotograf robił zdjęcia, lekarz przykłęknął obok brezentu i notował. Większość przypadków śmierci miała zupełnie trywialne przyczyny, toteż nie oczekiwali niczego specjalnego, może jakiegoś pijaczka, który przypadkiem wpadł do wody. Wiezorami spotykało się ich tu paru pod mostem i na ścieżkach. Tego tutaj szacowali na dwadzieścia do czterdziestu lat. Był szczupły, choć z dobrze rozwiniętym „mięśniem piwnym”, blondyn, niezbyt wysoki. Karlsen włożył na prawą rękę gumową rękawiczkę i ostrożnie odchylił połą koszuli.

— Rany od noża — stwierdził krótko. — Liczne. Obróćmy go.

Zamilkli. Słysząc było jedynie dźwięk ściąganych i nakładanych gumowych rękawiczek, pstrykanie aparatu, czyjś głębszy oddech i szelest plastiku rozłożonego obok zwłok.

— Zastanawiam się — mruknął Karlsen — czy to nie jest czasem Einarsson.

Portfela przy topielcu nie znaleźli, natomiast był zegarek, z tanimi błyskotkami i masą bajerów, takich jak czas nowojorski, tokijski i londyński. Czarny pasek werznął się w napuchnięty nadgarstek. Zwłoki leżały jakiś czas w wodzie i prawdopodobnie spłynęły tutaj z prądem rzeki, więc miejsce ich znalezienia nie grało specjalnej roli. Niemniej jednak zbadali je po bieżnie. Przeszukali brzeg, lecz znaleźli tylko pustą plastikową butelkę z zamrożoną wodą i rozmokłe pudełko po papierosach. Na ścieżce zebrano się kilku gapiów, głównie młodych ludzi, którzy usiłovali ukradkiem zerknąć na zwłoki ułożone na brezencie. Proces rozkładu był już daleko posunięty. Skóra oddzieliła się od mięśni, zwłaszcza na stopach i dłoniach, jakby topielec nosił za duże rękawiczki. Oczy, dawniej zielone, stały się przezroczyste i prawie bezbarwne, włosy odpadały całymi kępkami, a rysy napęczniałej twarzy nie dały się zidentyfikować. Rzeczna fauna, raki, ryby i drobne żyjątka najwyraźniej żerowały chciwie na zwłokach. Rany od ciosów nożem w boku ziały czernią.

— Zwykle łowiłem tu ryby — odezwał się jeden z chłopaków na ścieżce.

Miał siedemnaście lat i nigdy w życiu nie widział trupa. Właściwie nie wierzył w ogóle w śmierć, tak jak nie wierzył w Boga, bo się z nimi dotąd nie spotkał. Ukrył twarz za kołnierzem kurtki i zadrżał. Od tej chwili wszystko było możliwe.

*

Po dwóch tygodniach raport z obdukcji był gotowy. Podkomisarz Konrad Sejer zgromadził sześć osób na naradzie w sali konferencyjnej, znajdującej się w jednym z baraków na tyłach Tinghuset. Postawiono je niedawno, bo w budynku brakowało miejsca dla szeregu biur, zwykle ukrytych

przed wzrokiem opinii publicznej. Większość ludzi nigdy się z nimi nie stykała, wyjąwszy nieszczęśników skazanych na bardziej intymny kontakt z policją.

Część okoliczności została już wyjaśniona. Mężczyzna został zidentyfikowany, zresztą miał obrączkę z wygrawerowanym imieniem Jorun. Teczka z pałdziernika ubiegłego roku zawierała wszelkie informacje o zaginionym Egjlu Einarssonie, lat 38, zamieszkałym przy Rosenkrantzgate 16, widzianym po raz ostatni piątego dnia tego miesiąca o godzinie dziewiątej wieczorem. Pozostawił żonę i sześciolatniego syna. Teczka była cienka, ale wkrótce miała powiększyć swą objętość. Na początek dołożono do niej nowe, niepiękne zresztą zdjęcia. Kiedy Einarsson zniknął, przesłuchano żonę, kolegów z pracy i krewnych, sąsiadów i przyjaciół. Nikt nie miał wiele do powiedzenia. Zaginiony nie był ulubieńcem tłumów, ale też nie dorobił się specjalnie wrogów, w każdym razie żadna z przesłuchanych osób o takich nie słyszała.

Pracował w browarze, wracał codziennie do domu na obiad, a większość wolnego czasu spędzał dłużej przy ukochanym samochodzie w garażu albo z kumplami w pubie w południowej części miasta. Pub nazywał się „Pod Królewską Bronią”. Jedno z dwojga — albo Einarsson nie miał szczęścia i wpadł w ręce jakiegoś desperata polującego na gotówkę, co było możliwe w tej okolicy, gdzie kasało zimno i hulał wiatr, zważywszy że heroina na serio zaczęła opanowywać miasto; albo też ukrywał jakąś tajemnicę. Może był komuś winien pieniądze.

Sejer czytał raport, mrużąc oczy i drapiąc się w kark. Zawsze mu imponowało, jak ekipa z medycyny sądowej potrafi określić na podstawie nadgniętej masy skóry, mięśni, włosów i kości wiek człowieka, jego wagę, cechy fizyczne, stan zdrowia, przebyte choroby i operacje, przebieg leczenia zębów i uwarunkowania genetyczne.

— Resztki masy serowej, mięso, papryka i cebula w żołądku — odczytał na głos. — Pewnie pizza.

— Można coś takiego stwierdzić po upływie pół roku?

— No pewnie. Chyba że ryby wszystko zeżrą. To się też zdarza.

Mężczyzna o z duńska brzmiącym nazwisku Sejer wkroczył w czterdziesty dziewiąty rok życia; solidnie zbudowany, mimo wczesnej pory roku zdążył już złapać trochę opalenizny; podwinięte rękawy koszuli odsłaniały widoczne przez skórę żyły. Jego ręce przypominały impregnowane sękate drewno. Twarz miał wyrazistą, lekko kanciastą, plecy proste, bary szerokie. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie człowieka zadbanego i solidnego. Sztynne, bardzo krótko obcięte włosy połyskiwały niemal stalową barwą. Tęczówki dużych, jasnych oczu lśniły szarością wilgotnego łupku. Tak określiła to kiedyś przed laty Eliza, jego żona. Ładnie to ujęła.

Karlsen miał jakieś dziesięć lat mniej i wyglądał jak elegancik wagi piórkowej, z usztywnionym wąsikiem i zaczesaną w górę imponującą czupryną. Najmłodszy z nich wiekiem i stażem, Goran Soot, próbował, nie czyniąc zbyt wiele hałasu, otworzyć torebkę z Żelkami o smaku owoców tropikalnych. Miał gęste, falujące włosy i cerę noworodka. Był krepny, dobrze umięśniony. Każda z części jego ciała osobno stanowiła widok miły dla oka, razem było ich jednak jakby za dużo. Sam nie zdawał sobie sprawy z tego komicznego efektu. Przy drzwiach siedział naczelnik wydziału, siwy i milczący Holthemann. Z tyłu za nim jasnowłosa urzędniczka, a przy oknie, opierając się łokciem o parapet — Jacob Skarre.

—Co z żoną Einarssona?—spytał Sejer. Ludzie w ogóle nie byli mu obojętni, a tu dodatkowo wiedział, że została sama z synem.

—Początkowo wydawała się zaskoczona — relacjonował Karlsen. — Spytała, czy teraz wreszcie zostanie jej wypłacone ubezpieczenie, a potem się załamała z rozpaczy, że myśli przede wszystkim o pieniądzach.

—Dlaczego ich nie dostała?

—Nie mieliśmy przecież zwłok.

— Porozmawiam o tym z odpowiednimi osobami — stwierdził podkomisarz. — Z czego oni żyli przez ostatnie pół roku?

— Z zasiłku.

Sejer pokręcił głową i przekartkował raport. Soot wpakował do ust prawie całego zielonego żelkowego ludzika, wystawały tylko nogi.

—Samochód — ciągnął detektyw — został znaleziony na wysypisku. Całymi dniami grzebaliśmy potem w śmieciach. Trzeba więc przyjąć, że

Einarsson zginął zupełnie gdzie indziej, być może na brzegu rzeki-. Potem zabójca zapewne wsiadł do samochodu i pojechał na wysypisko. Nie do uwierzenia, że Einarsson naprawdę przez pół roku leżał w wodzie i dopiero teraz wypłynął na powierzchnię. Tyle czasu sprawca mógł żywić nadzieję, że zwłoki go nie zdradzą. No cóż, czeka go przykra niespodzianka. Założę się, że go to przybije.

—Czy Einarsson utkwiał gdzieś po drodze? — spytał Karlsen.

— Nie wiem. Trochę to dziwne zresztą. Na dnie leży tylko żwir, niedawno czyścili koryto. Może prąd go zniósł ku brzegowi i tam się w coś zaplątał. Wyglądał poza tym mniej więcej tak, jak się spodziewaliśmy.

— Samochód był świeżo umyty i odkurzony w środku — dorzucił Karlsen. — Tablica rozdzielcza wypolerowana. Wszystko wyczyszczone, guma zakonserwowana. Einarsson jechał go sprzedać.

—A żona nie wiedziała komu — przypomniał sobie Sejer.

—W ogóle o niczym nie wiedziała, ale w tym małżeństwie to widocznie norma.

— Nikt nie dzwonił i nie pytał o auto?

—Nikt. Zupełnie nieoczekiwanie Einarsson oznajmił, że znalazł kupca. Wydało jej się to dziwne. Tak zbierał i oszczędzał na ten samochód, miesiącami przy nim majstrował, a dbał o niego jak o najukochańszego psa.

—Może nagle potrzebował pieniędzy? — rzucił Sejer, wstał i zaczął chodzić po pokoju. — Musimy znaleźć tego kupca. Ciekaw jestem, co się pomiędzy nimi wydarzyło. Według żony miał w portfelu sto koron. Powinniśmy jeszcze raz przeszukać ten samochód. Ktoś nim w końcu jechał wiele kilometrów, i to był zabójca. Musiał zostawić jakiś ślad!

—Samochód został sprzedany — wtrącił Karlsen.

—Można się było spodziewać.

—Trochę to późno, pokazywać samochód kupcowi o dziewiątej wieczorem — odezwał się Skarre. — O tej porze w październiku jest diabelnie ciemno. Gdybym miał kupować auto, wolałbym je oglądać przy świetle dziennym. Może to było zaplanowane. Taka pułapka.

—Może. A jak ktoś się chce przejechać na próbę, zazwyczaj wyjeżdża na szosę. Z dala od ludzi. — Sejer podrapał się krótko obciętymi paznokciami po szczęce.

— Jeśli go zadźgali piątego października, to leżał w wodzie przez sześć miesięcy — dodał. — Czy to się zgadza ze stanem zwłok?

— Tego w sądówce nie chcą potwierdzić—odpowiedział Karlsen. — Powiadają, że nie można precyzyjnie określić czasu. Snorasson opowiedział mi o młodej kobiecie, którą znaleźli po siedmiu latach, w niezmiennym stanie. Gdzieś w jakimś jeziorze w Irlandii. Po siedmiu latach! Woda była lodowata i zakonserwowała ciało. My chyba jednak możemy przyjąć, że to się naprawdę wydarzyło piątego października. Wygląd denata wskazuje, że zabójca miał dużo siły.

— No to przyjrzyjmy się tym ciosom noża.

Sejer wybrał zdjęcie z teczki, podszedł do tablicy i przypiął je pinezką. Ujęcie pokazywało plecy Einarssona, skóra była starannie wypłukana, a rany przypominały zapadliny kraterów.

— Dość dziwnie to wygląda. Piętnaście ran, z czego połowa w okolicy kręgosłupa, w pośladkach i podbrzuszu, a reszta w prawym boku ofiary, tuż nad biodrem. Zadane z dużą siłą przez osobę praworeczną, z góry na dół. Nóż miał długie, wąskie ostrze. Prawdę mówiąc, bardzo wąskie. Jak do sprawiania ryb. A więc na pierwszy rzut oka zastanawiający sposób zaatakowania mężczyzny. Ale pamiętamy, jak wyglądał samochód, prawda?

Podszedł do Soota i nagle poderwał go z krzesła. Torebka ze słodyczami upadła na podłogę.

— Dalej! Potrzebuję ofiary! — powiedział. Popchnął policjanta w kierunku biurka, stanął za nim i chwycił linijkę.

— Morderstwo mogło przebiegać mniej więcej tak. To jest samochód Einarssona — mówił, kładąc młodego kolegę brzuchem na blacie, tak że jego broda sięgała kantu.

—Maska jest podniesiona, bo akurat pod nią zaglądamy. Zabójca wypcha ofiarę brzuchem na silnik i przytrzymuje lewą ręką, zadając jednocze-

śnie prawą piętnaście ciosów nożem. Piętnaście. — Sejer uniósł linijkę i zaczął uderzać Soota w plecy, licząc głośno: — Raz, dwa, trzy, cztery...

—Przesunął rękę z linijką, by trafić w bok, a Soot odwrócił się lekko, jakby miał łaskotki —pięć, sześć, siedem... potem dźga nożem w podbrzusze...

— Nie! — Soot poderwał się przerażony i skrzyżował nogi.

Sejer przerwał, popchnął lekko „ofiare” w kierunku krzesła i próbował za wszelką cenę powstrzymać uśmieszek.

—Piętnaście to bardzo wiele ciosów. I masa krwi. Musiała tryskać na wszystkie strony, na ubranie, twarz i ręce mordercy, na ziemię i na samochód. Szkoda, że go tam nie zostawił.

—W każdym razie zabił w afekcie — stwierdził Karlsen. — Nie był to zwykły wyrok. Na pewno kłótnia.

—Może nie mogli się zgodzić co do ceny — uśmiechnął się Skarre.

—Kogoś, kto się decyduje na odebranie innemu życia za pomocą noża, spotyka często duża niespodzianka — ciągnął Sejer. — Okazuje się to dużo trudniejsze, niż można sądzić. Założmy, że morderca rzeczywiście wszystko zaplanował i w odpowiednim momencie wyciągnął nóż, na przykład gdy pochylony nad silnikiem Einarsson stał odwrócony do niego plecami.

Zamknął oczy, jakby chciał wyobrazić sobie tę scenę.

—Zabójca musiał uderzyć od tyłu, dlatego nie trafił od razu. W tej pozycji trudno jest ugodzić właściwe organy. Einarsson zaś najwyraźniej wytrzymał sporo ciosów, zanim zginął. To w sumie straszne przeżycie, wbijając nóż raz za razem, podczas gdy ofiara nie przestaje krzyczeć. Dlatego wpadł w panikę i nie mógł przestać. Tak to bywa. W wyobraźni widzi się jeden lub dwa ciosy. Ale przypomnijcie sobie, w ilu przypadkach śmierci od noża sprawca zadowolili się tylko tym? Z miejsca przychodzi mi na myśl ta sprawa z siedemnastoma ranami od noża i druga — z trzydziestoma trzema.

—Ale nikt nie ma chyba wątpliwości, że się znali?

—Trudno powiedzieć. Coś ich pewnie łączyło. — Sejer usiadł i odłożył linijkę do szuflady. — No cóż, zaczniemy od początku. Musimy ustalić, kto chciał kupić ten samochód. Weźcie listę osób z pałdziernika i spróbujcie od góry. To może być któryś z kolegów.

— Ci sami ludzie? Mamy zadawać te same pytania? — Soot spojrzał na niego pytająco.

— Co masz na myśli? — Sejer uniósł brwi.

— Uważam, że dowcip polega na tym, by znaleźć nowych ludzi. Odpowiedzi na pytania będą przecież z konieczności takie same. Znaczy, nic się w końcu nie zmieniło.

— Czyżby? Może niezbyt uważnie słuchałeś, ale faktem jest, że znaleźliśmy faceta. Zarzniętego jak prosiak. A ty powiadasz, że nic się nie zmieniło.

— Wydaje mi się — z głosu Soota przebijała tłumiona arogancja — że z tego powodu nie uzyskamy innych informacji od tych samych ludzi.

— To się zobaczy — wycedził Sejer. Karlsen głośno zamknął teczkę.

*

Sejer schował teczkę Einarssona z powrotem do archiwum. Ustawił ją obok sprawy Durban, pomyślawszy, że znajdzie się w dobrym towarzystwie. Maria Durban i Egil Einarsson. Oboje zostali zamordowani i nikt nie wie dlaczego. Odchylił się na krzesło, położył długie nogi na biurku. Potem pomacał się po tylnej kieszeni i wyciągnął portfel. Wciśnięta pomiędzy prawo jazdy i licencję skoczka spadochronowego tkwiła tam fotografia wnuka, Mateusza. Właśnie skończył cztery lata, rozpoznawał większość marek samochodów i niedawno stoczył swą pierwszą bójkę, którą sromotnie przegrał. Sejera czekała nielicha niespodzianka, gdy pojechał na lotnisko po córkę i zięcia wracających z trzyletniego kontraktu w Somalii. Eryk pracował tam jako lekarz Czerwonego Krzyża, Ingrid jako pielęgniarzka. Gdy stanęła na szczycie schodków, z wypłowiałymi od słońca włosami i złocistą opalenizną, zdawało mu się przez jedną niezapomnianą sekundę, że widzi Elizę, taką jak wtedy, za pierwszym razem, gdy się poznali. W ramionach córki spoczywał czteromiesięczny czekoladowy chłopczyk o kręconych włoskach i najczarniej szych oczach, w jakie kiedykolwiek zajrzał. Somalijczycy to w gruncie rzeczy bardzo przystojni ludzie, pomyślał, wpatrując się w zdjęcie, nim je włożył z powrotem do portfela. W baraku pa-

nowa cisza, podobnie jak w większości pomieszczeń sąsiedniego gmachu. Wsadził dwa palce pod rękaw koszuli i podrapał się przy łokciu. Skóra się złuszczyła. Nowy, różowy naskórek pod spodem także. Zerwał marynarkę z poręczy krzesła, zamknął drzwi i wyszedł. Brenningenowa w recepcji natychmiast odłożyła książkę. Doszła właśnie do obiecującej sceny miłosnej, ale i tak postanowiła ją zachować na chwilę, gdy znajdzie się pod kołdrą. Zamienili kilka słów, po czym Sejer skinął głową i ruszył w kierunku Rosenkrantzgate, gdzie mieszkała wdowa po Egilu Einarssonie.

Spojrzał przelotnie w lusterko i przeciągnął ręką po włosach. Były ostrzyżone tak krótko, że w ogóle się nie mierzwiły, toteż chodziło raczej o rytuał niż o próżność.

Korzystał z każdej okazji, by się wyrwać z biura. Teraz także powoli jechał przez centrum. Zresztą zawsze jeździł wolno, samochód miał stary i mało zrywny — wielki błękitny peugeot 604 — i nigdy jakoś nie czuł potrzeby, aby go zmienić. W zimie sunęło się nim jak saniami. Wkrótce dotarł do kolorowych domów. W zachęcającym świetle słońca lśniły żółcią, zielenią i różowością. Pochodziły z lat pięćdziesiątych i miały już na sobie pewien cień patyny, której brakowało nowszym blokom. Drzewa zdążyły wyrosnąć wysoko, a ogródki kipiały zielenią, za parę tygodni na pewno zatoną w kwiatkach. Tymczasem jednak było chłodno, cieplejsza pora roku kazała na siebie czekać. Dłuższy już czas nie padało i w przydrożnych rowach leżały zaśmiecone płaty starego śniegu. Poszukał oczami numeru szesnastego i natychmiast rozpoznał dobrze utrzymany zielony budynek. Przed wejściem roilo się od trójkołowych rowerków, ciężarówek i wszelkiego rodzaju plastikowych zabawek, które dzieci bez opamiętania powyciągały z piwnic. Po długiej zimie zawsze je wabił suchy asfalt.

Sejer zaparkował i zadzwonił do drzwi. Po dobrej chwili otworzyła kobieta z chudym chłopaczkiem uczepionym spódnicy.

— Witam, pani Einarsson — powiedział, kłaniając się lekko. — Czy mogę wejść?

Skinęła ledwo dostrzegalnie i jakby niechętnie, ale w końcu nie miała zbyt często okazji do rozmowy. Stał całkiem blisko, więc poczuła charakte-

rystyczny męski zapach, mieszaninę dyskretnej wody po goleniu i skórzanego kurtki.

—Nie wiem nic więcej poza tym, co powiedziałam na jesieni — odezwała się niepewnie. — Pominąwszy fakt, że nie żyje, ale na to byłam przygotowana. To znaczy, z wyglądu samochodu wynikało... — Objęła syna obronnym gestem, przeznaczonym jakby dla obojga.

—Ale skoro go znaleźliśmy, pani Einarsson, to coś się jednak zmieniło, prawda? — zamilkł i czekał.

—To musiał być jakiś wariat... może potrzebował pieniędzy — potrząsnęła bezradnie głową. — Portfel przecież zniknął. Sami powiedzieliście. Chociaż było w nim tylko sto koron. No, ale dzisiaj zabija się nawet dla drobnych.

—Obiecuję, że to nie potrwa długo.

Poddała się i cofnęła od drzwi. Sejer stanął w progu pokoju i rozejrzał się. Zawsze z niejakim przerażeniem stwierdzał, jak ludzie bywają do siebie podobni. Wnioskował to z wyposażenia ich mieszkań. Wszędzie to samo. Podobne meble, rozstawione z tą samą symetrią wokół telewizora, zestawu stereofonicznego i wideo jako swoistego centrum pokoju. Tutaj zbierała się rodzina, by się wzajemnie obdzielić ciepłem. U Einarssonowej stał różowy skórzany komplet wypoczynkowy, a pod ławą leżał biały puszysty dywan. Bardzo kobiecy salon. Od sześciu miesięcy mieszkała sama. Może wykorzystwała ten czas, by się pozbyć wszystkich męskich elementów wystroju, o ile takie w ogóle istniały. I tym razem, jak poprzednio, nie dostrzegął śladów tęsknoty czy uczucia do mężczyzny, którego zwłoki, podziurawione i zszarzałe jak stara gąbka, wyłowili z rzeki. Okruchy żalu dotyczyły czego innego, spraw praktycznych, tego, z czego będzie żyła, jak się wyrwać z domu i zdobyć nowego męża, skoro jej nie stać na opiekunkę do dziecka. Zasepił się na tę myśl i poświęcił uwagę ślubnej fotografii nad kanapą, wspaniałemu zdjęciu młodej Jorun z tlenionymi włosami. Obok niej stał Einarsson, szczupły, z gładko wygoloną twarzą konfirmanta i wypomadowanym wąsikiem pod nosem. Pozowali, najlepiej jak potrafili, przeciętnemu fotografowi, bardziej zajęci swoim wyglądem niż sobą nawzajem.

— Mam jeszcze trochę kawy w dzbanku, napije się pan?

— spytała niepewnie.

Przytaknął, bo dobrze się czegoś trzymać, nawet jeśli to tylko uszko filiżanki. Chłopczyk podreptał za matką do kuchni, lecz popatrywał na detektywa ukradkiem zza futryny. Był chudy, na nosie miał kilka piegów, a przydługa grzywka opadała mu ciągle na czoło. Za kilka lat będzie całkiem podobny do mężczyzny ze ślubnej fotografii.

— Zapomniałem, jak masz na imię... — Sejer uśmiechnął się zachęcająco.

Chłopiec milczał przez chwilę i z nieśmiałym uśmiechem wwiercał piętę adidasa w linoleum na podłodze.

— Jan Henry.

— Rzeczywiście, Jan Henry! — Sejer skinął głową.

— Mogę cię o coś spytać? Zbierasz może odznaki?

— Tak, mam dwadzieścia cztery — odpowiedział chłopiec. — Wpięte w kowbojski kapelusz.

— Przynieś go — uśmiechnął się detektyw — to dostaniesz jeszcze jedną. Na pewno jej nie masz.

Mały zniknął z pola widzenia i pobiegł do swojego pokoju. Wrócił za chwilę w zbyt dużym kapeluszu na głowie. Zdjął go z namaszczeniem.

— Strasznie kłują od środka — wyjaśnił. — Nie mogę w nim chodzić.

— Patrz, to jest znaczek policyjny. Dostałem go od pani Brenningen na komendzie. Niezły, prawda?

Chłopak kiwnął głową, poszukując honorowego miejsca dla złotego znaczka na szpilce. Zdecydowanym ruchem zdjął olimpijską plakietkę z parą dzieci na nartach i wpiął w środku nad czołem nową odznakę. Weszła matka, obdarzając go uśmiechem.

— Idź do swojego pokoju — poleciała. — Muszę z panem porozmawiać.

Jan Henry wsadził kapelusz na głowę i wybiegł. Sejer tymczasem popijał kawę i przyglądał się Einarssonowej. Z niezbyt dużej wysokości, by nie pochłapać serwetki, wrzuciła do filiżanki dwie kostki cukru. Nie nosiła obrączki. Wokół przedziałka miała ciemniejsze odrosty, a makijażem zbytnio

podkreślała oczy, co sprawiało, że robiła wrażenie zagniewanej. Właściwie była słodką, miłą kobietką, choć prawdopodobnie sama o tym nie wiedziała i nie zachwycała się swoim wyglądem, jak większość przedstawicielek jej płci. Poza Elizą, pomyślał.

— Wciąż poszukujemy tego kupca, pani Einarsson. Tak samo jak na jesieni. Z jakiegoś powodu pani mąż nagle postanowił sprzedać samochód, chociaż nigdy między wami nie było o tym mowy. Pojechał pokazać go komuś i już nie wrócił. Może ten ktoś zainteresował się samochodem i zatrzymał męża po prostu na ulicy, a może poszukiwał akurat takiego samochodu i w jakiś inny sposób nawiązał kontakt. Albo szukał właśnie pani męża, nie samochodu, natomiast auta użył jako wymówki, by go wywabić z domu. Znęcił go obietnicą kupna, niewykluczone, że za gotówkę. Czy mąż miał kłopoty finansowe?

Potrząsnęła głową, ssąc nasączoną kawą kostkę cukru.

— Już mnie pan o to pytał. Nie, nie miał kłopotów. W każdym razie nic pilnego. Wszyscy potrzebują pieniędzy, a nam się specjalnie dobrze nie powodziło. Teraz jest jeszcze gorzej. Nie mogę dostać miejsca w przedszkolu. Poza tym cierpię na migreny — pomasowała sobie skronie, jakby chcąc zaznaczyć, że wymaga łagodnego traktowania, inaczej w każdej chwili może się spodziewać bólu głowy. — To wcale nie jest drobnostka, pracować przy takim bólu, a do tego samotnie wychowywać małe dziecko i w ogóle...

Sejer potaknął współczująco.

—A nie wie pani, czy może grał na pieniądze albo miał jakiś dług do spłacenia, taki osobisty, z którym nie mógł sobie poradzić?

—Nie, nic podobnego. Nie był może specjalnie sprytny, ale też nie kombinował na boku. Dawaliśmy sobie radę. Miał przecież pracę, a wydawał tylko na samochód i od czasu do czasu na piwo w pubie. Może w gębie był i mocny, ale nie miał tyle odwagi, żeby się w coś wplątać, znaczy się, w coś niedozwolonego. Przynajmniej ja w to nie wierzę, a jesteśmy małżeństwem od ośmiu lat, więc chyba go dobrze znam. To znaczy... znałam. Nie mam zamiaru mówić źle o Egilu, chociaż nie żyje — przerwała na zaczerpnięcie oddechu.

—Może pamięta pani, czy któryś z jego przyjaciół nie mówił, że chciałby mieć ten samochód?

—A pewnie, wielu by chciało. Ale Egil nie myślał sprzedawać. Niechętnie nawet pożyczał.

—I nie przypomina pani sobie telefonów w dniach poprzedzających zniknięcie, które by mogły dotyczyć samochodu?

—Nie.

—W jakim nastroju był pani mąż, kiedy wychodził tamtego wieczoru?

—Już mówiłam. W takim jak zwykle. Wrócił z pracy o wpół do czwartej. Z rannej zmiany. Zjadł pizzę Mexicana, wypił kawę i całe popołudnie leżał w garażu.

—Leżał?

—Pod autem. Rozkręcał je. Zupełnie oszalał na punkcie tego samochodu. Potem go umył. Byłam w mieszkaniu i nie zastanawiałam się nad niczym, aż nagle wparował w środku „Kasyna” i powiedział, że wychodzi pokazać samochód.

—Bez nazwisk?

—Żadnych.

—Nie mówił, gdzie się ma spotkać?

—Nie.

—A pani nie spytała, dlaczego chce sprzedać?

—Nie wtrącałam się do samochodu. —Poprawiła włosy i potrząsnęła głową. — Nawet nie mam prawa jazdy. Mnie tam było obojętne, jaki mamy samochód, byle był. Egil zresztą nie powiedział, że go chce sprzedać, tylko komuś pokazać. A to nie musiał być morderca. Mógł przecież kogoś spotkać albo podwieźć jakiegoś pasażera. Skąd mam wiedzieć? W tym mieście jest w końcu pełno łobuzów, wszystko przez tę heroinę. Nie rozumiem, dlaczego z tym nie skończycie. Niech pan pomyśli o moim synu, on tu musi dorastać, a nie ma akurat zbyt silnego charakteru. Pod tym względem jest taki jak ojciec.

—Silny charakter — uśmiechnął się Sejer — to coś, co się rozwija z wiekiem. Poczekajmy jeszcze parę lat z oceną pani syna. Co do potencjal-

nego kupca, to dawaliśmy ogłoszenia w gazetach i w telewizji — przypominał Einars-sonowej — i nikt się nie zgłosił. Nie zdobył się na odwagę. Albo więc pani mąż kłamał, wychodząc tamtego wieczora z domu, i miał zupełnie inne plany, albo ten kupiec właśnie jest mordercą.

—Egil miałby kłamać? — spojrzała na detektywa z oburzeniem. — Jeśli pan sądzi, że prowadził jakieś brudne interesy, to się pan myli. To nie ten typ. Kochanka też nie wchodzi w grę. Prawdę mówiąc, nie miał wzięcia u kobiet. Skoro powiedział, że ma komuś pokazać samochód, to tak było.

Rzuciła to tak po prostu i zdecydowanie, że przekonała Sejera. Zamyślił się na chwilę i dostrzegł chłopca, który wślizgnął się do pokoju i siedł bezszelestnie na podłodze za fotelem matki. Mrugnął nieznacznie okiem.

— Niech się pani jeszcze cofnie myślą do tamtego czasu. Czy jest coś, co by odbiegało w jakikolwiek sposób od normy? Powiedzmy, od pół roku przed zniknięciem do chwili gdy jego samochód znaleziono na wysypisku. Czy może pamięta pani jakieś wydarzenie? Czy w jakimś okresie mąż wydawał się zmieniony, zmartwiony... Cokolwiek, telefony, listy... Może zdarzały się dni, kiedy wracał później z pracy albo źle sypiał w nocy?

Jorun Einarsson ssła kolejną kostkę cukru. Sejer obserwował, jak myślami biegła w przeszłość. Przechylała lekko głowę przy tym czy. tamtym wspomnieniu, zarzucała je i szukała dalej. Einarsson junior oddychał cichutko, przysłuchując się rozmowie dorosłych.

—No tak, któregoś wieczoru w pubie zdarzyła się bijatyka. Tam się ciągle coś dzieje i tym razem pewnie też nie¹ było nic poważnego, tyle że ktoś się chyba musiał zdrowo spić, bo barman zadzwonił po policję, żeby go zabrali. Jakiś i kolega Egjla z browaru. Egil pojechał za radiowozem [i wybłągał, żeby znajomego puścili. Obiecał, że go zawiezie do domu i położy do łóżka. I chyba tak zrobił, bo wrócił do domu o czwartej nad ranem i pamiętam, że zasnął na ranną zmianę.

—Tak? I wie pani, co się wtedy wydarzyło?

—Nie. Tyle tylko, że byłnapruty jak messerschmitt. Ten kolega, nie Egil. Egil miał wrócić autem i szedł wtedy do pracy na rano. Zresztą nie pytałam, to mnie nie bawi.

—A więc uważa pani, że mąż należał do ludzi uczynnych, troszczących się o innych? To przecież sympatyczne, co i zrobił. Mógł się nie angażować i dać mu wypić to piwo, którego nawarzył.

—Skoro pan o to pyta, to nie, nie należał do specjalnie troskliwych. Zazwyczaj nie zwracał uwagi na ludzi wkoło siebie. Fakt, i mnie zaskoczyło, że zawracał tym sobie głowę. Ratować faceta przed aresztowaniem za pijacką burdę... Pewnie, że się zdziwiłam, ale w końcu byli kolegami. Szczerze mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym aż do teraz, póki pan nie spytał.

—Kiedy to mniej więcej miało miejsce?

—Ojej, nie pamiętam. Trochę przed zniknięciem.

—Tydzień? Miesiąc wcześniej?

—Skąd, parę dni.

—Kilka dni przedtem? Pamiętała pani to zdarzenie, kiedyśmy rozmawiali na jesieni? Wspomniała pani o nim?

—Chyba nie...

—A ten pijany kolega, pani Einarsson? Wie pani, kto to był?

Potrząsnęła przecząco głową, obejrzała się szybko za siebie i dostrzegła chłopca.

—Synu! Mówiłam, żebyś poszedł do siebie!

Jan Henry podniósł się i wymknął z pokoju jak przegnany szczeniak. Einarssonowa dołała kawy.

—Nazwisko, pani Einarsson — powiedział dobitnie Sejer.

—Nie pamiętam — odparła. — Tylu ich się tam kręci po tym pubie...

—A następnego dnia pani mąż zasnął, czy tak?

—Zgadza się.

—W browarze na pewno mają karty zegarowe, prawda?

—Pewnie tak. Zastanowił się chwilę.

—Kiedy zwrócono pani samochód z wydziału technicznego, co z nim pani zrobiła?

—I tak mnie nie stać na kurs prawa jazdy, więc sprzedałam go bratu. Poza tym potrzebowałam pieniędzy. Oddałam auto razem z narzędziami z

bagażnika, kluczami, podnośnikiem i całym tym nie wiadomo do czego potrzebnym złomem. Zresztą ponoć czegoś brakowało, coś tam zginęło.

— Co takiego?

—Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć. Brat się mnie o to spytał i szukaliśmy oboje, ale nie znaleźliśmy. Nie, nie pamiętam, co to było.

—Niech pani spróbuje sobie przypomnieć. To może być ważne.

—Nie sędzę, ale i tak nie pamiętam. W garażu też szukaliśmy.

—Proszę zadzwonić na komendę, jeśli sobie pani przypomi. Nie mogłaby pani spytać brata?

— Wyjechał. Może jak wróci.

— Dziękuję za kawę, pani Einarsson — powiedział Sejer i wstał.

Zerwała się z fotela, lekko zaczerwieniona i zmieszana, że tak nagle zdecydował się odejść, i odprowadziła go do drzwi. Ukłonił się i poszedł na parking. W momencie gdy wkładał kluczyk do zamka, dostrzegł na kwietniku chłopca, z niezwykłą energią udeptującego obiema nogami ziemię. Adidasy wyglądały strasznie.

—Hej! — machnął do niego ręką. — Nie masz się z kim bawić?

—No! — Jan Henry nieśmiało się uśmiechnął. — Dlaczego nie ma pan radiowozu, skoro pan jest na służbie?

—Dobre pytanie. Ale, rozumiesz, właściwie jadę do domu. Mieszkam trochę dalej na tej samej ulicy, więc nie muszę już wracać na komendę i zmieniać samochodu

— zamilkł i zastanowił się. — Siedziałeś już kiedyś w radiowozie?

— Nie...

— Wobec tego następnym razem przyjadę do mamy radiowozem. Wtedy, jeśli zechcesz, będę cię mógł nim przewieźć.

Chłopiec roześmiał się od ucha do ucha, jednak z odrobiną niedowierzania, jakby miał za sobą jakieś gorzkie doświadczenia.

— Obiecuję! — zapewnił Sejer. — I to już niedługo! Usiadł za kierownicą i powoli wyprowadził samochód na

jezdnę. We wstecznym lusterku mignęło mu chude ramię poruszające się w geście pożegnania.

Gdy mijał tor wyścigów konnych po lewej stronie, a po prawej świątynię pod wezwaniem Jezusa Chrystusa Kościoła Świętych Dnia Ostatniego, myślami wciąż był przy chłopczyku.

— Boże uchwaj, Konradzie — mruknął sam do siebie — żebyś następnym razem zapomniał o radiowozie!

Emma bawiła się na środku pokoju w chłopskie gospodarstwo.

Zwierzęta stały w ordynku; krowy w czerwone i białe łąty za jasnoróżowymi świnkami, a dalej kury i owce. Tyrano-zaur pilnował obojścia, a jego łebek o mikroskopijnym mózdzku sięgał dokładnie szczytu stodoły.

Mała co jakiś czas podbiegała do okna i pilnie wypatrywała samochodu ojca. Co drugi tydzień spędzała z nim weekend i za każdym razem sprawiało jej to jednakowo dużą radość. Ewa także czekała w napięciu. Musiała pozbyć się dziecka z domu, by uporządkować myśli. Zazwyczaj wykorzystywała te wolne dni na pracę. Tym razem była kompletnie niezdolna do malowania. Wszystko się zmieniło. Znaleźli go.

Emma już od wielu dni nie wspominała o topielcu. Ale to nie znaczy, że o nim zapomniała. Poznawała pó wyrazie twarzy matki, że nie należy o tym mówić i nawet jeśli nie rozumiała powodów, stosowała się do zakazu.

Na sztalugach w atelier stało rozpięte na blejtramie płótno. Zagruntowane, gotowe, pomalowane na czarno, bez śladu światła. Ewa nie miała siły na nie spojrzeć. Najpierw powinna zrobić porządek z innymi sprawami. Ze swego miejsca na kanapie nasłuchiwała z równą intensywnością jak córka odgłosu wjeżdżającego na podwórko czerwonego volvo, co mogło nastąpić lada chwila. W gospodarstwie na podłodze panował idealny porządek, choć dziwnie tam wyglądał zielony potwór czający się za stodołą.

— Ten dinozaur chyba nie bardzo pasuje do zagrody, Emmo. Jak myślisz?

— Wiem i bez ciebie. — Emma zrobiła nadaśaną minę. — On tam tylko przyszedł z wizytą.

— Ach tak! Powinnam się była domyślić. Podciągnęła kolana pod brodę, okryła je długą spódnicą

i spróbowała nie myśleć o niczym. Emma kucnęła z powrotem przy zagrodzie i wpychała prosiaczki pod brzuch maciory.

—Brakuje jednego cycuszka. Ten jest niepotrzebny. — Podniosła figurkę w górę i spojrzała pytająco na matkę.

—Hm. To się zdarza. Takie świnki zdychają z głodu; w przeciwnym razie ktoś musiałby je karmić smoczkiem, a na to gospodarz z reguły nie ma czasu.

Emma zastanawiała się przez chwilę.

—Dam go Dinowi. On też musi jeść.

—A czy one czasem nie żywią się tylko trawą i liśćmi?

—Ten nie. Jest mięsożerny — wyjaśniła Emma, wciskając prosiaczka pomiędzy ostre zęby zielonego potwora.

Ewa potrzęsnęła głową, bezradna wobec uderzająco praktycznego rozwiązania problemu. Córka nigdy nie przestanie jej zadziwiać. W tym samym momencie na podwórzu rozległ się pomruk silnika i Emma popędziła na korytarz, na spotkanie ojca.

Kiedy były mąż stanął w drzwiach, Ewa podniosła wolno głowę. Ten mężczyzna był w jej życiu jak latarnia morska. Emma u jego boku sprawiała wrażenie mniejszej i miłszej niż zwykle. Pasowali do siebie jak ulał, oboje rudowłosi i otyli. Kochali się gorąco i to Ewę cieszyło. Nigdy nie odczuwała zazdrości, nawet na myśl o nowej kobiecie w jego życiu. To, że ją zostawił, sprawiło jej wielki ból, ale skoro to już uczynił, życzyła mu wyłącznie szczęścia. Po prostu.

—Witaj, Ewo! — Uśmiechnął się i skinął rudawą czupryną w jej kierunku. — Wyglądasz na zmęczoną.

—Mam trochę kłopotów. — Wygładziła ręką spódnice.

—Artystycznych? — spytał zupełnie serio.

—Nie. Konkretne, przyziemne sprawy.

—Czy to coś poważnego?

—Dużo bardziej niż możesz sobie wyobrazić. Namyslał się chwilę nad odpowiedzią, marszcząc czoło.

—Jeśli mógłbym ci w czymś pomóc, to powiedz.

—Może z czasem okaże się to niezbędne. Zatrzymał się z Emmą uwieszoną upasai spojrzał na byłą

żonę zatroskanym wzrokiem. Dziewczynka była tak ciężka, że stracił równowagę. Miał do Ewy mnóstwo sympatii, ale żyła w świecie całkowicie dla niego obcym, w świecie sztuki, w którym się nigdy nie zdomowił. Niemniej odgrywała kiedyś w jego życiu istotną rolę i nadal była dla niego ważna.

— Przynieś torbę, Emmo, i uściskaj mamę na pożegnanie.

Córka wykonała polecenie z niezwykłym zapałem, a potem zniknęli oboje za drzwiami. Ewa podeszła do okna, śledziła spojrzeniem volvo, póki nie włączyło się do ruchu, a potem wróciła na kanapę. Podkuliła nogi, położyła głowę na oparciu i zamknęła oczy. W pokoju panował miły półmrok. Oddychała możliwie równo i spokojnie, dając się ogarnąć ciszy. Powinna wykorzystać taką chwilę w całej pełni i zachować ją w pamięci. Wiedziała, że to już nie potrwa długo.

*

Sejer nalał sobie pełny kieliszek whisky i pogonił psa z fotela. Był to pięcioletni leonberger, siedemdziesiąt kilo żywej wagi, dość szczeniakowaty z usposobienia, a wabił się Kollberg. To znaczy, naprawdę nazywał się zupełnie inaczej, ponieważ w papierach wydawanych przez Związek Kynologiczny nadawali psom imiona według własnego systemu. W tym wypadku zastosowali na przykład w alfabetycznym porządku tytuły piosenek Beatlesów i gdy Kollberg przyszedł na świat, byli przy literze L, więc został nazwany Love Me Do. Jego siostra otrzymała imię Lucy in the Sky. Sejer jęknął na to wspomnienie.

Pies poddał się z ciężkim westchnieniem i ułożył u jego nóg, składając wielki łeb na stopach, co sprawiło, że spłynęły potem. Sejer nie miał sumienia ich wycofać, a poza tym to ciepło było wspaniałe. Saczył whisky i palił skręta. Ten kieliszek alkoholu i papieros stanowiły jedyne grzeszne uciechy w jego życiu, a ponieważ palił rzadko, natychmiast poczuł przyspieszone bicie serca. W pogodne dni jeździł też na lotnisko, by skakać ze spadochronem. Tego jednak nie traktował jako nałogu, w przeciwieństwie

do Elizy. Poza tym od ośmiu lat był wdowcem, a córka dorosła i niczego jej nie brakowało. Sejer nie należał zresztą do ryzykantów, skakał wyłącznie przy idealnych warunkach pogodowych i nie pozwalał sobie na żadne łańcuchy. Po prostu lubił szalony pęd powietrza, to zerwanie się z wszelkich uwięzi, swobodę, oszałamiającą perspektywę oraz widok chłopskich zagród i pól daleko w dole, ułożonych w przymgloną szachownicę, pociętą delikatną, jasną siatką dróg niby systemem tętnic w potężnym organizmie, z zabudowaniami uporządkowanymi w staranne czerwone, zielone i białe szeregi. Człowiek zawsze odczuwa potrzebę systematyzacji, pomyślał i wydmuchał dym z papierosa w kierunku lampy.

Egil Einarsson także stworzył sobie pewien system. Wiódł uporządkowane życie — praca w browarze, żona i syn, stabilna paczka kolegów i pub w południowej części miasta. Rok za rokiem stała trasa — dom, browar, dom, pub, dom. I samochód z mnóstwem drobniutkich elementów, które należało regularnie smarować i dokręcać. Tygodniami, miesiącami, latami. Czysta kartoteka. Nie dotknął go w życiu żaden dramat. Przebrnął przez szkołę jak większość młodych ludzi, nie budząc szczególnego zainteresowania, chodził na religię, został konfirmowany, podjął dwuletnie studia inżynierskie w Göteborgu, które właściwie na nic mu się nie przydały, i ostatecznie skończył jako robotnik w browarze. Był zadowolony. Zarabiał wystarczająco. Nigdy nie osiągnął w życiu wyżyn, ale też nie miał wielu trosk. Nieskomplikowany gość. Z miłą żoną, która na pewno dobrze wywiązywała się ze swoich obowiązków. I oto ktoś go morduje. Zadaje pięćnaście ciosów nożem. Jak facet pokroju Einarssona był w stanie wzbudzić takie emocje? Sejer upił whisky i na powrót pograżył się w myślach. Oczywiście, to racja, że powinni dopisać do listy świeże nazwiska, osoby, o których przedtem nie pomyśleli, a z którymi mógłby porozmawiać, by zniecka pojawił się nowy punkt widzenia i rzucił światło na całą tragedię. Einarsson bezustannie majstrował przy samochodzie, oplu mancie, rocznik osiemdziesiąt osiem. I nagle postanowił go sprzedać. Ktoś, obojętne kto, wykazał zainteresowanie. Tak to się musiało odbyć. Nie dawał ogłoszenia w żadnej gazecie. Nie wspomniał żywej duszy o chęci pozbycia się auta. Sprawdzili to. Sejer zaciągnął się skrętem i nie wypuścił od razu dymu. A

od kogo go kupił? — zastanowił się nagle. Tego pytania nigdy sobie nie zadał. A może powinien. Zerwał się z fotela i podszedł do telefonu.

W momencie gdy po tamtej stronie usłyszał sygnał, pomyślał, że jest chyba zbyt późno, by dzwonić do obcych ludzi. Po drugim dzwonku Einarssonowa podniosła słuchawkę. Wysłuchiwała go bez słowa i zamyśliła się na krótko:

— Umowę kupna? Tak, na pewną ją mam w segregatorze, znaczy, w domowym archiwum, proszę chwilę poczekać.

Słyszał, jak otwiera i zamyka szuflady, szeleści papierami.

— Tego się prawie nie da odczytać — poskarżyła się.

— Niech pani spróbuje. Mogę wpaść po nią jutro, jeśli się pani nie uda.

— W każdym razie jest tu napisane Erik Berresens gate, i chyba Mik-kelsen. Nie mogę odcyfrować imienia i numeru ulicy. Piątka?... Tak, chyba pięć. Albo sześć. Erik Berresens gate pięć albo sześć.

— To na pewno wystarczy. Bardzo pani dziękuję. Zanotował adres na bloczku koło telefonu. Ważne, żeby

niczego nie przeoczyć. Jeśli nawet nie namierzy, komu samochód był przeznaczony, to przynajmniej dowie się, od kogo pochodził. To już coś.

*

Dobiegał końca kolejny dzień pracy, gdy Karlsen wrócił z kantyny z dwoma kanapkami z krewetkami i colą. Wbił właśnie widelec w pierwszą, gdy w drzwiach jego pokoju stanął Sejer. Bardziej ascetyczny podkomisarz niósł dwie kanapki z serem i wodę mineralną, a pod pachą gazetę.

— Mogę się dosiąść?

Karlsen skinął głową, zanurzył krewetkę w majonezie i wsadził do ust. Sejer siadł, przysunął się z krzesłem do stołu i zdjął z chleba plasterki sera. Zwinął go w rurkę, odgryzł kęs.

— Wyciągnąłem z szafy Marię Durban — powiedział.

— Po co? Chyba nie ma żadnego związku?

— Przypuszczalnie żadnego. Ale tu w mieście nie zdarza się tak wiele morderstw, a te nastąpiły kilka dni po sobie. Einarsson bywał „Pod Królewską Bronią”, a Durban mieszkała trzysta metrów dalej. Powinniśmy się temu przyjrzeć. Zobacz!

Podniósł się i podszedł do zawieszzonego na ścianie planu miasta. Wyjął z pudełka dwie szpilki i precyzyjnie, w ogóle nie szukając, wbił jedną w budynek przy Tordenskioldsgate, a drugą w „Królewską Broń”, po czym na powrót usiadł.

— Przyjrzyj się tej mapie. Obejmuje całą gminę. Dwa na trzy metry.

Oświetlił ścianę lampą na ruchomym ramieniu z biurka Karlsena.

— Marię Durban znaleziono zamordowaną pierwszego października. Piątego zostaje zabity Egil Einarsson. W każdym razie możemy przyjąć, że wtedy. To jest małe miasto, nie da się powiedzieć, że zalewają nas takie przypadki. A spójrz tylko, gdzie znajdują się oba punkty!

Karlsen wpatrzył się uważnie. Szpilki na białej mapie lśniły jak dwoje blisko osadzonych czerwonych oczu.

— Może być. Ale oboje się nie znali, o ile wiemy.

— Tak wielu rzeczy jeszcze nie wiemy. Czy my w ogóle cokolwiek wiemy?

— Straszny z ciebie pesymista! Myślę, że niezależnie od wszystkiego powinniśmy zrobić test DNA Einarssona i sprawdzić go na Durban.

— No pewnie! Zwłaszcza że nie my za to zapłacimy. Przez chwilę posilali się w ciszy. Dwóch mężczyzn na swój

miłkiwy sposób bardzo ze sobą związanych. Nie obnosili się z tym specjalnie, ale czuli do siebie silną sympatię i cierpliwie ją pielęgnowali. Dziesięć lat młodszy Karlsen miał żonę, której należały się względy, toteż Sejer trzymał się w cieniu, przekonany, że mężczyźni wystarczy rodzina, którą uważał za niemal świętą instytucję.

Wyrwała go z zamyślenia dyżurna policjantka.

— Dwie wiadomości do pana — powiedziała, wręczając mały świstek.

— I jeszcze dzwonił Andreassen z drugiego programu telewizji. Pytał, czy nie wzięłyby pan udziału w „Naocznym świadku” w związku ze sprawą Einarssoria.

Sejer zeszywniał.

— Eee, to chyba coś dla ciebie, Karlsen. Jesteś bardziej fotogeniczny ode mnie.

Zagadnięty zaśmiał się kpiąco. Wiedział, że Sejer nie znosi publicznych występów. Niewiele miał słabych punktów, lecz to był właśnie jeden z nich.

—Wybacz, ale jadę na seminarium. Zapomniałeś? Nie będzie mnie dziesięć dni.

—Niech pani spyta Skarrego. Na pewno będzie zachwycony. Pomogę mu, jeśli tylko uniknę siedzenia pod tą kwarcówką. Proszę zaraz mu przekazać propozycję nie do odrzucenia.

Dziewczyna uśmiechnęła się i odeszła, a Sejer zerknął na otrzymane wiadomości. Jeśli pogoda w najbliższy weekend się utrzyma, oldboye mają skakać na Jarlsbergu. I druga: zadzwonić do Jorun Einarsson. Nie spieszył się. Spojrzał na zegarek. Dojadł kanapki i wsunął krzesło pod stół.

—Przejadę się po mieście.

—No pewnie, przecież siedziałeś w pokoju prawie pół godziny. Zaraz zaczniesz porastać mchem.

—Błąd policjantów polega na tym, że całymi dniami siedzą za biurkiem. Tu w komendzie nic się przecież nie dzieje. Nie mam racji?

—Ba, z pewnością masz. Ale też diabelsko sprytnie załatwiasz sobie powód do wyjścia na świeże powietrze. Zdolny z ciebie facet, Konradzie, naprawdę.

—Trzeba mieć wyobraźnię.

—Hej, poczekaj chwilę!

Karlsen wsadził rękę do kieszonki koszuli i spojrzał zażenowany.

—Żona dała mi listę zakupów. Znasz się na damskich fatalaszkach?

—Zobaczymy.

—Tutaj, za pręgą wieprzową, o... napisała „pantylinery”. Masz pojęcie, o co jej chodzi?

—Nie możesz zadzwonić do domu i spytać?

—Nikt nie podnosi słuchawki.

—Spróbuj z Brenningenową. Ale wydaje mi się, że to rajstopy albo coś takiego. Powodzenia! — Sejer zaśmiał się i wyszedł.

Ledwie wsiadł do samochodu i przeczesał włosy, gdy nagle coś sobie przypomniał. Wyszedł z auta, zamknął je i skierował się ku jednemu ze służbowych radiowozów, jak obiecał małemu Einarssonów. Ten Mikkelsen od opla manty był teraz na pewno w pracy, jak większość ludzi, dlatego najpierw ruszył na Rosenkrantzgate. Nad niewielkim trawnikiem przed domem wesoło powiewała na wietrze piżamka w postaci Toma i Jerry'ego. Jorun Einarsson wieszała pranie. Właśnie wyłowiła ze sterty czarne figi z koronkowymi wstawkami, gdy przed wejściem pojawił się Sejer. Znieruchomiała, nie bardzo wiedząc, co ma teraz z nimi zrobić.

— Z Tinghuset jest tu niedaleko — wyjaśnił uprzejmie, nie patrząc na bieliznę w jej rękach —dlatego zrobiłem sobie małą przejażdżkę. Niech pani spokojnie skończy.

Rozwiesiła pospiesznie resztę prania i chwyciła miednicę pod pachę.

—Syna nie ma w domu?

—Jest w garażu — wskazała ręką kierunek. — Zazwyczaj spędzał tam czas z ojcem. Przedtem. Przyglądał się, jak rozkręca samochód. Ciągle jeszcze się zdarza, że tam idzie, siada i wpatruje się w ścianę. Za chwilę wróci.

Sejer spojrział w stronę podwójnego garażu, utrzymanego w tym samym odcieniu zieleni co dom, po czym wszedł za gospodynią do środka.

— O co chodzi, pani Einarsson? Co mi pani chciała powiedzieć przez telefon? — zapytał prosto z mostu.

Stali w drzwiach do pokoju. Postawiła miednicę na podłodze i odgarnęła parę tlenionych kosmyków z twarzy.

—Zadzwoiłam do brata. Jest w Stavangerze, na targach. Z bagażnika zginał kombinezon. Wie pan, taki zielony, nylonowy, z masą kieszeni. Egil używał go do pracy przy aucie i woził zawsze ze sobą. Szukałam go, bo pamiętam, że był dość drogi. Przydatny, gdyby samochód nagle stanął i trzeba by go naprawiać. Tak mówił Egil. Mój brat też z tego powodu miał

na niego ochotę. Więc jak nie znalazłam nic w samochodzie, przeszukałam garaż. Tam go też nie było. Kombinezonu i dużej latarki. ;

—Pytała pani na komendzie?

—Nie. Policja nie ma chyba prawa zabierać rzeczy z samochodów bez zawiadomienia?

—Oczywiście, że nie. Ale na wszelki wypadek sprawdzę. Pani mąż zawsze miał ze sobą ten kombinezon?

—Zawsze. Był strasznie porządnicki, jeśli chodzi o auto. Nigdzie nie wyjeżdżał bez zapasowego kanistra benzyny. Ani bez oleju, płynu do spryskiwacza i pojemnika z wodą. No i bez tego zielonego kombinezonu. Latarka zresztą mnie by się przydała, tu się często przepalają korki. Instalacja jest do kitu, powinni ją wymienić. Ta administracja jest chyba najgorsza ze wszystkich, jakie mieliśmy do tej pory. Co roku podnoszą czynsz i mówią, że zbierają na balkony. Ja ich już pewnie nie doczekam. No, więc chodziło o ten kombinezon.

—Ta informacja się nam bardzo przyda — pochwalił ją Sejer. — Dobrze, że sobie pani przypomniała o telefonie do brata.

Pomyślał o mordercy. Jemu też się poszczęściło, że miał czym przykryć zakrwawione własne ubranie.

Einarssonowa zarumieniła się wdzięcznie, podniosła na powrót wielką turkusową miednicę z plastiku i oparła ją o biodro. Odchyłona dla przeciwwagi głęboko w bok, wyglądała dość pociesznie.

— Obiecałem synowi, że go zabiorę na przejażdżkę radiowozem. Czy mogę podjechać po niego pod garaż?

— Pewnie — spojrzała na niego zaskoczona. — Ale później wyjdziemy, więc niech to nie trwa długo.

— Tylko mała rundka.

Poszedł do garażu. Jan Henry siedział na ławeczce pod ścianą i wymachiwał nogami. Buty miał umazane smarem. Na widok Sejera najpierw się lekko wzdrygnął, a potem rozpromienił.

— Przyjechałem dziś radiowozem — rzekł policjant. — Mama pozwoliła cię zabrać na krótką wycieczkę, jeśli miałbyś ochotę. Mógłbyś włączyć syrenę.

Chłopiec zeskoczył szybko z dość wysokiej ławki i podbiegł kilka kroków dla złapania równowagi.

—Volvo?

—Nie, ford.

Pobiegł przodem, błyskając przed Sejerem bladymi i chudymi kończynami. Prawie utonął na przednim siedzeniu, tak że z trudem można było zgodnie z przepisami zapiąć pasy. W końcu się jednak udało, choć głowa zaledwie mu wystawała nad deskę rozdzielczą, i to tylko gdy wyciągnął szyję. Sejer przekręcił kluczyk w stacyjce i wyjechał na ulicę. Przez chwilę panowała cisza z szumem silnika w tle, przerywana jedynie nagłym wżgiem samochodów przejeżdżających lewym pasem. Jan Henry wcisnął dłonie pomiędzy uda, jakby się bał, że przypadkiem czegoś dotknie.

— Tęsknisz za tatusiem? — spytał cicho Sejer. Chłopiec spojrzał zaskoczony, jakby po raz pierwszy ktoś

wpadł na pomysł, by go o to spytać. Przecież to jasne.

— Bardzo — odpowiedział po prostu.

Znowu zamilkli. Sejer skręcił w stronę tkalni, wyrzucił prawy kierunkowskaz i obrał kurs na wodospad.

—Tak cicho jest teraz w garażu — odezwał się nagle chłopiec.

—Na pewno. Szkoda, że mama nie zna się na samochodach.

—Aha. Tata ciągle tam siedział i odkręcał śrubki. Jak miał wolne.

—No i ten zapach — dodał Sejer z uśmiechem. — Oleju, benzyny i czego tam jeszcze.

—Tata obiecał mi kupić kombinezon — ciągnął chłopiec. — Taki sam jak jego, z czternastoma kieszeniami, ale nie zdążył. Miałem go wkładać do naprawiania roweru. To się nazywa kombinezon roboczy.

—Zgadza się, tak się nazywa. Sam mam taki, niebieski, z napisem FINA na plecach. Ale nie wiem, czy ma aż czternaście kieszeni. Może tylko osiem albo dziesięć.

—Niebieskie też są ładne. Są mniejsze rozmiary? — spytał naśladując dorosłych.

— Nie mam pojęcia, ale na pewno się dowiem. Zanotował to sobie w pamięci, włączył znowu prawy

kierunkowskaz i stanął. W dole nad rzeką rozciągał się sielski obrazek budynków rozgłośni radiowej. Sejer wskazał dłonią połyskujące w słońcu okna.

— Podrażnimy się z nimi trochę? Włączymy sygnał? Jan Henry kiwnął głową.

— To naciśnij tutaj. Zobaczymy, jak bardzo im zależy na informacjach. Może przylecą tu hurmem z mikrofonami?

Syrena wystartowała lekkim zgrzytem, lecz zaraz zawyła w ciszy pełną mocą stu decybeli i odbiła się od wzgórz po drugiej stronie doliny. W samochodzie nie było tego tak słychać, lecz po chwili w lśniącej szybie pojawiła się pierwsza twarz, a po niej kolejne. Ktoś otworzył drzwi i wyszedł na podest przed budynkiem. Widać było, jak uniósł dłoń, osłaniając oczy przed słońcem.

— Na pewno myślą, że to jakieś morderstwo! — Chłopiec podskakiwał z radości.

Sejer zaśmiał się na widok przybywających przed gmachem bladych twarzy.

— Trzeba się już zwijać. Spróbuj, czy potrafisz ją wyłączyć.

Jan Henry potrafił. Oczy błyszczały mu z zachwytu, a na policzki wypełzły rumieńce.

— Jak to działa? — spytał wyczekująco.

— No cóż... — Sejer pogrzebał głęboko w pamięci. — Najpierw powstaje impuls elektryczny, który wywołuje zamknięty obieg drgań, ten tworzy z kolei system pulsacyjny, który idzie przez wzmacniacz na głośniki.

Jan Henry pokiwał głową.

—Częstotliwość drgań jest różna, od ośmiuset do tysiąca sześciuset — ciągnął Sejer. — Czyli dźwięk ma różną moc, żeby było lepiej słychać.

—I to robią w fabryce syren?

—Zgadza się. W Ameryce albo w Hiszpanii. A teraz zjemy lody, synu.

—Dobra. Zasłużyliśmy na nie, chociaż nie złapaliśmy żadnego przestępcy.

Skęcili znowu na główną ulicę, a potem w lewo do centrum miasta. W pobliżu wyścigów Sejer zatrzymał samochód i wyszedł z chłopcem do kiosku. Potem pomógł mu zdjąć papier z lodu.

Usiedli na ławce w słońcu i oddali się lizaniu i mlaskaniu. Jan Henry wybrał czerwono-żółte lody owocowe, oblane czekoladą. Sejer jadał przez całe życie śmietankowo-truskawkowe i nie widział powodu, by zmieniać to przyzwyczajenie.

—Wróci pan potem do pracy?—Jan Henry wolną ręką otarł brodę.

—Tak, ale najpierw muszę złożyć wizytę jednemu gościowi na Erik B0rresens gate.

—Przestępcy?

—Nie sędzę — uśmiechnął się Sejer. — Przypuszczalnie nie.

Ale nie jest pan pewny? On może być przestępcą, co?

Sejer poddał się i roześmiał.

— No wiesz, wszystko się może zdarzyć. Dlatego muszę tam pojechać. Przede wszystkim jednak żeby się upewnić, że nie jest przestępcą. Wtedy będę go mógł skreślić z listy. I tak będziemy robić, póki nie zostanie na niej tylko jedno nazwisko.

—Założę się, że facet się przestraszy, jak zobaczy pana w radiowozie.

—Zapewne. Wszyscy tak reagują. Wiesz, to zabawne, ale każdy człowiek ma w życiu coś na sumieniu. I kiedy nagle pojawia się w drzwiach, dosłownie widzę, jak grzebie w pamięci w poszukiwaniu powodu, dla którego mógłbym go odwiedzić. Nie należy się z tego śmiać, ale czasami nie mogę się powstrzymać.

Chłopiec skinął głową, rozkoszując się towarzystwem poważnie gawędzącego policjanta. Wrócili do wozu. Sejer wziął z kiosku na zapas papierową serwetkę i teraz wytarł chłopcu buzię, zapinając pasy.

— Mama i ja jedziemy do miasta wypożyczyć kasety wideo, po jednej dla każdego.

Sejer wrzucił bieg i spojrział w boczne lusterko.

—Co chcesz obejrzyć? Kryminał?

—Tak. Drugą część „Kevina”. Pierwszą widziałem już dwa razy.

—Będziecie musieli w obie strony jechać autobusem, skoro nie macie auta.

—No, to potrwa, ale w sumie nie szkodzi, bo przecież mamy dużo czasu. Dawniej, kiedy tata... kiedy mieliśmy samochód, wystarczyła tylko chwila. — Mały podłubał palcem w nosie. — Tata chciał kupić bmw, białe, już je oglądał. Gdyby ta pani kupiła mantę.

Sejer o mało nie zjechał z drogi. Serce mu podskoczyło do gardła. Z trudem się opanował.

—Powtórz, co powiedziałaś. Wiesz, nie uważałem...

—Jedna pani. Chciała kupić nasz samochód.

—Tata ci to mówił?

—No, w garażu. To było tego dnia... Ostatnim razem, kiedy był w domu.

—Kobieta? — Sejer poczuł dreszcze na plecach. — A może powiedział też, jak się nazywa? — Spojrzał w lusterko, zmienił pas i wstrzymał oddech.

—Tak, miał nazwisko zapisane na kartce.

—Jakie nazwisko?

—Już nie pamiętam, to było tak dawno.

—Widziałeś tę kartkę?

—Tak, miał ją w kieszeni w kombinezonie. Leżał na plecach pod samochodem, a ja siedziałem jak zwykle na ławce. To był raczej duży papier, złożony na pół.

—Mówisz, że widziałeś tę kartkę. Tata wyjął ją z kieszeni?

—No. Z kieszonki na piersiach. Przeczytał nazwisko, a potem...

—Włożył ją z powrotem?

—Nie.

—Wyrzucił?

—Nie pamiętam, co z nią zrobił — szepnął chłopiec ze smutkiem.

—A jak będziesz bardzo mocno myślał, to przypomnisz sobie, co tata z nią zrobił?

—Nie wiem. — Jan Henry spojrzał poważnie na policjanta, jakby powoli uświadamiając sobie wagę pytania.

— Ale jak sobie przypomnę, to powiem — dodał szeptem.

— Synku — powiedział Sejer cicho — to naprawdę bardzo, bardzo ważne.

Dojechali do zielonego budynku.

—Rozumiem.

—Więc jeśli ci przyjdzie coś do głowy w związku z tą panią... cokolwiek... to powiedz mamie, żeby do mnie zadzwoniła.

—Dobrze. Jak na coś wpadnę. To było tak dawno.

—Fakt, ale może się udać. Kiedy człowiek się mocno stara i długo o czymś myśli, tak dzień po dniu, przypomina sobie to, o czym, jak mu się wydawało, zapomniał.

—Cześć!

—Do zobaczenia, synu!

Zawrócił samochód i w lusterku obserwował, jak Jan Henry biegnie do domu.

— Powinienem był o tym pomyśleć — mruknął do siebie

— że chłopiec coś wie, skoro ciągle siedział w garażu razem z ojcem. Czy ja się nigdy nie nauczę?

Kobieta.

Rozmyślał o tym, parkując przed Tinghuset i idąc piechotą na pobliską Erik Borresens gate. Mogli działać we dwoje. Kobieta go wywabiła, a mężczyzna czekał na odpowiedni moment i wykonał brudną robotę. Ale po co?

Pod szóstką był sklep z urządzeniami sanitarnymi, więc Sejer wszedł pod piątkę. Na pierwszym piętrze mieszkał niejaki J. Mikkelsen. Był bezrobotny, dlatego detektyw zastał go w domu. Mógł mieć około dwudziestu pięciu lat. Z poszarpanych dzinsów wystawały mu oba kolana.

— Czy mówi coś panu nazwisko Einarsson? — spytał Sejer, obserwując jego reakcję.

Siedzieli przy stole w kuchni. Mikkelsen odsunął plik kuponów na loterię, solniczkę, młynek do pieprzu i najnowszy numer „Między nami mężczyznami”.

— Einarsson? Faktycznie, wydaje mi się znajome, ale nie mogę sobie przypomnieć skąd. Einarsson. Brzmi jakoś z islandzka.

Nie miał chyba nic do ukrycia. Z tego punktu widzenia byłoby oczywiście stratą czasu tkwić w środku dnia nad ceratą w czerwonej kratę.

— Nie żyje. Znalezione go kilka tygodni temu w rzece.

— Och, to ten!

Potał lekko cienki złoty kolczyk w uchu i gwałtownie pokiwał głową.

— Oczywiście, czytałem o tym w gazecie. Zakłuty nożem i takie tam. Tak, teraz kojarzę. Einarsson, no pewnie. Niedługo zrobi się tu Ameryka, a wszystko przez te narkotyki, jeśli pan chce znać moje zdanie.

Sejer nie chciał. Milczał i czekał, wpatrzony z ciekawością w młodą twarz otoczoną prostymi włosami związanymi w koński ogon, znakomicie do niej pasujący. Pomyślał, że naprawdę niewielu dobrze wygląda w tej fryzurze.

— No więc nie znałem tego faceta.

— I nie wie pan, jakim jeździł samochodem?

— Jakim samochodem? A skąd miałbym wiedzieć?

— Oplem mantą, rocznik osiemdziesiąt osiem, w świetnym stanie. Kupił go od pana przed dwoma laty.

— O kurczę! To on? Oczywiście! — Mikkelsen przytaknął sam sobie. — Dlatego nazwisko wydało mi się znajome. Niech to diabli!

Obracał w palcach paczkę gumy antynikotynowej. Postawił ją sztorcem na stole, przewrócił pstryknięciem i ponownie postawił.

— Skąd się pan o tym, u jasnej ciasnej, dowiedział?

— Spisaliście przecież, jak większość ludzi, umowę. Dawał pan ogłoszenie do gazety?

— Nie, jeździłem z kartką nalepioną na szybę. Po co płacić za ogłoszenie. Zadzwonił po dwóch dniach. Kompletnie stuknięty. Od lat zbierał na samochód. Wyłożył gotówkę...

— A dlaczego pan sprzedał?

— Musiałem. Straciłem pracę i nie było mnie stać na jego utrzymanie.

— Więc nie ma pan samochodu?

— Owszem, starego escorta z aukcji. Głównie stoi, bo nie mam na benzynę, póki jestem na zasiłku.

— Tak, w porządku. — Sejer podniósł się do wyjścia.

— Nie, zupełnie nie w porządku, moim zdaniem. Roześmieli się obaj.

— To działa? — spytał Sejer, wskazując gumę do żucia.

— Chyba tak — odrzekł młodzieniec po chwili zastanowienia — w pewnym sensie, ale człowiek się całkowicie uzależnia. No i jest droga. Poza tym ma okropny smak, mniej więcej jakby żuć peta.

Sejer wyszedł. Skreślił Mikkelsena z czoła listy i umieścił jego nazwisko na końcu. Przecinając ulicę, czuł przez skórę kurтки delikatne ciepło słonecznych promieni. Najlepszy okres, kiedy jeszcze nie wyczekiwał tęsknie lata, jeszcze nie marzył o chatce na Sandoya, słońcu, falach i słonej wodzie, o kwintesencji poprzednich, udanych letnich wakacji. Tylko czasami pozwalał sobie na lekki niepokój, wynikający z gorzkich doświadczeń kilku deszczowych i wietrznych wakacyjnych miesięcy. Przy słonecznej pogodzie nie miał powodów do obaw. Wtedy nie odczuwał tak bardzo swędzenia.

Wbiegł sprężystym krokiem po niskich stopniach, pchnął drzwi i skinął Brenningenowej w recepcji. Niebrzydka kobieta, ta Brenningenowa, miła i uśmiechnięta. Nie uganiał się za kobietami, co to, to nie. Choć może by mu się przydało. Jeszcze ma czas. Na razie im się tylko przyglądał.

— Ciekawa? — spytał, wskazując głową rozłożoną książkę.

— Nie najgorsza — uśmiechnęła się. — Intrygi, władza, namiętności...

— Brzmi jak z naszej branży.

Tym razem wybrał schody. Otworzył drzwi i osunął się na obrotowe krzesło, które kupił za własne pieniądze. Wstał ponownie, wyjął z szafy teczkę Marii Durban i zaczął czytać. Przyjrzał się pokrótce zdjęciom. Najpierw żywej, ładnej, trochę pulchnej kobiecie o czarnych brwiach nad szparkami oczu w pełnej twarzy. Bardzo krótko ścięte włosy. Pociągająca pani w kwiecie wieku. Jej uśmiech zdradzał niejedno o niej samej, trochę

bezczelny, drażniący, z dołeczkami w policzkach. Na drugim zdjęciu leżała na plecach w pościeli i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w sufit. Jej twarz nie wyrażała ani strachu, ani zaskoczenia. Nie wyrażała zupełnie nic, podobna do maski, którą ktoś odrzucił na łóżko.

Teczka zawierała także fotografie mieszkania. Pokoje wysprzątane, zadbane, kobiece, z masą drobiazgów, ale pozbawione koronek i pastelowych barw: Meble i dywany utrzymane były w intensywnych odcieniach czerwieni, zieleni i żółci. Takie kolory wybrałaby kobieta silna, pomyślał. Nic nie wskazywało na to, co się stało. Nic nie zostało przewrócone czy stłuczone. Najwyraźniej wszystko przebiegło spokojnie i bezgłośnie. I całkowicie zaskoczenia. A więc go znała. Otworzyła mu drzwi i sama się rozebrała. Najpierw się kochali i żadne oznaki nie wskazują, że działo się to wbrew jej woli. A potem coś się zmieniło, nastąpiło jakieś spięcie, załamanie. Silny mężczyzna wydusi życie z drobnej kobiety w ciągu sekund, Sejer wiedział o tym. Parę konwulsyjnych kopnięć i po wszystkim. Nikt nie usłyszy krzyku, kiedy usta przykrywa tłumik poduszki. Resztki nasienia znalezione w ciele ofiary poddano testowi DNA, ale ponieważ nie założono jeszcze rejestru, nie było ich z czym porównać. Projekt ustawy leżał w parlamencie i na wiosnę trafi pod obrady. Od tego momentu biada zbrodniarzom! Wszystkie pozostałości ludzkich funkcji fizjologicznych można zebrać i ustalić kod DNA z dokładnością do jednej siedemnasto-miliardowej części. W komendzie zastanawiali się nawet nad wnioskiem o polityczną akceptację dla obligatoryjnego przetestowania wszystkich mężczyzn w gminie pomiędzy osiemnastym a pięćdziesiątym rokiem życia, jednak okazało się, że dotyczyłoby to tysięcy osób. Projekt pochłonąłby miliony i trwał kilka lat. Minister sprawiedliwości w pewnym sensie rozpatrywała propozycję z całą powagą do momentu, gdy się zagłębiła w sprawę i dostarczono jej bliższe informacje na temat ofiary. Maria Durban nie okazała się warta takich sum. Sejer nawet to rozumiał. Czasami wyobrażał sobie przyszły system kontrolny, w którym wszyscy obywatele podlegaliby testowi tuż po urodzeniu i automatycznie wchodziłoby do rejestru. Taka możliwość stworzyłaby mu oszałamiające perspektywy. Przez moment skupił się na protokołach z przesłuchań. Niestety, niewiele ich było, trzy koleżan-

ki, pięciu sąsiadów z bloku i dwóch znajomych mężczyzn, którzy twierdzili, że znali ją tylko przelotnie. Na koniec jeszcze przyjaciółka z dzieciństwa i jej nieskładne wyjaśnienia. Może zbyt łatwo się wykpiła, może wiedziała więcej, niż chciała powiedzieć. Trochę neurotyczna, ale wystarczająco szczerą, w każdym razie nie miał podstaw, żeby ją przyciskać. A po co by miała zabijać Marię Durban? Przyjaciółka nie zabija przyjaciółki, pomyślał. Zresztą wywarła na nim niejaki wrażenie ta długonoga malarka o pięknych włosach, Ewa Maria Magnus.

Nikt z wydziału technicznego nie pamiętał żadnego zielonego kombinezonu.

Nie widzieli także latarki ani kartki papieru z nazwiskiem i numerem telefonu. Schowek został opróżniony i sprawdzony. Zawierał tylko to, co się zazwyczaj w nim trzyma, kartę wozu, instrukcje obsługi, plan miasta, paczkę papierosów, papier po czekoladzie, dwie puste jednorazowe zapalniczki. I wbrew przekonaniu żony o braku wzięcia u kobiet, paczkę prezerwatyw. Wszystko starannie spisano.

Sejer zadzwonił więc do browaru, poprosił o połączenie z kadrami i usłyszał uprzejmy męski głos.

— Einarsson? Tak, oczywiście, pamiętam. To doprawdy straszna historia. O ile wiem, pozostawił rodzinę. Należał do naszych najbardziej sumiennych pracowników. Prawie żadnych nieobecności w ciągu siedmiu lat. To mówi samo za siebie. Powiada pan wrzesień, październik i listopad ubiegłego roku? Zaraz sprawdzę.

Sejer słyszał szelest kartek.

— To może trochę potrwać, pracuje tutaj stu pięćdziesięciu ludzi. Czy życzy pan sobie, żebym oddzwonił?

— Wolę poczekać.

— To chwileczkę, proszę.

Głos w słuchawce został zastąpiony pozytywką z biesiadną piosenką „Gdy po piwo poszedł mąż”. W gruncie rzeczy całkiem zgrabny sygnał, pomyślał Sejer, zawsze lepszy niż byle jaka muzyczka. Dali duńską wersję, z akordeonem. Zupełnie niezłe.

Melodyjka ucichła.

— Halo? Jest pan? No, wiec Einarsson odbił kartę stosunkowo późno tylko raz w październiku, drugiego. Dopiero o wpół do dziesiątej. Chyba zasnął. Chłopcy wysiadują czasami po pubach, wie pan.

Sejer zabębnił palcami po blacie biurka.

— W takim razie dziękuję. I jeszcze coś, póki pamiętam. Żona Einarssona została sama z sześciolatkiem synem. Czy to możliwe, żeby nie dostała od was jeszcze żadnego odszkodowania?

—No, hm, tak, zgadza się.

—Jak to? Einarsson miał chyba u was polisę?

—Tak, naturalnie, ale przecież nie wiedzieliśmy, co się z nim właściwie stało. A przepisy są jednoznaczne. Zdarza się, że ludzie po prostu uciekają. Od tego czy innego problemu, nigdy nie wiadomo. W dzisiejszych czasach zdarzają się różne dziwne pomysły.

—W tym przypadku musiałyby zabić kurę czy inne zwierzę — rzekł Sejer oschle — i rozlać krew po samochodzie. Zakładam, że zostali państwo zapoznani ze szczegółami.

—Tak, to prawda. Obiecuję, że załatwimy to w pierwszej kolejności. Mamy już wszystko, co trzeba.

W głosie brzmiało zażenowanie.

— Trzymam pana za słowo — zakończył rozmowę Sejer.

A potem zamyslił się głęboko. Śmieszna sprawa, w gruncie rzeczy. Równie dobrze mógł to być zbieg okoliczności, że Einarsson zasnął akurat tego dnia. Następnego po zabójstwie Marii Durban.

*

Żeby dotrzeć do „Królewskiej Broni”, musiał minąć most. Jechał powoli, podziwiając co kilka metrów rzeźby po obu jego stronach. Przedstawiały kobiety tańczące i przy pracy, z dzbanami na głowie i z niemowlęciem przy piersi. Wspaniała galeria nad brudną taflą rzeki. Potem skręcił obok starego hotelu w prawo, w jednokierunkową uliczkę.

Zaparkował i zamknął samochód. W lokalu panował mrok i duchota. Ściany, meble i całe wyposażenie były zresztą przesycone dymem i potem, jak impregnatem do drewna, co nadawało pomieszczeniu tę patynę, o którą gościom chodziło. A obite szarym płótnem mury rzeczywiście zdobiła królewska broń w postaci starych mieczy, pistoletów i strzelb, a nawet zgrabnej zabytkowej kuszy. Zatrzymał się przy barze, oswajając oczy z półmrokiem.

W głębi dostrzegł podwójne wahadłowe drzwi. Właśnie się otworzyły, stanął w nich grubasek w białej kurtce i spodniach w pepitkę.

— Czy mogę mówić z kierownikiem? — spytał Sejer. Podobał mu się tradycyjny strój kucharza, w ogóle lubił tradycje.

— To ja. Nie przyjmujemy akwizytorów.

— Policja.

— A, to co innego. Zaraz wracam, tylko zamknę zamrażarkę.

Sejer rozejrzał się dookoła. Dwanaście sześćoosobowych stolików ustawiono w kształt podkowy. W tej chwili nie było tu nikogo, popielniczki stały na stołach puste, w świecznikach brakowało świec.

Kucharz, który jednocześnie był kierownikiem, wrócił na salę i skinął uprzejmie. Zamiast czapy miał na głowie tłuszcz, żel czy inną wiążącą masę, dość że czarne gładkie włosy oblepiały mu głowę tak, że wyglądał jak żuk. Jedyne orkan byłby w stanie unieść włosy i strącić go do zupy. Całkiem praktyczne, pomyślał Sejer.

— Czy jest pan tutaj co wieczór? — zapytał siadając na barowym stołku.

— *Yes*, kaździuteńki. Poza poniedziałkowym, bo wtedy mamy zamknięte.

— To dość niewygodny czas pracy, jak przypuszczam. Do drugiej w nocy?

— Oczywiście, jak się ma żonę i dzieci, psa, samochód, żaglówkę i domek w górach, to faktycznie niezbyt korzystny. Ja mam tylko tę restaurację. — Kucharz uśmiechnął się szeroko. — Dla mnie czas pracy jest ide-

alny. A poza tym lubię to i tych chłopaków, którzy tu wysiadują. Wie pan, jak jedna wielka rodzina!

Objął rękami z metr sześcienny powietrza, podskoczył i usadowił się na stołku.

Sejera rozśmieszył ten krasnal po czterdziestce w spodniach w kratkę i lśniąco białej kurtce. Paznokcie też miał chemicznie czyste.

—Zna pan chyba tę paczkę z browaru, która się tu spotyka, prawda?

—Spotykała. Przestali przychodzić. Nie całkiem rozumiem dlaczego. Nie ma Prymusa i to pewnie jest główny powód.

—Kogo?

—Egla Einarssona, który ich trzymał w kupie. *Primus motor* całej paczki. Pewnie dlatego pan tu przyszedł?

—Naprawdę go tak nazywali?

Krasnal uśmiechnął się, wziął z miseczki dwa orzeszki i pchnął ją w kierunku Sejera. Przypominały tłuste robaki, toteż nie tknął ani jednego.

—Chyba było ich sporo?

—W sumie może dziesięciu, dwunastu. Ale jądro stanowiło czterech lub pięciu chłopów, którzy tu przychodzili prawie codziennie. Naprawdę wierzyłem, że tak będzie zawsze. Nie mam pojęcia, co się stało, oprócz oczywiście tego, że ktoś zadźgał Prymusa. Ale dlaczego reszta nie przychodzi, tego nie rozumiem. Smutna sprawa. Dawali niezły dochód. No i miło spędzali czas. Równi goście.

—Niech mi pan opowie, co oni tutaj robili, o czym rozmawiali.

Kierownik odgarnął włosy z czoła zupełnie zbędnym gestem.

—Dużo grali w darta. — Wskazał wielką tarczę w głębi lokalu. — Żartowali i śmiali się, dyskutowali. Pili i wygłupiali się. Krótko mówiąc, zachowywali się jak wszyscy. Tu się mogli wyluzować. Nigdy nie przyprawdzali żon, to męski lokal.

—A o czym rozmawiali?

—O samochodach, babach, piłce... I o robocie, jeżeli zdarzyło się coś specjalnego. O panienkach też, a może już to mówiłem?

—Bywało, że się kłócili?

—Pewnie, ale nigdy na poważnie. Rozchodzili się w przyjaźni.

—Czy znał pan ich po nazwisku?

— Hm, no, jeśli pan uzna Prymusa, Peddika i Grafa za nazwiska, to tak. Nie mam pojęcia, jak się naprawdę nazywali. Z wyjątkiem najmłodszego, Nico Arvesena.

— Kto to był Graf?

— Grafik. Robił plakaty i reklamy dla browaru, zresztą świetne. Nie znam nazwiska.

— Czy któryś z nich mógł zabić Einarssona?

— Nie, na Boga! To musiał być ktoś inny. Przecież byli kumplami.

—Czy mogli znać Marię Durban?

—Wszyscy Maję znali. Pan nie? Sejer udał, że nie słyszy zaczepki.

—Tego wieczoru, kiedy zabito Marię Durban czy Maję, miał pan tutaj bijatykę, prawda?

—Zgadza się. Jeżeli pamiętam ten wieczór, to tylko z powodu glin. Na ogół nie mamy takich problemów, ale nikt się nie ustrzeże.

—Czy bójka zaczęła się, zanim pan zobaczył nasze radiowozy, czy potem?

—Oj, musiałbym pomyśleć.

Kierownik podgryzał orzeszki i oblizywał wargi.

—Chyba przedtem.

—Może wie pan, o co poszło?

—Pijaństwo, oczywiście. Peddik się uchlał. Musiałem wezwać gliny, chociaż tego nie cierpię. Stawiam sobie za punkt honoru, żeby robić porządek na własną rękę. Tym razem nie poradziłem. Facetowi puściły wszystkie hamulce. Nie jestem lekarzem, ale to mi wyglądało na wstęp do delirium.

—Taki skory do rozróby?

—Zawsze był trochę narwany. Ale takich miałem tu więcej. Hałaśliwych. Prymus należał raczej do tych spokojniejszych. Trochę się czasami szastał, wie pan, jak te szczeniaki z San Francisco, co to szklanki w barze drżą na ich widok. Ale rzadko do czegoś dochodziło. Najczęściej był samochodem i wtedy zamawiał colę albo seven up. Podczas rozgrywek w darta zawsze odwalał pisaninę.

—Więc nasi ludzie zabrali tego Peddika?

—Zgadza się. Tylko później się dowiedziałem, że zmienili zdanie.

—Einarsson za niego poręczył.

—O! Naprawdę? To tak można?

—No cóż... z nami też się można dogadać. Wie pan, społeczne zaufanie. Wciąż mamy tego za mało. Nie pochwycił pan czasem pojedynczych słów w tym rozgardiaszu?

—Pewnie, tego się nie dało unikać... „Do diabła z babami” i dalej w tym stylu.

—Czyli poszło o sprawy męsko-damskie?

—Na pewno nie. Jak za dużo wypiją, to się czepiają najbliższego tematu. Chyba mu się niezbyt układało w małżeństwie. W końcu dlatego ludzie tu przychodzą, nie?

Wyjął z beczułki na ladzie wykałaczkę, zaczął czyścić i tak już czyste paznokcie.

—Myśli pan, że między tymi dwoma zabójstwami jest jakiś związek?

—Nie mam pojęcia — odparł Sejer. — Nie mogę jednak nie postawić tego pytania, kiedy tu siedzę i przez okno prawie widzę blok, w którym ta kobieta mieszkała.

—Wiem, co pan ma na myśli. Przystojna babka. Ze wszystkim na swoim miejscu.

—Często tu przychodziła?

—Co pan? Nie ta klasa. Wpadała raz na jakiś czas, żeby sobie strzelić jeden szybki koniaczek, i już jej nie było. Chyba mało miała wolnego. Pracowita. Zasuwała jak diabli.

—A pańscy bywalcy? Mówili coś na ten temat?

—Morderstwo interesowało wszystkich tu w lokalu, jak krowi placek muchy. Tygodniami o tym brzęczeli. Ludzie są niepoprawni.

Sejer zsunął się ze stołka.

—Więc już nie przychodzą?

—Przychodzą, a jakże, wpadają, ale pojedynczo. Nigdy razem. Zamawiają dwie halby i znikają... *Sorry* — krasnal zorientował się nagle — powinienem panu zaproponować drinka.

—Następnym razem. Może tu kiedyś wpadnę na jedno piwko. Dobrze pan gotuje?

—Niech pan przyjdzie na *cordon bleu*...

Sejer wyszedł na zewnątrz i zatrzymał się gwałtownie w ostrym blasku słońca. Kucharz-kierownik deptał mu po piętach.

—Gliny były już tutaj po zabójstwie tej Durban. Taki jeden dandys z wąsikami.

—Karlsen — uśmiechnął się detektyw. — On jest z Hokksund.

—Nie szkodzi, niech mu idzie na zdrowie.

—Może zwrócił pan uwagę, czy któryś z nich nie wyszedł w trakcie wieczoru i nie wrócił po jakimś czasie?

—No tak, jakżeby się mogło obyć bez tego pytania! — Krasnal wyszczerzył zęby w parodii uśmiechu. — Nie potrafię sobie tego ot tak przypomnieć. Często się kręcili tam i z powrotem, a przecież minęło pół roku. Bywało, że wyskakiwali pod siódemkę i wracali. Albo jedli u Kitajca, a zapijali tutaj. Einarsson potrafił wpaść na pomysł, żeby jechać po Douwe Egberts... ja tego piwa nie prowadzę. Ale żeby akurat tego wieczoru... nie, nie mam pojęcia. Pan to rozumie, nie?

—Dzięki! Niezależnie od wszystkiego miło było porozmawiać.

W drodze powrotnej Sejer zatrzymał się na stacji Finy. Wszedł do sklepu i wziął ze stojaka „Dagbladet”. Za ladą gospodarowała ładna dziewczyna z kręconymi włosami i trochę puciołowatą buzią. Miała pełne, złota-we policzki, które przywiodły mu na myśl świeże bułeczki. Nie pozwolił sobie jednak na nic ponad ojcowskie uczucia, bo nie wyglądała na więcej niż siedemnaście lat.

—Taki sam kombinezon, jak pani ma na sobie, leży u mnie w garażu.

—Tak?

—Orientuje się pani może, czy da się kupić dziecinne rozmiary?

—Jejku, nie mam pojęcia.

—A mogłaby pani spytać?

—Pewnie, ale musiałabym zadzwonić.

—Zaczekam.

Otworzył gazetę. Lubił specyficzny zapach sklepu na stacji, mieszanej oleju, czekolady, tytoniu i benzyny.

—Najmniejszy kombinezon mają na dziesięć lat. Kosztuje dwieście dwadzieścia pięć koron.

—Czy mogłaby go pani dla mnie zamówić? Najmniejszy rozmiar. Pewnie będzie za duży, ale chłopak przecież rośnie.

Przytaknęła ruchem głowy. Położył na ladzie wizytówkę, zapłacił za gazetę, podziękował i wyszedł. W domu wyjął z zamrażarki opakowanie gotowego ryżu ze śmietaną. Smakował znakomicie, mimo że nie domowej roboty. Sejer nie miał zdolności do gotowania, tym zajmowała się zawsze Eliza. Teraz mu jakby przestało zależeć. Dawniej głód powodował nieznośne ssanie w żołądku połączone z niepohamowaną ciekawością, co też żona danego dnia wymyśli. Dziś upodobił się raczej do skomlenia psa, któremu wrzucał do miski pedigree pał, gdy pisk stawał się nie do wytrzymania. Potrafił natomiast znakomicie zmywać. Robił to dzień w dzień przez całe dwadzieścia lat małżeństwa.

Przysiadł na krzeselku przy stole w kuchni i jadł powoli, popijając sokiem. Myśli wędrowały leniwie i zatrzymały się na Ewie Magnus. Szukał jakiegoś pretekstu do złożenia jej wizyty, ale nie znajdował. Córka była pewnie w wieku małego Einarssonów, a pan małżonek poszedł w siną dal i przypuszczalnie nigdy w ogóle nie spotkał Marii Durban. Można jednak porozmawiać z facetem, bo na pewno o niej słyszał. I zapewne mieszkał w tym samym dystrykcie. Sejer wiedział, że dziewczynka spędza co drugi weekend z ojcem. Próbował przypomnieć sobie jego imię, ale nic z tego nie wychodziło. Nie szkodzi, znajdzie je. Ot, tak na wszelki wypadek, w końcu nigdy nic nie wiadomo. Nowe nazwisko na liście, a czasu miał pod dostatkiem.

Skończył jeść, zmył talerz i poszedł do telefonu. Zadzwoił do klubu, by zapisać się na skoki w nadchodzącą sobotę, o ile nie będzie za mocno wiało, bo, jak to ujął, nie znosił wiatru. Potem wyszukał w książce telefonicznej nazwisko i powiódł palcem po kolumnie. Jak przewidywał, przypomniał sobie imię, jak tylko je zobaczył: Jostein Magnus, inżynier, Lille Frydenlund. Wrócił do kuchni, nalał duży kubek kawy i siadł w fotelu w

pokoju. Natychmiast objawił się Kollberg, by położyć mu łeb na stopach. Sejer otworzył gazetę i w środku płomiennego artykułu zwolennika przystąpienia do Unii Europejskiej usnął.

*

Emma wróciła do domu, co sprawiło Ewie dużą ulgę. Nie miała już o czym myśleć, roztrząsała tylko w kółko jeden temat. Lepiej więc, by mała kręciła się w pobliżu. Nieważne, ile to kosztowało zachodu i ile niosło ze sobą marudzenia. Pozostawało jedynie czekać. Wzięła córeczkę za pulchną łapkę i poprowadziła do auta. Nie wspomniała słowem o różowym tornistrze. Niech dziadek zrobi małej niespodziankę. Nie chciała mu odbierać tych pisków radości, których tak niewiele słyszał w życiu. Emma siadła z tyłu i sama zapięła pas. Miała na sobie brązowy dres, w którym jej nawet było do twarzy. Dziadek mieszkał dobry kawałek drogi od nich, jakieś pół godziny jazdy, ale już po pięciu minutach Emma zaczęła marudzić. Ewa zirytowała się. Przy takim napięciu nerwowym nie starczało jej cierpliwości.

— Kup mi lody!

— Dopiero co wsiadliśmy do samochodu. Może choć raz mogłybyśmy dojechać do dziadka, nie kupując nic po drodze?

— Tylko owocowe, proszę!

Jesteś za gruba, pomyślała Ewa, przez dłuższy czas w ogóle nie powinnaś nic jeść.

Nigdy nie mówiła córce, że jest otyła. Założyła, że mała nie zdaje sobie z tego sprawy, a nazwanie rzeczy po imieniu tylko wywoła problem tuszy.

—Może jednak najpierw wyjedziemy z miasta—rzuciła pojednawczo.

— Poza tym dziadek czeka. A jeśli przygotował obiad? Nie możemy stracić apetytu.

—Apetytu nie da się przecież stracić! — odparła Emma. Nie znała takiego zjawiska, ona zawsze miała apetyt.

Ewa nie odpowiedziała. Wkrótce zacznie się szkoła, trzeba będzie pójść do szkolnego lekarza. Miejmy nadzieję, że znajdą się inni uczniowie z podobnym problemem. Taka możliwość istniała, skoro miało być ich w klasie dwadzieścioro sześcioro. Przedziwne, myśli o przyszłości, w której przypuszczalnie nawet nie będzie miała udziału. Może to Jostein będzie odprowadzał małą do szkoły, czesał jej niesforne włosy, trzymał za tłusciutką łapkę...

Ruch był średni. Bardzo starannie pilnowała, by nie przekroczyć dozwolonej prędkości. To się wręcz stało jakąś manią — w niczym nie podpaść, nie wzbudzić zainteresowania.

Gdy tylko wyjechały z centrum, minęły po lewej całodobową stację Esso.

— Patrz, mamó! Tu się łatwo zatrzymać, jeśli mamy kupić lody!

— Nie, Emmo! Przestań!

Zaraz pożałowała swego ostrego tonu, więc dodała łagodniej:

— Może jak będziemy wracać...

Zapadła cisza. Ewa przyglądała się w lusterku buzi z pełnymi policzkami i szeroką brodą, odziedziczoną po ojcu, poważnej minie córki, która nie znała przyszłości, nie wiedziała nic o tym, co ją czeka, jeżeli...

—Mamo, widać asfalt! — odezwała się nagle Emma, wychylona z siedzenia, ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

—Wiem. Podwozie rdzewieje. Kupimy nowy samochód, tylko jeszcze o tym nie myślałam.

— A stać nas na to, mamó? Naprawdę?

Ewa spojrzała w lusterko. Nic za nimi nie jechało.

— Tak — ucięła.

Resztę drogi przebyły w milczeniu.

Ojciec miał kłopoty z nogami i poruszał się bardzo powoli. Zobaczył z daleka starą asconę i otworzył drzwi z klucza, więc tylko krótko zadzwoniły i od razu weszły do środka. Ewa objęła go na powitanie i jak zawsze mocno uścisnęła, wdychając znajomy zapach playersów i wody po goleniu. Emma czekała cierpliwie na swoją kolej.

—Kobiety mego życia! — zawołał uszczęśliwiony i dodał zaraz: — Nie powinnaś już chudnąć, Ewuniu. Wyglądasz w tej czerni jak wieszak na ubrania.

—Dzięki za komplement, tato. Sam nie należysz do grubasów, więc przynajmniej wiadomo, po kim to dziedziczę.

—Dobra, dobra. Jakie to szczęście, że są na świecie ludzie, którzy potrafią się cieszyć pełnią życia — odparł, chudym ramieniem obejmując Emmę. — Idź no do mojego pokoju, dziecinko, jest tam dla ciebie prezent!

Emma wyrwała się natychmiast z uścisku i pobiegła we wskazanym kierunku, a chwilę potem w całym domu rozległ się jej pełen zachwytu okrzyk:

— Różowy!!

Naprawdę nie pasuje do tych rudych włosów, brązowy byłby lepszy, pomyślała ze smutkiem Ewa na widok córki wbiegającej z tupotem do pokoju. Starła się wyrwać z przygnębienia.

Ojciec zamówił w sklepie kurczaka i wzięła się za przygotowanie posiłku.

— Może przenocujecie — odezwał się z prośbą w głosie

— to moglibyśmy się napić trochę wina. Jak za dawnych czasów. Niedługo zapomnę, jak się należy zachowywać w towarzystwie ludzi. Tylko ty mnie odwiedzasz.

—Jostein nie przyjeżdża?

—Owszem, ale rzadko. Nie skarzę się na Josteina

— dorzucił pośpiesznie. — Dzwoni i pisze kartki. Bardzo go sobie cenię, w gruncie rzeczy był świetnym zięciem. Twoja matka to zresztą zawsze powtarzała.

Emma popijała piwo imbirowe i delectowała się kurczakiem. Ojciec potrzebował nieznacznej pomocy przy krojeniu. Gdy był sam, żywił się przede wszystkim kaszkami, ale nie przyznawał się do tego. Ewa obrała mu mięso z kości, usunęła chrząstki i naląła wina. Pili canepę, jedyny gatunek, który tolerował jego żołądek. Od czasu do czasu przносиła jedzenie na talerz Emmy. Nie powinna tego robić, ale póki dziewczynka miała co jeść, szanse na to, że przypomni sobie zwłoki w rzece, były niewielkie.

—Sypiasz z kimś teraz, córeczko?—spytał nagle ojciec. Ewa otworzyła szeroko oczy.

—Wyobraź sobie, że nie.

—Nie to nie. Ale pewnie niedługo się to zmieni.

—Można się bez tego obejść — odparła z przekorą.

—Nie pouczaj mnie, starego! — obruszył się. — Od czternastu lat jestem wdowcem.

—Nie mów, że przez cały ten czas żyjesz w celibacie! Za dobrze cię znam!

Roześmiał się i upił wina.

— Ale wiesz, że to niezdrowo...

—Przecież nie poderwę nikogo z ulicy — mruknęła, wbijając zęby w chrupiące udko.

—Dlaczego nie? Chłopa można po prostu zaprosić na obiad. Jestem pewien, że większość by nie odmówiła. Jesteś śliczną dziewczyną, Ewuniu. Trochę za szczupłą, ale śliczna. Przypominasz matkę.

—Nieprawda, jestem podobna do ciebie.

—Sprzedajesz jakieś obrazy? Dużo pracujesz?

—Odpowiedź brzmi: nie. I tak.

—Powiedz, jeśli potrzebujesz pieniędzy.

—Nie potrzebuję. To znaczy, nauczyłyśmy się radzić sobie w ramach tego, co mamy...

—Dawniej nam nigdy nie starczało, żeby pójść do McDonalda — wtrąciła Emma — a teraz nas na to stać!

Ewa poczuła, że się rumieni. Zirytowała się. Ojciec dobrze ją znał i był bystry.

— Masz przede mną jakieś tajemnice?

—Oczywiście, przecież dobiegam czterdziestki. Powinnam coś przed tobą ukrywać.

—W takim razie już o nic więcej nie pytam. Ale niech cię Bóg ma w swojej opiece, jeśli byś czegoś ode mnie potrzebowała, a nie poprosiła! Obrażę się, żebyś wiedziała!

— Wiem. — Uśmiechnęła się do niego.

Skończyli jeść w milczeniu. Ewa wlała resztę wina do kieliszka ojca i sprzątnęła ze stołu. Poruszała się powoli, uświadamiając sobie, że może po raz ostatni krząta się po jego domu i że od tej chwili o wszystkim już tak będzie myśleć.

— Zdrzemnij się, tato. Kawy napijemy się później.

— Mam gdzieś jeszcze trochę likieru—mruknął schrypniętym głosem.

— Dobrze, znajdę sama. Połóż się teraz, a ja pozmywam naczynia i przeczytam trochę Emmie. Potem otworzymy następne wino.

Podniósł się z trudem od stołu, wspierany przez córkę, a Emma uparła się, że zaśpiewa mu kołysankę, żeby szybciej zasnął, na co z ochotą przystał. Tymczasem Ewa wyszła do kuchni, wsunęła kilka banknotów do słoika, w którym ojciec trzymał pieniądze na zakupy, i odkręciła kran. Wkrótce po całym domu rozległ się echem głos Emmy, zawodzący „Zaraz się rozstaniemy, Johanno”, a Ewa skręcała się nad zlewem, na przemian ze śmiechu i z płaczu, podczas gdy łyzy mieszały się z pianą.

Wieczorem przykryła ojca pledem i podparła kilkoma poduszkami. Pogasili większość świateł i siedzieli w półmroku. Zza otwartych drzwi dochodziło lekkie pochrapywanie śpiącej Emmy.

— Brakuje ci mamy? — spytała, gładząc lekko jego rękę.

— Nieustannie.

— Wydaje mi się, że jest tu teraz.

— Oczywiście, że jest, w ten czy inny sposób. Tylko nie wiem za bardzo w jaki. Nie potrafię sobie tego uzmysłować.

Pomacał blat stołu w poszukiwaniu papierosów. Podała mu ogień.

— Jak myślisz, dlaczego była nieszczęśliwa?

— Nie wiem. Wierzysz w Boga? — spytała.

— Nie wygłupiaj się!

Milczeli znowu długą chwilę. Ojciec popijał bez przerwy wino i wiedziała, że jak zawsze zaśnie na kanapie i obudzi się z bólem krzyża.

— Jak dorosnę, to się z tobą ożenię — mruknęła półprzytomnie. Zamknęła oczy ze świadomością, że za chwilę sama zaśnie z głową odchyłoną na oparcie. Nie miała już siły walczyć. Dopóki siedziała tutaj, w salonie ojca, nic jej nie groziło. Jak dawniej, gdy była mała, a on potrafił ją chronić. Tamte czasy minęły, ale poczucie bezpieczeństwa pozostało.

*

Sejer obudził się z zeszywniałym karkiem. Jak zwykle zasnął po obiedzie w fotelu. Stopy miał kompletnie mokre, bo pies pracowicie je oślinił, poszedł więc pod prysznic. Nie patrząc w lustro, zdjął powoli ubranie i obracał się wolno pod strumieniem wody. Za każdym razem gdy jego wzrok napotkał ścianę, wykrzywił się niemiłosiernie. Winyłowe płytki miały imitować marmur, ale z upływem czasu pożółkły i nawet po dłuższym namyśle nie przychodziło mu do głowy nic, co by mogło brzydziej wyglądać na ścianie łazienki. Eliza także uważała, że są paskudne, ciągle naciskała i błagała, żeby je zmienił. Owszem, niedługo, powiadał. Weźmiemy się za nie na wiosnę, Elizo. I tak mijały lata. A potem, kiedy już leżała chora, wychudzona i wyłysiała jak staruszka, a on w rozpaczycy chciał się wreszcie zabrać za tę cholerną łazienkę, kręciła przecząco głową. Wtedy wołała, żeby siedział przy niej na brzegu łóżka. Będiesz miał na to dość czasu później, Konradzie, mówiła matowym głosem.

Poczuł wielki smutek i musiał długo mrugać powiekami, żeby mu się całkowicie nie poddać. Nie miał czasu na żal, w każdym razie nie teraz. Wytarł się, ubrał i poszedł do pokoju, by zadzwonić do córki, do Ingrid, ich jedyne dziecko. Pogadali o tym i o owym przez dłuższą chwilę, a zanim odłożył słuchawkę, powiedział jeszcze dobranoc Mateuszowi. Od razu poczuł się lepiej. Przed wyjściem zatrzymał się przed fotografią Elizy nad kanapą. Ukazywała w promiennym uśmiechu nieskazitelną biel zębów, ani jedno zmartwienie nie chmurzyło jej czoła. Wówczas. Zawsze lubił to zdjęcie, choć ostatnio zaczynało go po trosze irytować. Teraz wołałby widzieć na nim inny wyraz twarzy, może więcej powagi, coś, co by bardziej odpowiadało jego obecnemu nastrojowi. Najlepiej pasowałby portret wiszący u

Ingrid nad pianinem. Może by się mogli zamienić? Zastanawiał się nad tym przez chwilę, wpuszczając Kollberga na tylne siedzenie i ruszając w kierunku Frydenlundu. Nie był całkiem pewny, jak ma poprowadzić rozmowę, kiedy już dotrze na miejsce, ale jak zwykle ufał w swoje zdolności do improwizacji. Ludzie często czuli się zobowiązani do wypełniania przerw powstających w wymianie zdań, cisza ich deprymowała. Na takiej właśnie gorączkowej paplaninie mu zależało. Mogło się wtedy zdarzyć, że komuś wyrwie się coś, z czego on wyciągnie korzyści. Jostein Magnus zaś nie spodziewał się jego wizyty. Nie zdążył się zawczasu naradzić z byłą żoną. Wprawdzie mógł też odmówić wszelkich informacji, ale ludzie jakoś nigdy na to nie wpadali. Uśmiechnął się do siebie na tę myśl.

Magnus zostawił żonie starą willę na Engelstadzie, a sam przeprowadził się do mieszkania na Frydenlundzie. Sejer widział już w życiu brzydsze bloki, między innymi ten, w którym sam mieszkał. Tutaj pięciopiętrowe klocki ustawiono półkołem na rozległych terenach zielonych jak białe kamienie domina z czarnymi oczkami okien. Gdyby zewnętrzny budynek się przewrócił, upadłby cały rząd. Mieszkańcy należeli widać do kreatywnych, bo pod ścianami i przed klatkami pełno było grządek i krzaczków, które la-da chwila zakwitną. Wokół domów panował porządek, z asfaltu splukano piasek i kurz. Drzwi wejściowe do mieszkań ozdabiały dobrane ze smakiem tabliczki lub suszone kwiaty.

Otworzyła mu kobieta. Przypatrywał się jej z ciekawością, chcąc sobie wyrobić zdanie o osobie, która wysadziła z siodła Ewę Magnus. Reprezentowała typ bujnej kobiecości i tryskała takim seksapilem, że Sejer poczuł się zażenowany. Pełna powagi i szczupła Ewa Maria nie miała żadnych szans wobec tego cherubina z lokami.

— Sejer — przedstawił się miłym tonem. — Policja.

Wpuściła go natychmiast. Ponieważ poczęstował ją najszerszym z możliwych uśmiechów, nie spytała, czy coś się stało, jak często czynili to inni, gdy przybierał urzędową minę. Kiedy chciał, by zadali to pytanie. Ona wyrażała je wzrokiem.

— Przyszedłem tylko na pogawędkę — ciągnął. — Z panem.

— Ach tak! Proszę, jest w pokoju.

Podążyła za nim. Z kanapy podniósł się rudowłosy olbrzym. Na stole przed nim, na rozłożonym „Arbeider-bladet” leżał prehistoryczny zwierz z drewna bez jednej łapy i tubka kleju.

Uścisnęli sobie dłonie. Wielkolud nie nauczył się widać dotąd miarkować sił, a może uważał, że Sejera nie należy oszczędzać. Tak czy inaczej policjant poczuł się niepozorny, a jego ręka znacznie ucierpiała.

— Proszę siadać. Mamy coś do picia, Sofie?

— To tylko taka nieformalna wizyta — zaczął Sejer. — Z czystej ciekawości. — Poprawił się na krześle i kontynuował: — Przyszedłem po prostu dlatego, że był pan żonaty z Ewą i na pewno pamięta pan zabójstwo Marii Durban.

Magnus skinął głową.

— Oczywiście, pamiętam. Makabryczna historia. Jeszczeście nikogo nie złapali? Tyle już czasu minęło. Cóż, nie śledziłem sprawy w gazetach, a Ewa nigdy więcej o tym nie wspominała, toteż... W zasadzie myślałem, że chodzi o coś innego. Dawno już zapomniałem o tym morderstwie. Ale niech pan pyta. Jeśli coś wiem, to powiem.

Rozłożył ręce. Sympatyczny facet, otwarty, ciepły.

— A myślał pan, że o co chodzi?—zapytał zaciekawiony Sejer.

—Hm... może później?

—W porządku.

Dostał do ręki szklanekę soku i podziękował.

— Znał pan Marię Durban?

—Nie, w ogóle. Jedynie o niej słyszałem. Ewa i Maja rozstały się jeszcze jako dziewczynki. Ale wcześniej się przyjaźniły. Wie pan, jak to jest z dziewczynami, przyjaźń na śmierć i życie. O tym, że Maję zamordowano, Ewa dowiedziała się przez przypadek z gazety. Nie widziały się od sześćdziesiątego dziewiątego roku. A może to był siedemdziesiąty?

—Właśnie. Nie licząc dnia, w którym Durban została zamordowana.

— Nie, to było dzień przedtem.

— Wtedy spotkały się w mieście. Następnego dnia Ewa ją odwiedziła w mieszkaniu.

Magnus spojrział uważnie.

— Nie wiedział pan o tym? — spytał Sejer.

— Nie. Ona... no cóż, widocznie nie miałem się o tym dowiedzieć. — Magnus uśmiechnął się krzywo.

Trochę to zdziwiło i zastanowiło Sejera.

—A może mówi coś panu nazwisko Einarsson? — upił łyk soku i poczuł ulgę. Świadomość, że w tym domu mimo wszystko mieszkali niewinni ludzie, była bardzo krzepiąca.

—Nie, nie sędzę. Chyba że to ten facet, którego zwłoki pływały w rzece przed kilkoma tygodniami.

— Właśnie.

— Ach tak? No to przecież znam tę całą historię. Wyciągnął z kieszonki koszuli fajkę o barwie mahoni i poszukał na stole zapalek.

Biuściasta Sofie krzątała się nieopodal, jedną ręką szukając w szafce naczynia na trzymane w drugiej fistaszki. Sejer nie cierpiał fistaszków.

—Tyle że nie mam pojęcia, kto to był. W gazecie wydrukowali zdjęcie. — Magnus zapalił zapalke, pyknął mocno kilka razy i zdmuchnął ogień. — Co prawda mieszkamy w niewielkim mieście, ale tego człowieka nigdy nie widziałem. Ewa też go nie zna.

—Ewa?

—Widziała go przecież, że tak powiem, z bliska. Chociaż wtedy już pewnie nie bardzo był do siebie podobny... no tak, myślałem, że właśnie dlatego pan przyszedł. Dlatego że ona znalazła te zwłoki, razem z Emmą. Nieprzyjemna sprawa, ale omówiliśmy to już z córką między sobą. Spędza u nas co drugi weekend. Myślę, że wreszcie o tym zapomniała, chociaż z dziećmiakami nigdy nic nie wiadomo. Czasami potrafią milczeć na jakiś temat przez wzgląd na dorosłych.

Fajka wreszcie się rozpałała. Sejer wpatrywał się w szklanke i tym razem wyjątkowo zabrakło mu słów.

—Pańska była żona... znalazła zwłoki Einarssona?

—Tak. Wydawało mi się, że pan o tym wie. Przecież to ona zadzwoniła na policję. Czy nie dlatego pan się tu zjawił? — spytał zaskoczony Magnus.

—Nie — odparł Sejer. — Poinformowała nas starsza kobieta o nazwisku... chyba Markestad. Tak, Erna Marke-stad.

—Czyżby? W tej niecodziennej sytuacji musiało dzwonić wiele osób. Niemniej to Ewa i Emma znalazły zwłoki. I zadzwoniły na policję z budki. Emma opowiedziała mi całą historię. Były na spacerze, chodziły po ścieżkach nad rzeką. Często to robią, bo Emma za tym przepada.

—I Emma to panu opowiedziała? Nie Ewa?

—Hm, nie, nie ona. W zasadzie nawet nie wspomniała, znaczy, z początku. Ale jak mówiłem, potem o tym rozmawialiśmy.

—Czy to pana nie dziwi? Cóż, wprawdzie nie wiem, na ile państwo się ze sobą komunikują, ale...

—W rzeczy samej — mruknął Magnus pod nosem — to trochę dziwne, że sama mi tego nie powiedziała. W sumie dużo ze sobą rozmawiamy. Emma wyłożyła wszystko w samochodzie, kiedy ją tu wiozłem. Że były na spacerze nad rzeką, kiedy ten biedak zdryfował do brzegu. Pobiegły więc czym prędzej i zadzwoniły z budki, a potem poszły do McDonalda. To dla Emmy prawdziwy raj na ziemi uśmiechnął się.

—I nie czekały na naszą ekipę?

—Widocznie nie, ale...

Przy stole zapadła cisza i po raz pierwszy Jostein Magnus wydawał się mieć wątpliwości.

— To chyba nie jest w porządku, że donoszę panu na Ewę i dyskutuję o tym, co powiedziała, a czego nie. Musiała mieć swoje powody. Zapewne mieliście więcej telefonów, a tylko ten jeden został zarejestrowany. Prawda?

Sejer skinął głową. Zdążył się już trochę opamiętać i zapanować nad wyrazem twarzy.

— Owszem, w końcu wypłynął w środku miasta. Na pewno widziało go wiele osób. Poza tym na komendzie bywa czasami duży ruch, zwłaszcza przed weekendem. Przyznaję, że zdarza się tam trochę bałaganu.

Kłamał tak gładko, na ile go było stać, i zdumiewał się komicznym zbiegiem okoliczności. A może to wcale nie był przypadek?

Prowadził dalej nic nieznaczącą rozmowę, dopóki, jak sądził, wymagała tego konieczność. Popijał małymi łykami sok, lecz nie tknął fistaszków.

Magnus podmuchał na kroplę kleju, trzymając w pogotowiu staw kolonowy z cienkiego kawałka forniru.

—Więc ma pan teraz dwa nie wyjaśnione morderstwa?

—Zgadza się. Czasami przypadek sprawia, że żywa dusza niczego nie widzi i nie słyszy. Albo ludzie sądzą, że to nie jest istotne. Z jednej strony potrafią tak gonić za popularnością, że zalewają nas potokiem podejrzanych informacji, a z drugiej boją się wygłupić i wolą trzymać język za zębami. Garstka odpowiedzialnych pomiędzy tymi grupami jest, niestety, bardzo nieliczna.

—To anatozaur — uśmiechnął się nagle Magnus, unosząc w górę potwora. — Dwanaście metrów długości, dwa tysiące zębów i mózg wielkości pomarańczy. Potrafił też pływać. Nie chciałbym go spotkać na swojej drodze! Sejer uśmiechnął się.

—Wie pan — ciągnął Magnus — te prehistoryczne stwory do tego stopnia opanowały nasze życie, że nie zdziwiłbym się, gdyby któryś z nich pewnego dnia zerwał nam dach nad głową.

—Pojmuję, co pan ma na myśli. Sam mam czteroletniego wnuczka.

—No cóż, zakładam, że Ewa wam pomogła, na ile była w stanie — podsumował Magnus. — W końcu były kiedyś serdecznymi przyjaciółkami. Takimi, co to jedna gotowa by zabić w obronie drugiej.

Może i tak, pomyślał Sejer. Może tak właśnie było.

*

Kiedy zaś wsiadł do samochodu, a Kollberg uporał się z namiętym powitaniem po — jak widocznie uważał — rozstaniu tak długim, jakby jego pan wrócił z bieguną, nie miał wątpliwości, że Magnus rzucił się do telefonu, by powiadomić o wizycie byłą żonę. A szkoda, pomyślał. Woląby pojawić się z zaskoczenia. I tak zresztą nie pozostanie jej wiele czasu. Jaz-

da z Frydenlundu na Engelstad zajmie mu zaledwie piętnaście minut. Może jednak powinien był sprawdzić w dyżurce, czy czasem nie dzwoniła w tej sprawie i czy może jej zgłoszenie z jakichś powodów nie zostało zarejestrowane. Co prawda nie przypuszczał, żeby taki błąd mógł się zdarzyć. Każdy policjant o przeciętnych zdolnościach umysłowych wie, że nierzadko zgłoszenia o przestępstwie dokonuje sam sprawca, toteż zawsze rejestruje się nazwisko i adres zawiadamiającego. A jeśli dyżurny nie uzyska tych danych, rozmowa zostaje zanotowana jako anonimowa, z podaniem daty, godziny i płci rozmówcy. Sejer jechał z umiarkowaną prędkością, ani na chwilę nie poddając się pokusie przyciśnięcia pedału gazu. Może mimo wszystko uda mu się zastać Ewę w trakcie rozmowy z Josteinem Magnusem, poszukującą gorączkowo jakiegoś rozsądnego usprawiedliwienia. Któż bowiem znajduje zwłoki w rzece, wzrusza obojętnie ramionami i idzie na hamburgera do McDonalda?

Na wszelki wypadek zadzwonił z komórki pod numer Josteina Magnusa. Był zajęty.

Skrecając w stronę willi od razu zauważył ciemne okna i puste podwórko, z którego zniknął samochód. Posiedział chwilę za kierownicą, zły i rozczarowany. Trudno. Firanki wiszą, pocieszał się, więc się nie wyprowadziła. Przekreślił kluczyk w stacyjce. Spojrzawszy na zegarek, zdecydował, że wpadnie jeszcze na cmentarz. Lubił tam często zaglądać, obserwować, jak topnieją spłachetki śniegu, i planować, co tej wiosny zasadzi na grobie. Może prymulki będą pasowały do fioletowych krokusów, które rozkwitną lada chwila, gdy się jeszcze trochę ociepli.

Duży, okazały kościół z cegły królował wyniośle na wzgórzu nad miastem. Sejer nigdy go specjalnie nie lubił, zbyt było jak na jego gust napuszony, ale tylko tam mógł pochować żonę. Na kamieniu nagrobnym z czerwonego tulitu wyryto wielkimi literami jedynie imię Elizy. Zrezygnował z dat, bo wtedy stałaby się jedną z wielu, a przecież nią nie była. Wzruszył palcem ziemię i z radością zauważył pierwsze żółtozielone kielki. Przynajmniej nie czuje się tu osamotniona, pomyślał, rozglądając się przez zmrużone powieki po cmentarzu. Pod tym ciężkim kamieniem na końcu świata.

— Jak sądzisz, Kollberg, jak się tu leży? Nie za zimno? Pies zwrócił nań czarne ślepia i nastawił uszu.

— Wy też macie teraz swoje cmentarze. Kiedyś się z tego wyśmiewałem, ale z czasem zmieniłem zdanie, wiesz? Bo już tylko ty mi zostałeś.

Pogładził psa po wielkim łbie i westchnął ciężko, a potem wrócił do samochodu, mijając po drodze zupełnie opuszczony grób Mai Durban. Leżała tam tylko wiązka brunatnego, zbutwiałego wrzosu, którą należało usunąć. Sejer pochylił się szybko i zebrał suche badyle. Spulchnił ziemię u stóp tablicy, aż pokazał się wilgotny, ciemniejszy pasek. Wyrzucił zeschnięte kwiaty na kompost przy studni i odjechał. Pod wpływem impulsu skierował się na komendę.

W dyżurce, z nogami na stole, siedział Skarre, zagłębiany w jakiś szmatławiec z krwawymi scenami na okładce.

— Noc z pierwszego na drugi października — zagadnął Sejer. — „Pod Królewską Bronią” była rozróżba, jeden z uczestników nieomal znalazł się u nas w areszcie.

— Jak to: „nieomal”?

— Hm, chyba w ostatniej chwili udało mu się wykpić. Chciałbym mieć jego nazwisko.

— Jeśli został spisany!

— Kumpel go wyratował. Dokładnie mówiąc, Egil Einarsson. To się mogło znaleźć w protokole. Nazywali go Peddik. Niech pan poszuka!

— Pamiętam faceta — odparł Skarre. Zaczął wystukiwać na klawiaturze dane i szukać w komputerze. Tymczasem Sejer czekał. Nastął wreszcie wieczór i jego porcja whisky znalazła się prawie w zasięgu ręki. Za oknami zapadła ciemność, jakby Tinghuset był wielką klatką dla papug, którą ktoś przykrył nagle kocem. Zapanowała cisza. Skarre ciągle przyciskał klawisze,

przeglądał spisy włamań, awantur domowych i skradzionych rowerów. Wszystkie palce na klawiaturze były w ruchu.

—Robił pan kurs komputerowy? — spytał Sejer.

—Ahron — odparł tamten. — Peter Fredrik Ahron. Tollbugata cztery.

Podkomisarz wyciągnął czubkiem buta dolną szufladę biurka i oparł na niej nogę, po czym zanotował dane.

— Tak — westchnął. — Kontaktowaliśmy się z nim, zaraz jakeśmy dostali meldunek o zaginięciu Einarssona. Peter Fredrik. To pan z nim rozmawiał, o ile sobie przypominam?

—Zgadza się. Wielu z nich przesłuchiwałem. Jeden nazywał się chyba Arvesen.

—Pamięta pan coś? O Ahronie?

—Jasne. Nie podobał mi się. I był bardzo zdenerwowany. Zdziwiłem się, jak mi potem Arvesen powiedział, że podobno doszło do gwałtownej sprzeczki z Einarssonem. W toku śledztwa to się zresztą nie potwierdziło. Ahron wyrażał się o Einarssonie bardzo dobrze. Powiedział, że facet nie skrzywdziłby muchy i jeżeli coś mu się przytrafiło, to chyba tylko przez jakieś nieporozumienie.

—Sprawdził pan nasze kartoteki?

—Rutynowo. Arvesen miał grzywny za przekroczenie prędkości. Einarsson czyste konto, a Ahron wyrok za jazdę po pijanemu.

—Ma pan nieprawdopodobnie dobrą pamięć, Skarre.

—Zgadza się.

—Co pan czyta?

—Kryminał. Sejer uniósł brwi.

—A pan nie czyta kryminałów? — zapytał Skarre.

—U Boga Ojca, nie! W każdym razie już nie. Jak byłem młodszy, to mi się zdarzało...

—Ten jest znakomity. — Skarre machnął trzymaną w ręku książką. — Fantastyczny, nie można się oderwać.

— Wątpię.

—Warto przeczytać. Jak skończę, mogę go panu pożyczyć.

—Nie, wielkie dzięki. Nie jestem zainteresowany. W domu mam natomiast całą stertę naprawdę dobrych kryminalów, które mogę panu pożyczyć. O ile rzeczywiście to pana bawi.

— Hm, bardzo stare?

— Mniej więcej w pańskim wieku — uśmiechnął się Sejer, lekkim kopniakiem wsuwając szufladę na miejsce. Zamknęła się z trzaskiem.

*

W sobotę było ciepło i słonecznie. Skręcając na lotnisko Jarlsberg, obserwował rękaw powietrzny, podobny do zużytej prezerwatywy, kiedy sflaczały obijał się o maszt, jakby go opuściły wszystkie dobre duchy. Zaparkował i zamknął samochód, a potem wyjął z bagażnika spadochron i skafander schowany w reklamówce. Wspaniały dzień, pomyślał, może zaliczę nawet dwa skoki. Dojrzał kilku reprezentantów młodszej gwardii zwijających się jak w ukropie przy rozłożonym brezencie. Mieli na sobie czerwone, turkusowe i lila skafandry skoczków, tak samo obcisłe jak kombinezony panczenistów. Ich złożone spadochrony przypominały plecaczki spakowane na niedzielną wycieczkę.

—To ostatni krzyk mody, te skafandry w sprayu? — spytał, przyglądając się smukłym, młodzieńczym postaciom, których każdy mięsień lub brak masy mięśniowej wyraźnie odznaczał się pod cieniutkim jak welon materiałem.

—Dokładnie — odparł jakiś blondasek. — W takim sześciuosobowym namiocie jak pański za szybko wytraca się prędkość. Chyba że w robocie ma pan wystarczające tempo?

—Można tak powiedzieć. Mój wyhamowuje akurat tyle, ile trzeba.

Rzucił kombinezon ze spadochronem na ziemię i spojrzał w niebo, osłaniając ręką oczy.

—Czym lecimy?

—Cessną. Po pięciu, z tym że starsi skaczą najpierw. Hauger i Bjorneberg przyjadą później. Moglibyście zafundować sobie małą formację trójkową, co? Wydaje mi się, że jesteście w tym samym przedziale wagowym. Trzeba ćwiczyć, bo zapomni pan starych sztuczek, nie?

—Zastanowię się — skwitował Sejer sucho. — Do trzymania innych za rączkę nie potrzebuję unosić się w powietrzu. Jedną z rzeczy, które lubię tam w górze, jest samotność. Zrozumiesz to, jak będziesz starszy.

Jego zachwyty dla skoków grupowych dawał się porównać z uznaniem dla baletu wodnego. Kupił sobie colę z automatu i na chwilę przysiadł na skraju brezentu. Popijał powoli, uważając, żeby nie rozlać, i jednocześnie przyglądał się lądującym już skoczkom. Najpierw skakali uczniowie. Jak postrzelone wrony spadali na ziemię w najdziwniejszych pozycjach. Pierwszy zarył brodą w bruzdę, drugi trafił w skrzydło modelu samolotu bojowego, który burczał w trawie. Spadochroniarze dzielili lądowisko z klubem modelarskim, co było przyczyną nieustannych potyczek, przechodzących czasami w otwartą wojnę. Teraz także dobiegły go pogrożki i przekleństwa. Ani jedno lądowanie nie zostało wykonane z prawidłową przewrotką. Do diabła, tak łatwo się zeskakuje z taboretu, pomyślał. Przecież ćwiczyli. Zeskakiwali dziesięć, piętnaście razy z taboretu, robili przewrót przez ramię i z łatwością podrywali się na nogi. Rzeczywistość wyglądała inaczej. On sam za pierwszym razem złamał nogę w kostce, a Eliza tylko się uśmiechnęła pod nosem, kiedy zagipsowany wkuśtykał do mieszkania. Nie był to wcale złośliwy uśmiech, chociaż chyba go wtedy na zapas ostrzegęła. I tak wyszedł obronną ręką, może nawet za bardzo. Dwa tysiące siedemnaście skoków i ani jednego lądowania na zapasowym spadochronie. To go nawet niepokoiło. Wszyscy przez to przechodzili, kiedyś więc nadejdzie jego kolej. Może właśnie dziś, pomyślał, jak za każdym razem, gdy siedząc na brezentie przygotowywał się do pierwszego skoku. Nigdy nie wolno mu zapomnieć, że prędzej czy później pociągnie za zawleczkę, spojrzy w górę w błękit nieba i nie zobaczy nad głową niebiesko-zielonej czaszy spadochronu, której od piętnastu lat nie miał powodu wymieniać.

Zaniósł butelkę do samochodu i obserwował spokojny krajobraz, tak nudny i płaski tu w dole, a z wysokości dziesięciu tysięcy stóp urzekający pastelowymi barwami. Powietrze było krystalicznie czyste, słońce odbijało się ostro w szybach auta. Sejer ubrał się w niebieski kombinezon, założył spadochron i skierował się z wolna w miejsce, gdzie podchodził do lądowania biało-czerwony samolocik. Pierwsi wgramolili się do kabiny dwaj

chłopcy i dziewczyna w wieku około szesnastu lat. Sejer klapnął przy drzwiach. Upchnęli się jak sardynki w puszce, z kolanami pod brodą, obejmując nogi ramionami. Zawiązał mocniej sznurowadła, włożył na głowę skórzany hełm i skinął na piątego skoczka, który wślizgnął się do środka i zajął miejsce naprzeciwko. Pilot odwrócił się do nich, podniósł kciuk do góry i ruszył. Hałas nie był ogłuszający, natomiast trochę rzucało na nierównościach, gdy kołowali na start. W tym momencie starał się zawsze oczyścić głowę ze wszystkich myśli, patrzył na uciekające w tył zaparkowane samochody i czuł, jak koła odrywają się od podłoża. Potem obserwował strzałkę wysokościomierza, by mieć pewność, że wszystko gra. Zbliżali się do pięciu tysięcy stóp. Fiord w dole migotał błękitem, a samochody na autostradzie sunęły jak na zwolnionym filmie, choć w rzeczywistości mknęły dziewięćdziesiątką albo setką. Ktoś chrząknął. Trójka młodych przepowiadała sobie układ rąk w akrobacji grupowej. Przypominali kolorowo ubrane dzieci w zabawie w kółko graniaste. Obroty silnika spadły.

Zapiął dokładnie pasek hełmu pod brodą, sprawdził raz jeszcze sznurowadła i stale wznoszącą się strzałkę wysokościomierza, uśmiechnął się na widok nalepek na drzwiach, białych chmurek z różnymi hasłkami: *Blue sky forever*, *Chickens, turn back!* albo *Give my regards to mamma*. Po chwili znaleźli się na odpowiedniej wysokości. Sejer skinął krótko Trondsenowi z vis-a-vis na znak, że skoczy pierwszy. Odwrócił się twarzą do wnętrza kabiny, a plecami do drzwi i wpatrzył w dziwnie gładkie, rzeczywiście jak u małych dzieci, buzie młodych. Nie pamiętał, żeby sam kiedykolwiek miał tak gładką skórę, chociaż... minęło już przecież tyle lat... ponad trzydzieści, pomyślał, rejestrując kątem oka, że Trondsen uchylił drzwi. Ryk silników i ciśnienie powietrza wepchnęły go początkowo głębiej w ciasną kabinę. Pamiętaj, Konradzie, nie wiadomo, czy się otworzy, mruknął sam do siebie. Zawsze to powtarzał tuż przed skokiem, żeby nie zapomnieć. Podniósł kciuk, popatrzył raz jeszcze bez uśmiechu na młode twarze, które także wyrażały powagę, odepchnął się i wyskoczył.

Następnego dnia znowu wpuścił Kollberga do samochodu i pojechał do domu starców, w którym od czterech lat przebywała matka. Stał na par-

kingu dla gości, przygroził palcem psu, by się dobrze sprawował, i skierował się w stronę głównego wejścia. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżał, potrzebował odrobiny odwagi i pewnej dozy dobrego humoru. Teraz mu tego brakowało, ale nie widział matki od dwóch tygodni, więc nie mógł zwlekać z wizytą. Skinął głową dozorczy, który właśnie nadchodził swobodnym, rozhuśtanym krokiem z drabiną na ramieniu i uśmiechem zadowolenia na twarzy. Jeden z tych, co to lubią swoją robotę, niczego im w życiu nie brakuje i prawdopodobnie nie kojarzą, o co inni się awanturują. Nie do wiary. Rzadko kiedy spotyka się taką minę, pomyślał Sejer i nagle zwrócił uwagę na swoje ponure odbicie w przeszklonych drzwiach. Nie wyglądał na specjalnie szczęśliwego, ale też chyba nigdy mi na tym nie zależało. Wszedł po schodach na piętro, uklonił się kilku osobom z personelu i stanął przed separatką matki. Zapukał mocno trzy razy. Wszedł i zatrzymał się tuż przy drzwiach. Czekał na jej reakcję. Wreszcie odwróciła głowę w jego stronę. Uśmiechnął się, zbliżył do łóżka, przyciągnął sobie krzesło i ujął matkę za wychudzoną rękę.

— Witaj, mammo! — odezwał się. — To ja. Przyszedłem cię odwiedzić.

Uścisnął jej palce, ale nie odwzajemniła powitania. Jej wyblakłe oczy lśniły.

— Byłem tu w pobliżu i wpadłem — skłamał.

Nie miał wyrzutów sumienia. O czymś musiał przecież mówić, a nie zawsze miał o czym.

— Mam nadzieję, że masz tu wszystko, czego potrzebujesz?

Rozejrzał się po pokoju, jakby sprawdzał.

— A personel? Pewnie wpadają tu od czasu do czasu, żeby z tobą posiedzieć? Mówili mi, że to robią. Chyba nie kłamią?

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w niego jasnym wzrokiem, jakby na coś jeszcze czekała.

— Nic ci nie przyniosłem, mammo. Nie mogłem znaleźć nic odpowiedniego. Oni tutaj mówią, że kwiaty ci nie służą, a na inny pomysł nie wpadłem. Dlatego przywiozłem ci tylko siebie. Kollberg został w samochodzie — dodał.

Oczy matki ześlizgnęły się z jego twarzy i powędrowały do okna.

— Na dworze jest pochmurno — powiedział szybko. — Ale dość jasno. I niezbyt zimno. Mam nadzieję, że jak przyjdzie lato, będziesz mogła trochę poleżeć na werandzie. Zawsze dużo czasu spędzałaś na dworze, zupełnie jak ja.

Ujął drugą rękę matki i tak obie zniknęły w jego dłoniach.

— Masz za długie paznokcie—zauważył. —Trzeba ci je obciąć.

Przeciągnął palcem po grubych, żółtych szponach.

— To tylko kilka minut i mógłbym to zrobić, ale obawiam się, że nie byłbym zbyt zręczny. Czy nie ma tu kogoś, kto by się tym zajął?

Spojrzała na niego ponownie z półotwartymi ustami. Usunęli protezę, twierdząc, że jej przeszkadza. Bez zębów wyglądała dużo starzej. Ale była starannie uczesana i umyta, pościel czysta, a pokój sprzątnięty. Westchnął lekko. Przyjrzał się matce, bez rezultatu szukając najmniejszej oznaki, że go rozpoznaje. Znowu umknęła wzrokiem. Kiedy się wreszcie podniósł i poszedł do drzwi, nie odwróciła oczu od okna, jakby już zdażyła o nim zapomnieć. Na korytarzu natknął się na pielęgniarkę, która uśmiechnęła się zalotnie na widok przystojnego mężczyzny. Odwzajemnił krótko uśmiech.

— Matka ma za długie paznokcie. Czy mogłaby pani temu zaradzić?

Opuścił dom starców z głębokim smutkiem w duszy, jak zawsze po wizycie u matki. Po kilku godzinach depresja zwykle ustępowała.

Zanim pojechał na Engelstad, załatwił parę telefonów. Zaczęło go męczyć jedno pytanie, a możliwe odpowiedzi dały powody do zastanowienia. Nawet najdrobniejszy ruch człowieka wywołuje kręgi na wodzie, pomyślał, tak że mikroskopijny kamyczek można zauważyć zupełnie gdzie indziej, na odległym brzegu, co nikomu by nie przyszło do głowy.

Ewa Magnus była w spódnicy poplamionej białą i czarną farbą. W rękę trzymała kawałek drewna owinięty papierem ściernym. Z jej miny odczytał, że oczekiwała tej wizyty i przygotowała sobie wersję odpowiedzi. Niepomierne go to zirykowało.

— Witam ponownie, pani Magnus. Dawnośmy się nie widzieli.

Skinęła lekko głową, wcale nie zaskoczona jego odwiedzinami.

— Ostatnio w sprawie Mai Durban — ciągnął — a teraz w sprawie Einarssona, czy to nie dziwne?

Usłyszał, jak wciąga głęboko powietrze.

— Mam tylko jedno małe pytanie...

Mówił grzecznym, choć wcale nie unizonym tonem. Nie bywał unizony. Jego pewność siebie czasami nawet lekko ludzi denerwowała, jeżeli tak jak teraz, to właśnie chciał osiągnąć.

— Tak, już je słyszałam.—Wpadła mu w słowo, cofając się w głąb korytarza. Strząsnęła długie włosy na plecy. —Jostein dzwonił. Ale nie mam nic do dodania. Poza tym, że faktycznie widziałam tego biedaka przy brzegu, i że zadzwoniłam do was. Około piątej po południu. Emma była ze mną. Nie pamiętam, z kim rozmawiałam, jeśli się pan nad tym zastanawia. No, ale jeżeli rozmowa nie została zanotowana w rejestrze, to nie jest to już mój problem. Ja w każdym razie dopełniłam obowiązku, czy jak się to nazywa. I nie mam nic więcej do powiedzenia.

Wyrecytowała swój przygotowany tekst. Zdążyła się go nauczyć na pamięć.

— Proszę mi choć pomóc z głosem odbierającego meldunek, żebym mógł złożyć skargę na niedopełnienie obowiązków służbowych. Naprawdę nie jest dobrze, jeśli takie wypadki mają miejsce. Wszystkie przyjmowane rozmowy muszą być wpisywane do rejestru. To coś, co należy natychmiast ukrócić. Wie pani, o co mi chodzi.

Stała w drzwiach do salonu, gdzie zauważył ogromne czarne i białe płótna, które za pierwszą bytnością wywarły na nim tak wielkie wrażenie. Nie widział jej twarzy, ale czuł, że się najeżyła. Doskonale wiedziała, że on blefuje, ale nie mogła tego powiedzieć wprost.

— Na miłość boską, głos był zupełnie zwyczajny. Nie zastanawiałam się nad tym.

— Dialekt z Ostlandu?

— Czy ja wiem? Chyba tak... a może nie... nie pamiętam, żeby to był jakiś specj alny dialekt, nie zwracam na to uwagi. Poza tym byłam trochę zdenerwowana, Emmą i tym wszystkim... Widok nie należał w końcu do przyjemnych.

Weszła do salonu, a Sejer podążył za nią. Nie odwróciła się dotąd.

—Dyżurny był młody? Stary?

—Nie mam pojęcia.

— Tego popołudnia miała dyżur policjantka—skłamał. Ewa zatrzymała się na środku pokoju.

—Tak? W takim razie musiała wyjść do toalety — odparła prędko — bo ja rozmawiałam z mężczyzną. Tego jestem pewna.

—Z dialektem z południa?

—Boże! Przecież mówię, że nie mam pojęcia. Nie pamiętam nic więcej poza tym, że to był mężczyzna. Naprawdę dzwoniłam... i nie mam na ten temat nic więcej do powiedzenia.

—A... co on powiedział?

—Co powiedział? Niewiele, pytał, skąd dzwonię.

—A potem?

—Właściwie o nic.

—Ale prosił, żebyście zostały na miejscu wypadku?

—Nie. Powiedziałam mu tylko, gdzie to jest.

—Czyli?

—No, że to mniej więcej na wysokości Domu Ludowego. Tam gdzie stoi barka.

—A potem poszłyście sobie?

—Tak. Poszłyśmy coś zjeść, bo Emma była głodna.

—Droga pani Magnus — rzekł wolno Sejer — sądzi pani, że uwierzę, iż zameldowała pani o znalezieniu zwłok i nikt pani nie prosił o pozostanie na miejscu do przyjazdu funkcj onariuszy?

—U Boga Ojca, przecież nie mogę odpowiadać za wszystkie błędy, jakie popełniają w pracy pańscy ludzie! Może ten facet był młody i niedoświadczony, czy ja wiem? Ale to w końcu nie moja wina!

—A więc uważa pani, że miał młody głos?

—Nie wiem, nie zwracam uwagi na takie rzeczy.

—Artyści zawsze zwracają uwagę na takie rzeczy — stwierdził zdecydowanie. — Są spostrzegawczy, odnotowują wszystko, najdrobniejszy szczegół. Nie mam racji?

Nie odpowiedziała. Zacisnęła usta, które zamieniły się w wąską kreskę.

—Powiem pani coś — dodał cicho. — Nie wierzę pani.

—To już pański problem.

—Mam wyjaśnić dlaczego?

—Nie jestem ciekawa.

—Bo — ciągnął niezrażony jeszcze ciszej — to właśnie o takim zgłoszeniu każdy marzy podczas długiego, nudnego, popołudniowego dyżuru. O znalezieniu zwłok. Nic bardziej nie podnieci funkcjonariusza, nic go tak nie zaabsorbuje jak martwy człowiek w rzece w zwykłe popołudnie, pomiędzy interwencjami w rodzinne awantury, kradzieżami samochodów i pyskówkami z aresztowanymi za pijaństwo. Rozumie pani?

—Ten widocznie stanowił wyjątek.

—Niejedno widziałem w czasie mojej służby—przyznał i wstrząsnął się lekko na tę myśl — ale to mi się nie zdarzyło.

Przyparł ją do muru, toteż wpatrywała się weń z buntem w oczach.

— Maluje coś pani? — spytał nagle.

— Tak, oczywiście. Przecież pan wie, że z tego żyję. Stała ciągle, więc i on nie mógł usiąść.

—Niełatwo to chyba pani przychodzi. Mam na myśli życie z malowania obrazów.

—Cóż, mówiłam już panu, że nie jest mi lekko. Ale dajemy sobie radę.

Zaczęła się niecierpliwić, lecz nie miała odwagi wyprosić go z domu. Nikt by się na to nie odważył. Czekwała przygarbiona w nadziei, że pójdzie sobie sam, a ona wreszcie odetchnie z ulgą.

—Potrzeba matką wynalazków — zauważył surowo. — Jest pani ostatnio niesłychanie punktualna w uiszczaniu opłat, pani Magnus. W porównaniu z okresem przed śmiercią Mai Durban. Wówczas zalegała pani ze wszystkim. Doprawdy, podziwu godna punktualność.

—A skąd pan o tym wie?

—Wystarczy zadzwonić do urzędu gminy, do elektrowni, do telekomunikacji... Jeśli się telefonuje z policji, informacje napływają jak rzeka.

Zachwiała się nieznacznie, zaraz jednak zebrała się w sobie i spojrzała mu w oczy. Źrenice migotały jak pochodnie na wietrze.

—Czy pani córka także była w budce, gdy pani składała meldunek? — spytał lekko.

—Nie, została na zewnątrz. W środku było za ciasno. Emma zajmuje dość dużo miejsca.

Skinął głową do swoich myśli. Ewa odwróciła się znowu plecami.

— Ale wiedziała pani, że Durban i Einarsson się znają, prawda?

Pytanie, rzucone na oślep, zawisło w ciemnościach korytarza. Ewa otworzyła usta do odpowiedzi i zamknęła je z powrotem, otworzyła ponownie, a Sejer czekał cierpliwie z wzrokiem wbitym w złote oczy. Czuł się podle. Ale ta kobieta coś wiedziała i on musiał z niej to wydobyć.

Wciąż się nie mogła zdecydować, wreszcie wymamrotała:

—Nie miałam zielonego pojęcia.

—Kłamstwo jest jak kula mokrego śniegu — stwierdził spokojnie. — Przyszło to pani kiedyś do głowy? Zaczyna się od małej pecynki, ale prędzej czy później trzeba dodać nową warstwę, przetoczyć kulę dalej. Kłamstwo też rośnie i rośnie, staje się coraz cięższe i w końcu nie można go udźwignąć.

Ewa milczała. Oczy błyszczały jej podejrzenie. A potem Sejer się uśmiechnął. Spojrzała na niego zdumiona, bo z uśmiechem na ustach wyglądał zupełnie inaczej.

—Nigdy nie maluje pani nic kolorowego?

—Po co?

—Bo rzeczywistość nie jest czarno-biała.

—Widocznie nie maluję rzeczywistości — odparła niechętnie.

—Wobec tego co?

—Czy ja wiem? Może uczucia?

— A czy uczucia nie są rzeczywiste? Odpowiedzi nie było.

Kiedy szedł do samochodu, stała w drzwiach i śledziła go wzrokiem, jakby chciała zatrzymać. Sejer zaś właściwie wolałby zawrócić i znaleźć się znowu w jej salonie.

Pojechał stamtąd do córki. Zdażył akurat na moment, gdy Mateusz wychodził z wanny, mokry, rozgrzany, z milionem lśniących kropeł w poskręcanych włoskach. Ubrany w żółtą piżamkę wyglądał jak czekoladka w zło-

tym opakowaniu. Pachniał mydłem i pastą do zębów, a w wodzie pławiły się jeszcze rekin, krokodyl, orka i gąbka w kształcie melona.

—Nareszcie! — Ingrid uśmiechnęła się i objęła go, lekko zawstydzona, bo tak rzadko się widywali.

—Mam ostatnio dużo roboty. No, ale jestem. Nie rób nic ekstra, dziecko, mogę zjeść kanapkę. I poproszę o kawę. Eryka nie ma?

—Gra w brydża. W zamrażarce mam pizzę. Zimne piwo też.

—Przyjechałem samochodem — uśmiechnął się.

—No i znam numer do radio-taxi — odparowała.

—Och ty, co słowo to haczyk!

—Jedyny haczyk jest tutaj — roześmiała się i uszczypnęła go w nos.

Zasiadł w pokoju z Mateuszem na kolanach i błyszczącą książeczką dla dzieci o dinozaurach i innych potworach. Świeżo wykąpany malec był tak ciepłutki, że Sejer spocił się po czubki włosów. Przeczytał kilka linijek i pogładził dłonią czarne jak węgiel włosięta, nie przestając się dziwić gestym i w rzeczywistości niewiarygodnie drobnym, sztywnym jak wiórki lokom, tak innym w dotyku niż miękkie, delikatne włoski dzieci norweskich.

—Dziadek będzie u nas spać — powiedział Mateusz z nadzieją w głosie.

—Jeżeli mama mi pozwoli — zgodził się Sejer — i kupię ci kombinezon Finy, żebyś się miał w co ubrać, jak będziesz naprawiał swój trzykołowy rowerek.

Potem posiedział jeszcze chwilę przy łóżeczku wnuka, a Ingrid słyszała dobiegające z pokoju niewyraźne pomrukiwanie, buczenie i ślady melodii jakiejś dziecięcej kołysanki. Sejer nie był za grosz muzykalny, ale Uczył się efekt, a temu nie dało się nic zarzucić. Wkrótce Mateusz spał z rozchyłonymi usteczkami, zza których pobłyskiwały jak perełki białe ząbki. Westchnął, podniósł się i siadł do kolacji z córką, naprawdę już teraz dorosłą i prawie tak piękną jak matka. Jadł powoli, popijając piwem, i zauważył, że w domu Ingrid panuje ten sam zapach co u niego za życia Elizy. Używały tych samych proszków do prania i tych samych kosmetyków, rozpoznał je na półce w łazience. Przyprawiały jedzenie w ten sam sposób. Za każdym razem gdy córka szła po kolejne piwo, przyglądał

się ukradkiem jej ruchom, stwierdzając, że miały z matką ten sam chód, tak samo drobne stopy, tę samą mimikę i uśmiech. Myślał o tym jeszcze długo, gdy już leżał w zimnym pokoju gościnnym, który właściwie był maleńkim, nie wykorzystanym dotąd kącikiem dzieciennym. Czuł się tutaj jak w domu, jakby czas stanął w miejscu. A gdy zamknął oczy, by nie widzieć obcych firanek, wszystko prawie wydawało się jak dawniej. Może jutro z rana obudzi go Eliza?

Ewa marzła w cienkiej nocnej koszuli. Powinna się już położyć, ale nie miała siły wstać z fotela. Coraz trudniej przychodziło jej wykonywać codzienne obowiązki, jakby całą tę pracę uważała za marnowanie czasu. Wzdrygnęła się gwałtownie na dźwięk telefonu, spojrzała na zegar i doszła do wniosku, że to musi być ojciec. Nikt inny nie dzwoniłby tak późno.

— Słucham?

Usadowiła się wygodniej. Podczas rozmów z ojcem musiała bardzo uważać, a zdarzało się, że trwały dość długo.

—Ewa Maria Magnus?

—Tak?

Obcy głos. Nigdy go nie słyszała, w każdym razie tak jej się wydawało. Któż mógłby wydzwaniać tak późno wieczorem do nieznajomej osoby?

Usłyszała dźwięk odkładanej słuchawki i nagle zaczęła się bać. Drżąc, wyjrzała przez okno i nastawiła uszu. Wokół panowała cisza.

*

Dostał od Ingrid maść dziegciową na uczulenie, którą obwąchał właśnie podejrzliwie i kręcąc nosem, odłożył do szuflady. Z kolei wpatrzył się w rozłożone na stole zdjęcia atrakcyjnej Marii Durban i dość przeciętnego Egila Einars-sona, w równym stopniu pozbawionego męskiego seksapilu, jak kobieta niewinności. Nie potrafił pojąć, że mogli się znać, że obracali się w tych samych kręgach. Z trudem przyjął, że mieli wspólnych znajomych. Elementem łączącym ich była Ewa Magnus. To ona znalazła Einars-sona w rzece i z jakiegoś powodu nie zawiadomiła o tym policji. To ona przyjaźniła się z Marią Durban i jako jedna z ostatnich widziała ją żywą.

Oboje zostali zamordowani w odstępie kilku dni i oboje związani byli z południową częścią miasta, chociaż to akurat miało niewielkie znaczenie w tak małej aglomeracji.

Dwa nie wyjaśnione przypadki morderstwa nie mogły Sejera wytrącić z równowagi i nie przyszło mu do głowy, żeby odczuwać z tego powodu szczególny stres. Zawziął się raczej, zmobilizował szare komórki i porządkował bezustannie myśli w logiczne ciągi, próbował różnych zestawień i przyglądał się możliwym kombinacjom jak fragmentom filmu. Poświęcał temu coraz więcej wolnego czasu, który zresztą i tak mu się dłużył. Intuicja podpowiadała, że między obiema ofiarami istniał jakiś związek, jednak brakowało punktów zaczepienia. Czyżby Einarsson jednak miał kogoś na boku, chociaż żona wyśmiała tę sugestię? Cóż, żony zazwyczaj nie wiedzą wszystkiego. Wyjąwszy Elizę, dodał w myślach i poczuł nagle, że się rumieni. Powinien był wezwać Ewę Magnus na komendę i porządnie ją przycisnąć, ale na dobrą sprawę brakło po temu podstaw. Mogłaby się jednak tutaj znaleźć, po drugiej stronie biurka, zaniepokojona i niepewna, inaczej niż we własnym domu. Osamotniona i zdjeta strachem w tym olbrzymim, szarym, przytłaczającym budynku. To jednak co innego niż stare, dobrze znane kąty. *My home is my castle*. Gdyby mógł ją przepuścić przez staroświecką wyżymaczkę i zobaczyć, co się z niej da wycisnąć! Może tylko białą i czarną farbę, pomyślał. Tak czy owak problem polegał na tym, że brakowało powodu do przesłuchania. Nie dopuściła się niczego niezgodnego z prawem, złożyła zeznania po zabójstwie Marii Durban i on jej uwierzył. Żyła jak każdy przeciętny obywatel, odprowadzała córkę do przedszkola, malowała, robiła zakupy, z nikim się nie spotykała, nawet z innymi artystami. A płacenia rachunków w terminie nie zabraniał żaden paragraf. Przeklinał w duchu, że tak łatwo się wymigała na samym początku. Uwierzył, że o niczym nie ma pojęcia. Może to i prawda, że spotkała tę Durban zupełnie przypadkowo. Tragiczna śmierć dawnej przyjaciółki stała się przyczyną szoku, co mogłoby tłumaczyć napięcie w zachowaniu Ewy podczas jego pierwszej wizyty, to prawie namacalne nerwowe drżenie. Kto jednak, spytał sam siebie, odkrywszy zwłoki topielca, wzrusza ramionami i

jak gdyby nigdy nic idzie do McDonalda? Poza tym miała obecnie więcej pieniędzy. Skąd?

Bił się tak z myślami i co jakiś czas wyglądał przez okno. Widok licznych dachów i wierzchołków drzew nie przemawia do nikogo; najważniejszy jest ów skrawek nieba, pomyślał, ten, na który patrzą więźniowie w celi. Tego im brakuje, tych odcieni błękitu, zmieniającego się oświetlenia, odwiecznej wędrowki chmur. Sejer wykrzywił usta w grymasie uśmiechu, otworzył szufladę i wyciągnął paczkę pastylek Fisherman's Friend. W tej chwili zadzwonił telefon. Brenningowa informowała, że w recepcji stoi jakiś chłopczyk, który koniecznie chce się z nim zobaczyć.

—Niech się pan pospieszy — dorzuciła — bo jemu się chce siusiu!

—Chłopczyk?

—Taki chudy. Mówi, że ma na imię Jan Henry.

Poderwał się i pobiegł do windy, która prawie bezszelestnie opuszczała się z piętra na piętro. Nie podobało mu się, że jest tak cicha. Jego zdaniem więcej hałasu sprawiałoby solidniejsze wrażenie. Nie, nie bał się jeździć windą, po prostu tak mu to przyszło do głowy.

Jan Henry stał spokojnie w wielkim holu i rozglądał się dookoła. Na widok drobnej, zagubionej w tej przestrzeni postaci Sejer poczuł wzruszenie. Wziął chłopca za rękę, poprowadził w stronę toalet i zaczekał, aż się załatwi.

—Mama jest u fryzjera — wyjaśnił mały z wyraźną ulgą w głosie.

—Tak? A więc wie, że tu jesteś?

—No, nie, tego dokładnie nie wie, ale pozwoliła mi wyjść na spacer. To strasznie długo potrwa, bo robi sobie loczki.

—Trwała? No tak, to nie żarty, prawie dwie godziny — potwierdził Sejer ze znajomością rzeczy. — Chodź ze mną do biura w takim razie. Zobaczysz, jak pracuję.

Znowu ujął chłopca za rękę i podprowadził do windy. Brenningowa posłała za nim powłóczyście, pełne uznania spojrzenie. Uporała się już z większością intryg w książce i znaczną częścią władzy. Pozostała jej jeszcze namiętność.

— Pewnie nie lubisz wody mineralnej, co?

Sejer rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu jakiegoś poczęstunku. Woda i cukierki nie wystarczą dla zaspokojenia niezmanierowanego apetytu malca.

—O tak, lubię. Tata mi ją zawsze kupował — odparł z zadowoleniem Jan Henry.

—No to mam szczęście.

Detektyw wyjął plastikowy kubek z pojemnika nad umywalką, nalał do pełna. Jan Henry wypił i odbeknął cicho.

—Jak ci się wiedzie od naszego ostatniego spotkania? — spytał Sejer i zauważył, że chłopcu przybyło piegów.

—Nie najgorzej — mruknął mały. — Mama sprawiła sobie ukochanego — dodał po chwili jakby na usprawiedliwienie, po co tu przyszedł.

—O kurczę! — wyrwało się Sejerowi. — To stąd te loczki.

—Nie wiem. Ale on ma motor.

—Tak? Japoński?

—Bmw.

—No, no! Wozi cię?

—Tylko tam i z powrotem pomiędzy sznurami do bielizny.

—I tak nieźle, może z czasem zabierze cię dalej. Wkładasz kask?

—Pewnie.

—A mama? Ją też wozi?

—W życiu! Powiedziała, że nie wsiądzie, ale ją ciągle namawia.

Sejer uśmiechnął się i napił z butelki.

—Miło, że wpadłeś. Rzadko kto tu do mnie przychodzi.

—Naprawdę?

—Znaczy, mam na myśli takie odwiedziny jak twoje, dla przyjemności. Nie te, które się wiążą z moją pracą, rozumiesz.

—Jasne. Tylko że ja właściwie przyszedłem w sprawie tej kartki— rzucił Jan Henry pospiesznie.—Pan powiedział, żebym dał znać, jak mi się coś przypomni. O tej kartce tatusia.

Sejer chwycił się mocno za brzeg biurka.

—O jakiej kartce? — wyjąkał.

—Znalazłem ją w garażu. Siedziałem na ławce przez kilka dni i myślałem o niej, tak jak pan mówił. Później zamknąłem oczy i zobaczyłem tatuaż, dokładnie tak jak tamtego dnia, kiedy... wyszedł i już nie wrócił. Wtedy, co wyjął z kieszeni tę kartkę. I nagle mi się przypomniało, że leżał wtedy pod samochodem i wyciągnął tę kartkę z kieszeni. Przeczytał, co tam było napisane, a potem się trochę wysunął i odchylił do tyłu, o tak... — Jan Henry wyciągnął rękę nad głowę, jakby kładł coś w powietrzu za sobą — ...i położył ją na takim małym występie pod ławką, tuż nad podłogą. No to zacząłem jej szukać i znalazłem.

Chłopiec wsadził rękę do kieszeni i wydobył pognieciony papier. Sejerowi wyraźnie wzrosło ciśnienie, ale na szczęście z natury miał niskie, więc nie odczuł tego szczególnie boleśnie.

Dłoń mu drżała, gdy rozprostowywał świstek z nazwiskiem Liland i numerem telefonu. Karteluszek był rozdarty, więc może było na nim coś jeszcze. Liland...?

— Fantastycznie, synu! — powiedział opanowanym głosem i nalał małemu wody mineralnej.

Numer był miejscowy i wcale nie musiał nic znaczyć. Po trzydziestu latach w policji wiedział to z doświadczenia. Większość ludzi żyje przecież uczciwie i każdy mógł się interesować samochodem. Zwłaszcza oplem mantą, tak atrakcyjną marką dla tych, którzy cenią niemieckie auta, dorzucił w myślach. Jeśli do tego Einarsson rozpuścił pogłoskę, że chce go sprzedać... Pokiwał głową z zadowoleniem. Karcilo go, żeby od razu zadzwonić. Nabrał ochoty na skręta, ale nigdy nie nosił tytoniu do pracy, a w biurku miał tylko paskudne, wysuszone papierosy, którymi częstował innych. Jan Henry zasłużył natomiast na małe zwiedzanie, może zajrzą do jakiejś celi w areszcie i pokaże mu któryś z pokoi przesłuchań. Zabójca Einarssona bujał na wolności przez sześć miesięcy, godzina opóźnienia nie gra żadnej roli. Sejer wziął więc chłopca znowu za rękę i poprowadził korytarzami. Ręka była szczuplejsza niż Mateuszowe silne i pulchne łapki. Żeby nie zapomniał o tym kombinezonie roboczym, pomyślał przelotnie,

zajęty stawianiem odpowiednio małych kroków. Zatrzymali się przy ostatniej celi. Sejer otworzył ją, a Jan Henry zajrzał z ciekawością.

—Czy to ubikacja? — spytał, wskazując dziurę w podłodze.

—Tak.

—Nie chciałbym tu spać.

—Toteż nie będziesz musiał, jeśli się słuchasz mamy.

—O, podłoga jest ciepła. — Poruszył palcami w adidasach.

—Owszem. Nie chcemy ich przecież zamrozić.

—Patrzycie na nich przez okienko?

—Tak, patrzymy. Chodź, podniosę cię, to sam zajrzysz przez okienko.

Malec błyskawicznie znalazł się w ramionach Sejera.

— Wygląda dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem

— stwierdził.

—No pewnie. Jak więzienie, prawda?

—Dużo tu siedzi przestępców?

—W tej chwili akurat bardzo niewielu. Mamy miejsce dla trzydziestu dziewięciu, ale aresztantów jest tylko dwudziestu ośmiu. Większość mężczyzn i kilka kobiet.

—To panie też siedzą?

—Tak.

—Nie wiedziałem, że panie też idą do więzienia.

—Naprawdę? Pewnie myślałeś, że są grzeczniejsze?

—No!

—Wiesz, zdradzę ci tajemnicę — szepnął Sejer. — Masz rację!

—Ale przynajmniej mogą tu trzymać radia. Słuchać muzykę.

—Tak, stamtąd. — Sejer wskazał ręką zamknięte drzwi.

— Tam jest sala kinowa. Właśnie oglądają film. Nazywa się „Lista Schindlera”.

— W kinie?

—Mamy tu wszystko co trzeba. Bibliotekę, szkołę, lekarza, warsztaty. Większość więźniów pracuje. Teraz podłączają kable do ogrzewania silników. Wszyscy muszą sami prać sobie ubrania i przygotowywać jedzenie w

kuchni piętro wyżej. Jest tu też sala gimnastyczna i świetlica. A jak potrzebują świeżego powietrza, to zabieramy ich na dach. Tam mogą spacerować.

—Niczego im tu nie brakuje!

—Hm, nie wiem. Nie mogą wyjść na spacer na miasto przy ładnej pogodzie i kupić sobie loda. A nam wolno.

—A uciekają?

—Owszem, ale nie za często.

—I strzelają do strażników, i zabierają im klucze?

—Nie, coś ty, to się tak nie odbywa. Wybijają szybę i spuszcza ją się po murze budynku, a na dole zwykle czeka ktoś w samochodzie z uruchomionym silnikiem. Mieliśmy tu niejedną złamaną nogę i całkiem sporo wstrząsów mózgu. To dość wysoko.

—Rwą prześcieradła na paski i spuszcza ją się z okna jak na filmach?

—Kradną nylonową linę z warsztatu. Nie siedzą dużo w celach, wiesz, większość czasu spędzają poza nimi.

Ponownie wziął chłopca za rękę i przeszli przez wartownię. Sejer pokazał mu kamery. Jan Henry zobaczył się na monitorze. Stał i pomachał ręką do obiektywu. Potem przeszli do windy i na koniec odprowadził go dwa kwartały dalej do fryzjera, gdzie malec usadowił się na kwiecistych poduszkach wyplatanej kanapki.

Drogę powrotną pokonał w niewiarygodnym tempie. Natychmiast poszukał w książce telefonicznej nazwiska Liland. Znalazł sześć, z których jedno było nazwą firmy. Przesunął palcem po numerach, ale żaden nie pasował do tego z kartki. Dziwne. I żadna spośród tych osób nie była kobietą. Zdziwił się trochę, podniósł słuchawkę i wystukał zanotowany numer. Oczekał jeden sygnał, dwa, trzy, spojrzął na zegarek, licząc dalej, i wreszcie po szóstym odezwał się głos. Męski.

—Słucham, Larsgard.

—Larsgard?

W ciszy, która zapadła po tym pytaniu, zastanawiał się, czy gdzieś już słyszał to nazwisko. Nie, chyba nie. Wyrzwał w dół przez okno i popatrzył z zadumą na nieczynną fontannę, która, jak wszyscy, czekała wiosny.

—Tak, Larsgard.

—Czy mógłbym mówić z kimś o nazwisku Liland? — spytał Sejer z napięciem w głosie.

—Liland?

Po drugiej stronie znowu zapadła cisza, potem mężczyzna odchrząknął.

—Nie, dobry człowieku, nie mógłby pan. Już nie.

—Jak to: już nie? Czy ten ktoś się może wyprowadził?

—Hm. Można to tak ująć. I to całkiem daleko, w gruncie rzeczy, aż do wieczności. Umarła. To była moja żona. Nosila nazwisko Liland, zanim się pobraliśmy. Kristina Liland.

—Doprawdy, bardzo mi przykro...

—Wierzę panu, ale to słowo akurat nie oddaje moich uczuć.

—Kiedy się to stało? Niedawno?

—Nie, skądże. Nie żyje od lat.

—Ach tak? I nikt o takim nazwisku u pana nie mieszka?

—Nie, mieszkam sam. Od jej śmierci. A kto mówi? O co panu chodzi? Głos zabrzmiał ostrzej, jego właściciel zaczął coś podejrzewać.

—Jestem z policji. Chodzi o morderstwo i po prostu chciałbym sprawdzić pewien szczegół. Czy mógłbym wpaść do pana na chwilę i porozmawiać?

—Oczywiście, niech pan przyjeżdża. Zawsze to będzie dla mnie jakaś atrakcja.

Sejer zapisał adres i wyliczył, że droga zajmie mu około trzydziestu minut. Postawił kołnierz marynarki i opuścił pokój. Pudło, pomyślał. Ale z drugiej strony kolejna możliwość wyjścia z budynku. Nie lubił siedzieć spokojnie, nie lubił obserwować z góry dachów i wierzchołków drzew przez zakurzone szyby okien.

Potem przejechał — zgodnie ze swoim zwyczajem wolno — przez ulice, które stopniowo zaczynały przybierać wiosenne barwy. Zakład Zieleni Miejskiej wziął się do roboty. Wszędzie posadzono petunie i szaławie. Przymuszczalnie zdążą jeszcze zmarznąć. On zawsze czekał z sadzeniem do siedemnastego maja. Dwadzieścia lat mu zabrało polubienie tego miasta, ale wreszcie się przyzwyczaił. Kolejno otwierał serce dla różnych osiedli i zaułków. Najpierw poruszyła go stara remiza strażacka, potem otaczające

wzgórza, z tej strony pokryte wiekową, elegancką zabudową. Wiele z dawnych rezydencji przerobiono tu na małe, ekskluzywne galerie i biura. Natomiast wzniesienia od południa zabudowano głównie wysokościami, gdzie zebrano wszystkich możliwych imigrantów i azylantów, z całym bagażem uprzedzeń i wynikających z tego awantur. Z czasem powołano tam własną straż dzielnicową i zupełnie to nieźle funkcjonowało. Uwielbiał także most z pięknymi rzeźbami i rynek, dumę miasta, wyłożony kostką w fantazyjne wzory. Latem rynek zamieniał się w owocowy, warzywny i kwiatowy róg obfitości. O tej porze roku, przed sezonem, grasował tu pociąg-liliput. Sejer przejechał się nim raz z Mateuszem, strasznie się męcząc, żeby pomieścić w mikroskopijnym wagoniku długie nogi. Teraz wagoniki zaludniały spocone matki i wylaniające się z czepeczków drobne, różowe buziaki ze smoczkami. Minipociąg podskakiwał gwałtownie na nierównym bruku. Sejer wyjechał z centrum i wstąpił do mieszkania. Kollbergowi przydałaby się przejażdżka, pomyślał, za dużo czasu spędza sam. Poszukał smyczy, przypiął ją do obroży i pognali po schodach. Sądząc po głosie, Larsgard był stary. Dlaczego numer nie zgadzał się z nazwiskiem? Detektyw zastanawiał się nad tym zagadnieniem, kierując się jak po sznurku na południe, mijając elektrownię i pole kempingowe, sprawdzając drogę we wstecznym lusterku i przepuszczając zniecierpliwionych. Wszyscy jadący za nim prędzej czy później tracili cierpliwość, co przyjmował zawsze z niezmaconym spokojem. Kolo fabryki chrupkiego chleba skręcił na lewo i przez kilka minut przecinał jedynie pola i łąki. Ostatecznie wylądował w osadzie złożonej z czterech czy pięciu zabudowań, na której skraju znajdowało się małe gospodarstwo rolne.

Larsgard mieszkał w żółtym, całkiem ładnym, choć maleńkim domu z ceglastymi szczytówkami, wieńczącymi krawężnice, i z niewielką komórką z boku. Sejer wolnym krokiem podszedł do schodów. Zanim tam dotarł, otworzyły się drzwi i pojawił się w nich chudy, wysoki mężczyzna w swetrze i kraciastych kapciach. Wsparty ramieniem o futrynę, w ręce trzymał laskę. Sejer pogrzebał w pamięci, bo coś w gospodarzu wydawało mu się znajome, ale nie mógł sobie nic konkretnego przypomnieć.

—Łatwo pan trafił?

—Pewnie, to nie Chicago. Orientowałem się na elektrownię.

Uścisnęli sobie dłonie. Sejer objął wychudzone palce z pewną rezerwą, na wypadek gdyby facet cierpiał na artretyzm albo inne świństwo związane z zaawansowanym wiekiem, a potem wszedł za nim do środka. Wewnątrz panował nieład, ale i przyjemny półmrok. Powietrze było świeże, żadnej stęchlizny ani pokładów kurzu.

—Więc mieszka pan tutaj samotnie? — rzucił, sadowiąc się w/ starym, wygodnym fotelu jeszcze z lat pięćdziesiątych.

—Jak palec.

Gospodarz z trudem usiadł na kanapie.

—A to czasami nie jest proste. Nogi zaczynają mi odmawiać posłuszeństwa. Woda się w nich zbiera. Może pan sobie wyobrazić coś gorszego? Do tego mam serce nie po tej stronie co trzeba, choć ciągle jeszcze bije. Odpukać! — Po-stukał nagle palcem w drewno.

—Tak? Czy to możliwe? Serce po prawej stronie?

—Możliwe, możliwe. Widzę, że mi pan nie wierzy. Ma pan taką samą minę jak inni, którym o tym opowiadam. Za młodych lat musieli mi usunąć lewe płuco, bo chorowałem na gruźlicę. Przez dwa lata leżałem w Yardsen. Nieźle mi się tam nawet powodziło, nie o to chodzi, ale kiedy mnie zoperowali, zrobiło się tak dużo miejsca, że co pozostało, zaczęło wędrować na prawo. Tak, serce ciągle jeszcze pika, jak mówiłem, i daję sobie jakoś radę. Raz w tygodniu przychodzi tu taka pomoc domowa, sprząta cały dom, pierze brudy, wyrzuca śmieci razem z zepsutym jedzeniem z lodówki i podlewa kwiatki. Za każdym razem przynosi też trzy, cztery butelki czerwonego wina, czego jej zapewne nie wolno. Znaczy, nie wolno jej kupować dla mnie wina, chyba że dzieje się to w mojej obecności. Więc powiada, żebym nikomu o tym nie mówił, ale pan chyba nie rozniesie tej wiadomości, prawda?

— Oczywiście, że nie — uśmiechnął się Sejer. — Sam wypijam zawsze szklaneczkę whisky przed snem, od lat. I biada sprzątacze, która w stosownej chwili nie zechce dla mnie pójść do monopolowego. Wydaje mi się, że po to zostały stworzone? — dodał niewinnie.

—Jedną szklaneczkę?

—Tylko jedną. Ale pojemną.

— No właśnie. Wie pan, że w szklaneczce właściwie mieszczą się cztery wódeczki? Sam to wyliczyłem. Ballan-tines?

— Nie, Famous Grouse. Ta z pardwą na etykietce.

—Nie słyszałem o takiej. A w jakim celu pan się tu zjawił? Czy moja żona miała na sumieniu jakieś mroczne tajemnice?

—Z całą pewnością nie, jednak muszę panu coś pokazać.

Sejer wyciągnął z kieszeni kartkę.

— Może zna pan ten charakter pisma?

Larsgard podniósł arkusik do oczu. Zaszleścił w jego drżących dłoniach.

— Nie... — powiedział niepewnie. — A powinienem?

— Nie wiem. Niewykluczone. Wielu rzeczy jeszcze nie wiem. Prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania mężczyzny, którego zwłoki znaleziono w rzece. Z pewnością nie wpadł do wody podczas łowienia ryb. Tego wieczoru, kiedy zniknął, a stało się to sześć miesięcy temu, powiedział żonie, że jedzie pokazać komuś samochód. Osobie, która była zainteresowana kupnem. Zanotował nazwisko i numer telefonu tej osoby na kawałku papieru, który zupełnie przypadkowo wpadł mi w ręce. To ta kartka z nazwiskiem Liland i pańskim numerem telefonu, panie Larsgard. Czy potrafi mi pan to wyjaśnić?

Gospodarz potrząsnął głową. Sejer zauważył, że zmarszczył czoło w namyśle.

— Zupełnie nie potrafię — odparł rozdrażnionym tonem — bo za diabła tego nie rozumiem.

Gdzieś głęboko w świadomości mignęło mu wspomnienie omyłkowego telefonu w sprawie jakiegoś auta. Jak dawno to było? Z pół roku temu. Może powinien o tym powiedzieć? Nie zrobił tego.

— A zna pan kogoś ze strony żony o tym nazwisku?

— Nie. Żona była jedynaczką. Na niej nazwisko wygasło.

—Ale ktoś go użył. Przypuszczalnie kobieta.

—Kobieta? Wiele osób nazywa się Liland.

— Nieprawda. W tym mieście tylko pięć. I nikt z tym numerem telefonu.

Larsgard sięgnął do paczki papierosów na stole. Sejer podał mu ogień.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia. To chyba pomyłka. A zmarli nie kupują używanych samochodów. Poza wszystkim żona nie umiała prowadzić. Facet też przypuszczalnie nie sprzedał tego auta, skoro go znaleźliście martwego. Na pewno dlatego, że numer był zły.

Sejer milczał zamyślony. Powiódł wzrokiem po ścianach. W pewnym momencie objął mocniej poręcz fotela i poczuł, jak mu się jeży włos na głowie. Dokładnie nad gospodarzem wisiał mały olej, abstrakcja w czerni i bieli z elementami szarości. Styl wydawał się przedziwnie znajomy. Sejer przymknął na chwilę oczy, po czym je znowu otworzył.

— Cóż to za szczególny obraz ma pan nad kanapą — rzekł cicho.

—Zna się pan na sztuce? Sądzi pan, że coś w tym jest? Mówiłem córce, żeby używała innych kolorów, to może coś sprzeda. Próbuje się z tego utrzymać. Nie wyznaję się na sztuce, więc nie umiem powiedzieć, czy to jest cokolwiek warte. Maluje od lat, choć dotąd się specjalnie nie wzbogaciła.

—Ewa Maria — rzucił Sejer cicho.

—Tak, Ewa. Co takiego? Zna pan moją Ewę? Czy to możliwe?

Poprawił się na siedzeniu, jak gdyby coś go zaniepokoiło.

—Tak, trochę, przypadkowo. Jej obrazy są dobre — odpowiedział pośpiesznie Sejer. — Po prostu ludzie nie nadążają za jej wyobraźnią. Niech pan poczeka, jeszcze się wybije. A więc pan jest ojcem Ewy Magnus?

—I co w tym złego?

—Nic, nic. Niech mi pan powie... córka nie przybrała drugiego nazwiska Liland?

—Nie. Nazywa się wyłącznie Magnus. I w żadnym razie nie stać jej na kupno samochodu. Rozwiodła się niedawno i mieszka sama z tym pędrakiem, Emmą, moją jedyną wnuczką.

Sejer podniósł się i nie dostrzegając zdziwionego spojrzenia Larsgarda, przybliżył twarz do obrazu na ścianie. Wpatrywał się w sygnaturę: E.M.

MAGNUS, ostre, pochyle litery, przypominajace troche runy. Potem spojrzal na kartke. LILAND. To samo pismo. Nie trzeba byc grafologiem, zeby to stwierdzic.

— Moze pan byc dumny z corki. Chodzi mi tylko o ustalenia dotyczace tej kartki. Wiec nie zna pan tego charakteru pisma? — spytal ponownie.

Larsgard nie odpowiedzial. Zacisnal usta jakby zdjety nagla obawa.

Sejer schowal swistek do kieszeni.

— Nie bede panu dluzej przeszkadzac. Rozumiem, ze to byla pomylka.

— Przeszkadzac? Zwariowal pan chyba. Co pan myśli, ze tacy jak ja nie moga sie opedzic od gości?

— Moze sie zdarzy, ze kiedyś jeszcze do pana wpadne. — Sejer staral sie to powiedziec mozliwie lekkim tonem.

Szedl do wyjscia powoli, by gospodarz za nim nadazył. Stanal na najwyzszym schodku i rozejrzal sie po polach. Nie do wiary, ze po raz kolejny natknal sie na to nazwisko. Ewa Magnus. Jakby we wszystkim maczala palce. Dziwne.

— Pan sie nazywa Sejer, prawda? — odezwal sie nagle Larsgard. — To duńskie nazwisko.

— Owszem.

— Nie dorastal pan czasem w Haukendka?

— Tak — potwierdzil zdumiony policjant.

— Wydaje mi sie, ze pana pamietam. Malý chudzielec, który sie ciagle drapal.

— I tak mi zostalo. Gdzie pan mieszkal?

— W zielonej ruderze z tylu za boiskiem. Ewa uwielbiala ten dom. Wyrosl pan od tamtego czasu!

— Chyba tak... — Sejer pokiwal z wolna glowa. Larsgard zajrzal na tylne siedzenie i dostrzegł Kollberga.

— Nie moze byc! Kogo my tu mamy?

— To mój pies.

— Niesamowite. Taki wielki!

— Owszem, pokazny, nie da sie ukryc.

—Jak się wabi?

—Kollberg.

—Co proszę? Też mi imię. Trzeba go było wziąć ze sobą.

—Nie mam takiego zwyczaju. Nie każdy byłby zachwycony.

—Ja tak. Sam miałem psa, wiele lat temu. Dobermana. To była suka. Nazywałem ją Diba, choć pełne imię brzmiało Parafialna Farah Diba. Słyszał pan coś równie obrzydliwego?

—Owszem, zdarzyło mi się.

Wsiadł do peugeota i uruchomił silnik. No, zaraz ci się zacznie palić ziemia pod stopami, kochana Ewuniu, pomyślał, bo za kilka minut porozmawiasz sobie z tatusiem i będziesz miała się nad czym zastanawiać. Psiakrew, że też za każdym razem musiał się znaleźć ktoś, kto ją uprzedzi!

— Niech pan ostrożnie jedzie przez pole — upomniał go surowo gospodarz. — Dużo zwierząt kręci się po drodze.

—Zawsze jeżdżę wolno i ostrożnie. To stary samochód.

—Nie tak stary jak ja.

Larsgard machał mu na pożegnanie, póki nie zniknął z oczu.

*

Ewa stała nieruchomo ze słuchawką w dłoni.

Znalazł kartkę. Po pół roku odnalazł ten ślad.

Policja dysponowała ekspertami w dziedzinie grafologii. Oni mogli stwierdzić, kto ją napisał, ale wpierw musieliby dostać materiał porównawczy. Dopiero potem oddaliby się studiowaniu każdego najmniejszego zakrętaska, połączeń między literami i łuczków, kropek, kresek — całego tego osobistego kodu, który zdradzał wszystkie cechy charakteru i neurotyczne tendencje właściciela pisma, niewykluczone że łącznie z płcią i wiekiem. Uczyli się tego w szkole, studiowali.

Dojechanie do niej od ojca nie zajmie pewnie Sejerowi dużo czasu. Musi się pospieszyć. Jak we śnie przeszła przez pokój na korytarz i zdjęła z wieszaka płaszcz. Rzuciła go na stół w jadalni razem z torebką i paczką papierosów. Pobiegła do łazienki po przybory toaletowe, zapakowała do ko-

smetyczki szczoteczkę do zębów i pastę, dorzuciła szczotkę do włosów i fiolkę paralginu, stamtąd skoczyła do sypialni, porwała z szafy kilka ubrań, jakieś majtki, koszulki i skarpetki. Od czasu do czasu rzucała okiem na zegarek. Z sypialni pomknęła do kuchni. Otworzyła zamrażalnik, wyjęła paczkę z nalepką „Boczek” i wrzuciła do torby. W salonie pogasiła światła i sprawdziła, czy wszystkie okna są szczelnie zamknięte. Minęło zaledwie kilka minut, więc stanęła na chwilę i rozejrzała się po raz ostatni po pokoju. Wiedziała, że musi stąd uciec, choć nie wiedziała dokąd. Emma może zostać u Josteina. Dobrze się tam czuła i niewykluczone, że właściwie wolałaby u niego mieszkać. Ta myśl była paraliżująca. Ewa nie mogła sobie jednak teraz pozwolić na łązy.

Wkładając płaszcz, wyszła na korytarz, przewiesiła torbę przez ramię i otworzyła drzwi. Mężczyzna u wejścia utkwił wzrok w jej twarzy. Nie widziała go dotąd na oczy.

*

Sejer wyjechał z tunelu z głęboką zmarszczką na czole.

— Wiesz, Kollberg — odezwał się na głos — to naprawdę dziwne. — Założył okulary słoneczne i kontynuował monolog. — Zastanawiam się, jak to się dzieje, że czegokolwiek tknę, niezmiennie pakuję się na tę damę. Co ona knuje?

Spoglądał z góry na szare i brudne po zimie miasto.

— W każdym razie Larsgard nie jest w nic zamieszany. Musi mieć co najmniej osiemdziesiątkę na karku, albo i więcej. Ale czego, u Boga Ojca, może chcieć taka wytrawna artystka od pocziwego robotnika z browaru? Pieniądzy przecież nie miał. Może jesteś głodny?

— Hau!

— Ja też. Tylko najpierw pojedziemy na Engelstad. Dogodzimy sobie później. W drodze powrotnej wstąpimy do nocnego. Schabowy dla mnie i pedigree dla ciebie, może być?

Kollberg zaskomlał.

— Przecież żartuję, stary! Dwa schabowe i po piwku dla każdego.

Pies ułożył się z powrotem, zadowolony. Ni w ząb nie zrozumiał, o co chodzi, ale podobał mu się ton, jakim jego pan wypowiedział ostatnią kwestię.

*

Ewa otworzyła usta ze zdziwienia na widok obcego. Za jego plecami majaczył równie nieznany, granatowy saab.

— Przepraszam — wyjąkała. — Myślałam, że to kto inny.

— Ach tak? Dlaczego tak myślałaś, Ewo? Przymknęła niepewnie oczy. I nagle uderzyło ją przerażające podejrzenie, jak błyskawica przemknęło przez myśl. Po pół roku, nie wiadomo skąd, pojawiła się na horyzoncie kartka. Po pół roku stanął u jej drzwi człowiek, na którego czekała. A już myślała, że zrezygnował. Wszedł na dwa schodki i wsparł się ręką o framugę. Był tak blisko, że czuła jego oddech.

— Wiesz, co parę dni temu znalazłem na strychu, kiedy porządkowałem rzeczy Mai? Obraz. Zresztą bardzo interesujący, z twoim podpisem w rogu. Nie wpadłem na to. Wspomniała przez telefon, że spotkała cię na mieście. To był ten wieczór, no wiesz, zanim zginęła. Przyjaciółka z dzieciństwa, powiedziała. Nie miałyśmy przed sobą tajemnic.

Jego głos, syczący i schrypnięty, był głosem gada.

— Nie powinnaś w ten sposób rozdawać na prawo i lewo sygnowanych obrazów. Wybierałem kilka mebli na sprzedaż i tak go znalazłem. Szukałem ciebie, Ewo. Całe sześć miesięcy cię szukałem. To nie takie proste, w końcu jest was wiele o tym imieniu. Powiedz, jak to się stało? Pokusa była zbyt wielka? Opowiedziała ci o pieniądzach, prawda? I dlatego ją zabiłaś?

Ewa musiała oprzeć się o ścianę.

— Nie zabiłam jej!

Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek.

— Gównu mnie to obchodzi! Pieniądze należą do mnie! Cofnęła się gwałtownie w głąb korytarza i z całej siły zatrzasnęła drzwi. Zamknęły się automatycznie. Potykając się dotarła do salonu. Tam usłyszała, że mężczyzna zaczyna ostrożnie, pewnie wytrychem, grzebać w zamku. Nie tracąc

czasu, zbiegła pospiesznie po schodach do piwnicy, wpadła do środka, przecisnęła się obok starej, heblarki i odnalazła główny bezpiecznik. Zapadła ciemność. Mężczyzna na górze dobrał się do drzwi jakimś cięższym narzędziem. Słysząc było stukanie i skrobanie. Wymacała drogę do wyjścia prowadzącego na dwór i nie zwracając uwagi na walenie w skroniach, przejechała palcami po deskach. Drzwi od lat nie były używane, przypuszczalnie zamknięte na głucho, może nawet na kłódkę, nie pamiętała. Prowadziły w gąszcz zarośniętego ogrodu, a zaraz za żywopłotem znajdował się ogród sąsiadów i boczna uliczka, którą mogła uciec. Z góry dochodziły coraz bardziej nerwowe odgłosy uderzeń metalu o drewno, może rąbał drzwi siekierą. Wyczuła sztabę biegnącą w poprzek desek i pocieszyła się nadzieją, że jest tylko zamknięta na skobel. Nic nie widziała, ale żelazo się nie poddawało, chyba zardzewiało. Bez namysłu zdjęła but i uderzyła nim od dołu. Waliła z całej siły, tymczasem mężczyzna na górze pokonał drzwi i wpadł do salonu. Wreszcie żelazo puściło. Podniosła ostrożnie skobel, bo intruz na górze stanął i nasłuchiwał w ciszy. W każdej chwili mógł dostrzec schody do piwnicy i wpaść na myśl, że się tam skryła w ciemnościach, że tamtędy prowadzi droga na zewnątrz. Nie mogła teraz otworzyć, czekała na jego kroki. Wreszcie postąpił w stronę schodów, podeszwy zaszurały po podłodze, a Ewa wsunęła but na nogę i pchnęła drzwi ramieniem, modląc się, żeby nie zaskrzypiały. W ciszy rozszedł się echem żalony jęk zawiasów. Pozostała jej już tylko ostatnia przeszkoda, drzwi zewnętrzne, które jak przypuszczała, były otwarte, bo nie miała zwyczaju ich zamykać. Wspięła się więc na cztery stopnie i zaczęła uderzać ramieniem w deski, gdy nagle usłyszała na schodach kroki. Pojął widać, że chce tędy uciec, bo przyspieszył. Drzwi, o które Ewa tłukła barkiem, uchylily się lekko i zaraz zamknęły. Przez szparę dostrzegła, że ktoś, może tak zawsze praktyczny Jostein, zatknął patyk w stalowe kółka po zewnętrznej stronie. Jeśli to patyk, złamie się prędzej czy później i drzwi ustąpią, więc nie przestawała pchać. Otwór się powiększał. Miała wrażenie, że ramię jej pęknie. Było tak obolałe, że prawie nic nie czuła, toteż nie ustawała. Nagle na najniższym schodku zauważyła nogę obutą w cielisty mokasyn. W ciemności błysnęły białe zęby. Mężczyzna zbliżył się, wyciągnął rękę, a Ewa uderzyła z całych sił i w tej

właśnie chwili zatyczka puściła. Drzwi rozwarły się z hukiem. Straciła równowagę i upadła na schodki. Poderwała się natychmiast i jak pocisk wystrzeliła w kierunku żywopłotu, gdy nagle mężczyzna chwycił ją za nogę. Trzymał mocno, szarpał i ciągnął do siebie, aż broda jej podskakiwała na stopniach. Cementowe schody były lodowate. Nie czuła ramienia. Usta napęłniły się krwią. Uwolniona noga plasnęła o ziemię.

Mężczyzna stanął nad Ewą w rozkroku. Poczwała dziwnie obcy w zatechłym powietrzu piwnicy zapach wody po goleniu. Przez głowę przebiegło jej kilka rozproszonych myśli. Nie jest wysoki, raczej wąły i szczupły, a drzwi stoją otworem. Mam dłuższe nogi. Jeśli uda mi się go zaskoczyć... Może uda mi się go zaskoczyć...

— Leżeć! — warknął.

Próbowała uknuć jakiś plan. Musi coś wymyślić, zdekoncentrować go, wytrącić z równowagi. Schodki do ogrodu miały cztery stopnie, jeśliby zdołała po dwa naraz...

— Nic ci się nie stanie, tylko powiedz, gdzie ukryłaś pieniądze — mówił tonem prawie pieszczotliwym. — A jeśli nie powiesz, będzie ci gorąco, i to bardzo.

Zapalił zapalkę. Ewa stłumiła narastające mdłości i starała się obliczyć, ile jej sekund potrzeba, by stanąć na nogi, wypaść do ogrodu, przeskoczyć żywopłot i przebiec przez trawnik sąsiadów. Analizowała ruchy: podciągnąć ręce i nogi pod siebie, poderwać się, po dwa schodki, przez żywopłot, trawnik, ulica, samochody, ludzie...

— Nie słyszę! — rzucił zniecierpliwiony.

— Nie ma ich przecież tutaj — jęknęła. — A coś ty myślał?

— Mnie tam obojętne, gdzie są — zaśmiał się cicho. — Byłeś mi pokazała do nich drogę.

Co go zaskoczy? Zastanowiła się.. Może jakiś nieoczekiwany ruch, może przeraźliwy krzyk? Taki, który nie przechodzi przez gardło w chwili śmiertelnego strachu, który sznuruje krtani i dusi. Krzyk. Może go sparaliżuje na te dwie sekundy, wystarczające, by się podnieść z podłogi.

— No? — ponaglił.

Wciągnęła głęboko powietrze, wypełniła nim płuca i zamarła.

— Co się dzieje? — niecierpliwił się.

Zapałka zgasła i rozległ się ogłuszający krzyk. Ściany piwnicy odbiły go falami i cisnęły na puste pokoje. Zerwała się na nogi, nabrała więcej powietrza i jeszcze raz krzyknęła. Wtedy rzucił się w pogoń, ale już pokonała schody, przebiegła ogród i wpadła w żywopłot. Czowała, jak ją krzaki szarpiają za włosy i drapią po twarzy, usłyszała trzask rozdieranego płaszcza i sapanie mężczyzny za plecami. Przecisnęła się wreszcie i przyspieszyła. Pobiegnęła naokoło domu sąsiadów i furtką wydostała się na pustą o tej porze ulicę. Przemknęła przez następną furtkę, ból i strach dodawały jej sił. Od tyłu dobiegał odgłos kroków. Okrążyła dom i natknęła się na kolejny żywopłot. Mogła się przezeń przecisnąć i przebiec przez następną posesję, ale zmieniła zdanie, wróciła pod willę i stanęła na przeciwległym rogu, akurat na czas, by zobaczyć, jak mężczyzna rzuca się jej, jak sądził, śladem w krzaki. Wybiegła znowu na ulicę i uciekała dalej poboczem, aby obcasy nie stuknęły po asfalcie. Dostrzegła u stóp zbocza główną drogę i pierwsze światła samochodów, więc przyspieszyła i przestała się oglądać za siebie. Płuca mało jej nie pękły, brakowało tchu, aż wreszcie zobaczyła wolno jadące auto i wyskoczyła na jezdnię. Zapiszczały hamulce, jak worek padła na maskę. Przez szybę wpatrywał się w nią przerażony Sejer. Minęło kilka sekund, nim go rozpoznała i gwałtownie odskoczyła. Pognała na drugą stronę ulicy i wpadła na podjazd kolejnej willi. Słyszała, jak samochód ostro skręca na chodnik i staje, jak otwierają się drzwi i zbliżają kroki, tym razem Sejera. Siły ją opuszczały, spódnica owijała się wokół nóg, ale ciągle biegła. Sejer ścigał ją przez podwórze; jego kroki po żwirze brzmiały wyraźnie, mimo dudnienia w uszach, potem dołączył do nich inny dźwięk, dobrze znany, który sprawił, że coś ją zaczęło dławić za gardło. Pies. Kollberg też chciał wziąć udział w zabawie. Gdy ujrzał, że jego pan rusza biegiem, nie posiadał się ze szczęścia. Wielki jak cielak, potrzebował zaledwie paru sekund, by go dogonić. Merdając ogonem, podskakiwał i chwycił zębami za poły marynarki, póki daleko w przodzie, w półmroku ogrodu, nie dostrzegł kobiety i trzepoczącej długiej spódnicy. Zapomniał o Sejerze i rzucił się w pogoń. Ewa obejrzała się i zobaczyła potężne zwierzę z wywieszonym ozorem, wynurzające się z zarośli. Już nie myślała o detektywie, teraz uciekała

przed psem, przed żółtymi zębiskami i ciężkimi łapami, które odbijały się mocno od mokrej trawy. Pomiedzy starymi jabłoniami stał domek zabaw dla dzieci. Ostatkiem sił rzuciła się w tamtym kierunku, szarpnęła drzwiami i zatrzasnęła je za sobą. Tu w środku nie musiała obawiać się psa. Przy najmniej psa.

Sejer zwolnił i podszedł spokojnym krokiem do maleńkiej chatki. Po klepał na pocieszenie rozczarowanego Koll-berga, który ponownie się ożywił, łąsił do jego nóg i podbiegał niecierpliwie do wejścia. Otworzył ostrożnie drzwi. Siedziała na podłodze, z kolanami pod brodą, przy zastawionym stole. Na białym obrusie stał dzbanek do kawy i dwie porcelanowe filiżanki. Obok niej wałała się zapomniana lalka z nierówno ostrzyżonymi włosami.

— Pozwoli pani ze mną na komendę, pani Magnus — powiedział spokojnie.

*

Powróciła do rzeczywistości.

Podniosła wzrok i ze zdumieniem zauważyła siedzącego naprzeciw Sejera.

Gdyby jej teraz kazał przejść do rzeczy... ale nie zrobił tego. Mógł sobie do woli odbierać nadgodziny, ona nie miała co odbierać. Wciąż jeszcze nie zdjęła płaszcza, więc wsadziła rękę do kieszeni, jakby czegoś szukała.

— Papierosa? — spytał, wyjmując dyżurną paczkę, której nigdy nie tykał.

W milczeniu podał jej ogień. Zauważył, że próbuje się pozbierać, sięgnąć myślą wstecz, znaleźć jakiś sensowny punkt zaczepienia. Krew wokół jej ust już prawie zaschła, dolna warga napuchła. Do domu i tak już nie wróci, więc w końcu zaczęła od początku. Od dnia kiedy Emma wyjechała na ferie, a ona ruszyła autobusem do centrum. Zwrócona plecami do gmachu Glassmagasinet, z trzydziestoma dziewięcioma koronami w kieszeni i reklamówką w dłoni, drżała z zimna na Nedre Storgate, przytrzymując drugą ręką kołnierz palta. Był ostatni dzień września.

Godzina jedenasta rano. Powinna siedzieć w domu i pracować, ale uciekła stamtąd, zadzwoniwszy uprzednio do elektrowni i telekomunikacji z prośbą o zlitowanie i kilkudniową prolongatę opłat. Prądu obiecali jej nie wyłączać z uwagi na małe dziecko, ale telefon odetną do wieczora. Gdyby dom nagle stanął w płomieniach, musiałyby mieszkać w ruinach, bo nie opłaciła polisy. Co tydzień znajdowała w skrzynce urzędowe wezwania do uiszczenia zaległych rachunków, tymczasem stypendium przyznane przez Państwową Radę Artystyczną się opóźniało. W lodówce miała puste półki. Trzydzieści dziewięć koron w kieszeni stanowiło cały jej majątek. W atelier piętrzyły się sterty obrazów, efekty wieloletniej pracy, których nikt nie chciał kupić. Spojrzała na lewo, w kierunku rynku, gdzie lśniła reklama Sparebanken. Parę miesięcy temu został obrabowany. Facet w sportowym dresie potrzebował zaledwie dwóch minut, by umknąć z czterystoma tysiącami koron. Około stu sekund, przeliczyła szybko, i zniknął bez śladu. Z rezygnacją potrząsnęła głową i poszła w stronę sklepu, gdzie sprzedawano akcesoria malarskie, zaglądając po drodze do reklamówki, w której spoczywała uszkodzona puszką fiksatywy w aerozolu za sto dwie korony. Dysza rozpylacza musiała chyba być popsuta, bo albo w ogóle nic nie leciało, albo, co gorsza, płyn zniecała tryskał silnym strumieniem i niszczył delikatne pastele. Na przykład ten portrecik ojca, który się jej tak udał. Musiała wymienić puszkę, bo nie stać jej było na nową. Te kilka koron, które jej zostały, starczy na mleko, chleb i kawę, a potem koniec. Problem polegał na tym, że Emma miała wilczy apetyt i bochenek chleba szybko zniknął. Dzwoniła do PRA, gdzie jej powiedzieli, że stypendium zostanie wysłane „w najbliższych dniach”, więc pewnie przyjdzie jej czekać do tygodnia. A tymczasem nie wiedziała, co będzie jadła jutro. Nie wpadła z tego powodu w panikę, nawet się za bardzo nie przejęła, od lat przyzwyczajona do życia z dnia na dzień. Praktycznie odkąd zostały same z Emmą, bez zarabiającego na utrzymanie mężczyzny. Coś się znajdzie. Zawsze się znajdowało. Niemniej troska tkwiła w piersi jak ostry cierń. A przez lata zdążyła spustoszyć ją wewnątrz. Czasami świat zaczynał się chwiać i trząść w posadach, wtedy ratowało ją tylko przysyłające wszystko zadanie zaspokojenia nienasyconego głodu Emmy. Dopóki była przy niej córka, miała się

czego trzymać. Tego dnia Emma wyjechała z ojcem i Ewa gorączkowo poszukiwała, czego by się tu uchwycić.

Była uparta i jednocześnie niepewna siebie, ale lata niedostatku nauczyły ją stosować różne wybiegi. Pomyślała więc, że może uda się jej zażądać zwrotu pieniędzy zamiast nowej puszki, wtedy miałyby dodatkowe sto dwie korony na jedzenie. Trochę się tylko wstydziła pytać. Jako malarzka potrzebowała fiksatywy i sprzedawca dobrze o tym wiedział. Może by wparować do sklepu z wielkim szumem i z rozpędu zrobić kosmiczną awanturę? Odegra rolę trudnej klientki, postraszy Radą Konsumentów, napyskuje na cały regulator, żeby facet wiedział, z kim ma do czynienia. Może sprzedawca się z miejsca zorientuje, że ona nie ma złamanego grosza, i odda pieniądze? Taki miły człowiek. Zupełnie jak żona Pere Tanguy w anegdocie opowiadanej van Goghowi, która sprzedawała jabłka z obrazu Cezanne'a na sztuki. A propos van Gogha, on też miał gdzieś jedzenie, jeśli mógł zamiast tego kupić tubkę farby. Ewa postępowała podobnie, tyle że w odróżnieniu od Holendra miała na utrzymaniu wiecznie głodne dziecko. Zebrała się na odwagę, przeszła jezdnię i wkroczyła do sklepu. W środku było cieplej, przytulniej i pachniało tak jak w domu, w pracowni. Za ladą działu perfumeryjnego stała młoda dziewczyna, przeglądając broszurkę z kolorami farb do włosów. Ani śladu szefa.

— Przyniosłam to — odezwała się Ewa zdecydowanym tonem. — Rozpylacz nie działa. Proszę mi zwrócić pieniądze.

Dziewczyna zrobiła nadąsaną minę i wzięła reklamówkę.

—U nas tego pani na pewno nie kupiła — powiedziała opryskliwie. — Tego lakieru do włosów nie prowadzimy.

—To nie jest lakier do włosów—wyjaśniła zrezygnowana, przewracając oczami — to utrwalacz, fiksatywa. Przez ten bubel zniszczyłam zupełnie dobry pastel.

Dziewczyna zarumieniła się, chwyciła pojemnik i nacisnęła rozpylacz, kierując go ponad głowę Ewy. Bez rezultatu.

—Wymienię go pani na nowy — powiedziała bez dyskusji.

—Proszę o zwrot pieniędzy — odparła Ewa tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Znam szefa, on by mi oddał gotówkę.

— Dlaczego?

— Bo o to proszę. To się nazywa prawidłowa obsługa klienta.

Ekspedientka westchnęła. Pracowała od niedawna, a poza tym Ewa była od niej dobre dwadzieścia lat starsza. Otworzyła kasę i wyjęła z szufladki banknot stukoronowy i dwie monety.

— Proszę pokwitować.

Ewa podpisała, zabrała pieniądze i wyszła. Spróbowała się odprężyć. Przez kilka dni będzie miała znowu za co żyć. Pododawała w myślach i doliczyła się stu czterdziestu jeden koron. Niemal mogła sobie zafundować kawę w Glassmagasinet, o ile nie trzeba tam nic zamawiać dodatkowo. Weszła w gościnie rozsuwające się, przeszklone, podwójne drzwi po drugiej stronie ulicy. Zajrzała przelotnie do działu książek i właśnie miała pojechać schodami na górę, gdy przy jednej z półek dostrzegła odwróconą plecami, pulchną, ciemnowłosą, krótko ostrzyżoną kobietę. Spokojnie przeglądała jakąś książkę. Za moment obróciła się bokiem i Ewa zauważyła czarne brwi. Minęło sporo lat, lecz tej twarzy nie dało się pomylić z żadną inną. Stała jak wryta, nie wierząc własnym oczom. Błyskawicznie cofnęła się pamięcią do dnia, gdy jako piętnastolatka siedziała na schodkach przed domem. Cały ich majątek, popakowany w kartony, załadowano na ciężarówkę. Nie mogła wyjść ze zdumienia, że naprawdę wszystko zmieściło się w tym niewielkim samochodzie, skoro pokoje, garaż i piwnicę wypełniało tyle przedmiotów. Wyprowadzali się. W tej akurat chwili czuła się podle, jak bezdomny pies. Ojciec krążył wszędzie i sprawdzał rozbieganymi oczami, czy aby czegoś nie zapomnieli. Wreszcie zdobył pracę. Ale unikał wzroku Ewy.

Zazgrzytał żwir i zza rogu ukazała się znajoma postać.

— Musimy się przecież pożegnać — powiedziała. Ewa potwierdziła skinieniem głowy.

— Będziemy do siebie pisać? Nigdy nie miałam do kogo wysyłać listów. Przyjedziesz na wakacje?

— Nie wiem — mruknęła w odpowiedzi.

Była pewna, że nie zdobędzie już nowej przyjaciółki. Rosły razem i dzieliły się wszystkim. Nikt poza tą dziewczyną nie wiedział, jak się będzie

czuła w nowym miejscu. Przyszłość rysowała się jak jedno żałosne pasmo szarzyzny, aż się zbierało na płacz. Jeszcze tylko wstydlivy uścisk... To się zdarzyło prawie dwadzieścia pięć lat temu i nigdy się więcej nie spotkały. Aż do tej chwili.

— Maja?! — zawołała pytającym tonem i czekała w napięciu.

Kobieta odwróciła się, próbując zlokalizować głos, i dostrzegła Ewę. Natychmiast do niej podbiegła.

— Własnym oczom nie wierzę! Do licha! Ewa Maria! Matko Boska, ależ jesteś wysoka!

— A ty jeszcze niższa, niż cię pamiętam!

Zamilkły na chwilę w nagłym zażenowaniu. Przyglądały się sobie badawczo, jakby chciały odnotować każdą zmianę, najdrobniejszy ślad minionych lat. Jedna- odkrywała w rysach i zmarszczkach drugiej oznaki własnej starości. A potem szukała tego, co tak dobrze znała i co nie zniknęło.

— Chodź, Ewo, musimy pogadać — odezwała się Maja. — Siądziemy w kawiarni. Więc dalej tu mieszkasz? Naprawdę mieszkasz tutaj w dalszym ciągu?

Otoczyła ją ramieniem i pchnęła naprzód, jeszcze zaskoczona, ale już po staremu prędką, żywą, zawsze roześmiana, gadatliwa i stanowcza, tak jak ją Ewa zapamiętała, innymi słowy, jej przeciwieństwo. Dopełniały się wzajemnie. Boże, jakże sobie były potrzebne!

—Nigdy nie udało mi się stąd wyrwać—odpowiedziała. — Wredne miejsce. Nie powinnam się była pakować na tę ciężarówkę.

—Nic się nie zmieniłaś od tamtego czasu — roześmiała się Maja. —To samo przygnębienie. Patrz! Stolik przy oknie!

Przyspieszyły kroku, by nikt ich nie ubiegł, i usiadły. Maja zaraz się jednak podniosła.

— Pilnuj miejsc. Ja przyniosę kawę. Jakie chcesz ciastko?

— Tylko kawę.

—Przydałby ci się kawałek tortu — zaprotestowała Maja. — Jesteś jeszcze chudsza niż dawniej.

—Nie mam pieniędzy — wyrwało jej się, zanim zdążyła pomyśleć.

— Tak? Ale ja mam.

Odeszła od stolika i Ewa mogła tylko podziwiać, jak obficie zaopatruje się przy ladzie z ciastkami. Było jej wstyd, że nie może sobie pozwolić nawet na jedno, ale nie przywykła kłamać Mai. Automatycznie powiedziała jej prawdę. Nie mogła wprost uwierzyć, że rzeczywiście tam stoi i nalewa kawę do filiżanek. Jakby nie istniało dwadzieścia pięć lat przerwy. Z tej odległości Maja wciąż wyglądała jak młoda dziewczyna. Gdybym była trochę grubsza, to nie miałabym tylu zmarszczek, pomyślała Ewa z zazdrością i ściągnęła płaszcz. Nie przejmowała się zbyt jedzeniem, połykała coś jedynie wtedy, gdy głód stawał się fizycznie uciążliwy i utrudniał koncentrację. Żyła kawą, papierosami i czerwonym winem.

Maja wróciła z pełną tacą. Podsunęła Ewie talerzyk z napoleonką i rogalikiem z francuskiego ciasta.

— Nie zmieści mi się tyle — poskarżyła się Ewa.

— Jak się postarasz, to się zmieści — odparła stanowczo Maja. — Kwestia wprawy i treningu. Im więcej jesz, tym bardziej rozpychasz sobie żołądek i tym więcej potrzebujesz, żeby go napęcznieć. Wystarczy kilka dni. Nie masz już dwudziestu lat i wierz mi, warto przykryć czymś kości, kiedy kobieta zbliża się do czterdziestki. Rany, lada chwila nam stuknie!

Wbiła widelec w napoleonkę z taką siłą, że krem wypłynął na boki. Ewa obserwowała ją. Czuła, że Maja jak dawniej obejmuje przywództwo, by ona sama mogła odpocząć, odprężyć się i tylko stosować do poleceń. Jak wtedy gdy były dziewczynkami. Zauważyła masę pierścionków na palcach i liczne podzwaniające na rękę bransoletki. Oznaka zamożności.

— Mieszkam tu od półtora roku — rzuciła Maja. — To komiczne, żeśmy się dotąd nie spotkały!

— Prawie nie bywam w mieście. Nie mam za bardzo po co. Mieszkamy na Engelstadzie.

— Z mężem? — spytała Maja ostrożnie.

— Już nie. Z córeczką. Emmą. Zresztą całkiem dużą. Jest teraz z ojcem.

— Czyli samotna matka?

Maja nie bawiła się w ceregiele. Ewa skuliła się wewnętrznie. W tej formie zabrzmiało to żałościwie, trąciło litością i przywoływało obraz biedy.

Kupowała ubrania w Elewatorze, natomiast stroje Mai były eleganckie. Skórzana kurtka, lewisy i buty kosztowały pewnie majątek.

—A ty? Nie masz dzieci? — spytała, podtrzymując ręką kruszący się rogalik.

—Nie, na co mi one?

—Żeby się tobą zajęły na starość — odparła Ewa z prostotą. — Byłyby ci wsparciem i pociechą pod koniec życia.

—Ewo Mario, jesteś jedyna w swoim rodzaju! Już myślisz o starości! Nie żartuj, naprawdę uważasz, że ludzie dlatego fundują sobie dzieci?

Ewa roześmiała się mimo woli. Poczowała się na powrót jak dziewczynka z czasów, gdy nawet na chwilę się nie rozstawały, wyjąwszy wakacje, kiedy ją wysyłano do wujka na wieś. Te letnie miesiące były zresztą nie do zniesienia, przypomniawszy sobie. Nie do zniesienia, bo bez Mai.

—Jeszcze pożałujesz! Poczekaj!

—Nigdy niczego nie żałuję.

— To do ciebie podobne. Ja tam żałuję prawie wszystkiego w życiu.

—I trzeba z tym skończyć, Ewo. Szkoda zdrowia.

—Nie żałuję tylko, że mam Emmę.

— No pewnie, rzadko kto nie cieszy się z własnych dzieci. Rozstałaś się z mężem?

— Znalazł sobie inną i wyprowadził się. Maja pokiwała głową w zadumie.

—A ty, jak cię znam, pomagałaś mu się jeszcze pakować?

—Rzeczywiście. Jest taki niezorganizowany. Poza tym lepiej było się czymś zająć, niż siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak wynoszą meble.

—Ja tam bym się wyrwała do przyjaciółki i obaliła flaszkę.

—Nie mam przyjaciółek.

Dokończyły ciastka w ciszy. Czasami to jedna, to druga potrzasała głową, jakby się jeszcze nie mogły oswoić z faktem, że los je po tylu latach znowu ze sobą zetknął. Miały sobie tyle do powiedzenia. Aż nie wiedziały,

od czego zacząć. Ewa odnosiła wrażenie, jakby ciągle siedziała na tamtych schodkach i wpatrywała się w zieloną ciężarówkę.

—Nie odpowiadałaś na moje listy — odezwała się nagle Maja urażonym tonem.

—Tata naciskał, żebym odpisywała, ale stanęłam okoniem. Byłam rozżalona, że musieliśmy wyjechać i pewnie chciałam się na nim w ten sposób zemścić.

—A skrupiło się na mnie.

—No. Nie wyszło mi. Palisz jeszcze? Pogrzebała w torebce w poszukiwaniu papierosów.

— Jak lokomotywa. Ale nie takie słomki jak ty. Maja wyciągnęła z kieszeni kurtki paczkę tytoniu i zaczęła zwijać skręta.

—Więc z czego żyjesz?

Niewinne pytanie, a tak zniechęcające. Zakłopotanie zaróżowiło Ewie policzki. Przez chwilę czuła pokusę, żeby rzucić jakieś bezczelne kłamstwo, ale Maję trudno było oszukać. Nigdy się to nie udawało.

— Sama sobie zadaję to pytanie. Nie za bardzo mam z czego. Maluję. Maja uniosła ze zdziwieniem brwi.

—To znaczy, że jesteś artystką?

—Pewnie tak, choć większość ludzi nie jest tego zdania. Chodzi mi o to, że moje obrazy się nie sprzedają, aczkolwiek traktuję tę sytuację jako przejściową. Inaczej bym to rzuciła.

—Więc w ogóle nie pracujesz?

—Nie pracuję? — zdumiała się Ewa. — Sądysz, że obrazy malują się same? Oczywiście, że pracuję! I to, wierz mi, nie urzędnicze osiem godzin i fajrant. Całą dobę, nawet kiedy śpię. Nigdy nie mam spokoju. To jest po prostu tak, że ciągle czujesz potrzebę poprawienia, wprowadzenia zmian.

Maja uśmiechnęła się krzywo.

—Wybacz wobec tego moją niezręczność. Miałam na myśli taką małą posadę na boku, ze stałą pensją.

—Wtedy nie miałabym czasu malować — odparła opryskliwie Ewa.

—Aha, rozumiem. Namalowanie obrazu wymaga czasu.

—Okolo pół roku.

—Co? Tworzysz panoramy czy jak?

Ewa westchnęła i zapaliła papierosa. Maja miała wypielegnowane dłonie z polakierowanymi na krwistą czerwień paznokciami. Jej ręce wołały o pomstę do nieba.

—Mało kto rozumie, jakie to trudne — odparła zrezygnowana. — Każdemu się wydaje, że po prostu zrywamy dojrzałe owoce w jakimś tajemniczym ogrodzie.

—Nie znam się na tym — powiedziała Maja cicho. — Jedno mnie dziwi: że ludzie wybierają takie życie, skoro stwarza tyle trudności. Zwłaszcza w twoim przypadku, z dzieckiem i całą resztą.

—Ja go nie wybierałam.

— Jak to nie?

— Właściwie nie. Artystą zostaje się z musu, bo nie ma wyboru.

— Dalej nic nie rozumiem. Wszyscy mają wybór. Ewa nie starała się tego bliżej tłumaczyć. Zjadła oba ciastka, żeby zrobić Mai przyjemność, i teraz zaczynało ją mdlić.

— Powiedz lepiej, czym się sama zajmujesz. Gdziekolwiek byś pracowała, zarabiasz więcej ode mnie.

Maja zapaliła skręta.

—Na pewno. Podobnie jak ty utrzymuję się sama. Prowadzę taką jednoosobową firmę. Pracuję ciężko i z samozaparciem, żeby odłożyć trochę pieniędzy. Prawdę mówiąc, chcę od nowego roku zrezygnować. Pojadę do północnej Francji i otworzę tam mały hotelik, może w Normandii. To takie dawne marzenie.

—Nieźle! — Ewa paliła i czekała na dalszy ciąg.

—To ciężka praca, wymagająca sporo samodyscypliny, ale się opłaci. Traktuję ją po prostu jako środek do osiągnięcia celu i nie poddam się, póki nie zdobędę, czego chcę.

—Mogę to sobie wyobrazić.

—Gdybyś była stworzona z innej gliny, Ewo, zaproponowałabym ci spółkę. — Maja przechyliła się ku niej nad stołem.—Bez kapitału założycielskiego i z pełnym przyuczeniem. Zbiłabyś majątek w rekordowym cza-

sie. Naprawdę. I mogłabyś odłożyć dość, żeby otworzyć własną małą galerię. Nie powinno ci to zająć więcej niż, powiedzmy, kilka lat. Jeżeli dążysz do celu inną drogą, to moim zdaniem jej nadkładasz.

—Ale... co wobec tego robisz?

Ewa przypatrywała się przyjaciółce ze zdumieniem. Mówiąc przed chwilą o swojej pracy, Maja ugniotła w rękę serwetkę w twardą kulę, a teraz patrzyła jej prosto w oczy.

— Nazwijmy to formą obsługi klienta. Ludzie dzwonią, umawiają się na godzinę, a ja ich przyjmuję. Wiesz, tyle jest różnych potrzeb w społeczeństwie, a ta luka rynkowa jest rzeczywiście głęboka. Przypuszczam, że niemal jak Rów Mariański na Pacyfiku. Mówiąc bez owijania w bawełnę, jestem, jak to się elegancko określa, *cali girl*. Albo, jak wolisz, wedle staroświeckiej nomenklatury — dziwką.

Ewa zaczerwieniła się jak burak.

Chyba się przesłyszała. Albo Maja sobie z niej żartuje. Zawsze jej to dobrze wychodziło.

— Kim?!

Maja uśmiechnęła się krzywo i strząsnęła popiół ze skrzydła. A Ewa nie mogła nic na to poradzić, że się w nią wpatrywała jak zaczarowana. Innymi oczami widziała teraz złotą biżuterię, drogie ubranie, kosztowny zegarek i wypchany portfel na stole obok filiżanki. A także twarz Mai...

—Zawsze cię było łatwo zaszokować — stwierdziła Maja oschle.

—Cóż, wybacz, ale szczerze mówiąc, naprawdę mnie zaskoczyłaś.

Próbowała się otrząsnąć z wrażenia. Rozmowa wkroczyła na grząski teren i starała się w nim rozeznać.

— Przynajmniej nie wystajesz na ulicach, to znaczy... chodzi mi o to, że nie wyglądasz...

Czuła sama, że to nie było zręczne.

— Nie, Ewo Mario, nie wystaję. I nie biorę narkotyków. Pracuję równie ciężko jak inni. Tyle że nie płacę podatków.

— Masz wielu... Wiele osób o tym wie?

— Tylko moi klienci, a jest ich niemało. Większość z nich to stali bywalcy. W sumie całkiem prosta historia. Poczta pantoflowa działa i interes kwitnie. Nie puszę się z dumy, ale i specjalnie nie wstydzę.

Zamilkła na chwilę.

— A jak sądzisz? — Zaciągnęła się dymem. — Powinnam się wstydząć?

Ewa potrząsnęła głową. Niemniej sama myśl o tym, pierwsze nieśmiałe i niewyraźne skojarzenia, gdy wyobrażała sobie działalność Mai albo siebie na jej miejscu, sprawiły, że wszystko się w niej przewracało.

— Coś ty! Boże drogi, sama nie wiem. To po prostu takie... nieoczekiwane. Nie pojmuję, że musisz to robić.

— Nie muszę. To mój wybór.

— Ale jak mogłaś wybrać coś takiego?

— Po prostu. Kupa forsy w krótkim czasie. I bez podatku.

— Tak, ale... twoje zdrowie! Chodzi mi o to, jak to na ciebie wpływa? Fakt, że oddajesz się pierwszemu lepszemu?

— Ja nic nie oddaję. Ja sprzedaję. Poza tym trzeba oddzielać pracę od życia prywatnego. Z tym nie mam żadnych problemów.

Uśmiechnęła się, a Ewa zwróciła uwagę, że dołeczki w policzkach z upływem lat się pogłębiły.

— Ale jak by zareagował twój partner, gdyby się o tym dowiedział?

— Może to zaakceptować albo nie.

— Czy jednak z roku na rok nie czujesz, że wzięłaś na barki nadmierny ciężar? Przecież jest masa ludzi, którym nie możesz tego zdradzić.

— A ty nie masz w swoim życiu tajemnic? Każdy je ma. To zresztą typowe dla ciebie. Każdą sprawę komplikujesz. Stawiasz za dużo pytań. Marzę o małym, nadmorskim pensjonacie, może w Normandii. Najlepiej, żeby to był stary dom, który bym mogła sama wyremontować. Potrzeba mi na to paru milionów. Do nowego roku je uzbieram i wtedy wyjadę.

— Kilka milionów? — Ewie zakręciło się w głowie.

— Oprócz tego wiele się nauczyłam.

— Czego się przy tym można nauczyć?

—O, wszystkiego po trochu. Żebyś wiedziała. Dużo więcej, jak sądzę, niż ty przy swoim malowaniu. Jeśli ty się w ogóle czegoś uczysz, to raczej o sobie samej. Być artystą, moim zdaniem, to w pewnym sensie egoizm. Takie analizowanie siebie zamiast otaczających ludzi.

—Mówisz zupełnie jak mój ojciec.

—Co u niego?

—Nie najlepiej. Został sam.

—Tak? Nie wiedziałam. A co z mamą?

—Opowiem ci kiedy indziej.

Zamilkły, pogrążone w myślach. Dla postronnego obserwatora zupełnie do siebie nie pasowały, dopiero bystre oko dostrzegłoby łączące je więzy.

— Pod względem zawodowym obie chyba stanowimy margines — odezwała się Maja. — Z tym że ja zarabiam, a w końcu po to wszyscy pracujemy, nie? Nie wyobrażam sobie, że mi brakuje na ciastko w kawiarni. Jak to na ciebie wpływa?

Ewa nie mogła skryć uśmiechu, słysząc odbite jak piłka własne słowa.

— Fatalnie — wyznała nagle. Nie miała już siły udawać.

—Mam w kieszeni wszystkiego sto czterdzieści koron i nie zapłacone rachunki na dziesięć tysięcy w szufladzie. Dzisiaj wyłączają mi telefon. Nie ubezpieczyłam domu. Co prawda za parę dni mam dostać pieniądze... stypendium — dodała z dumą — z Państwowej Rady Artystycznej.

—Więc jesteś na zasiłku?

—Nie! Boże, to nie zasiłek! — Ewa straciła panowanie nad sobą. — Dostaję stypendium, dlatego że moje prace są oceniane jako ważne i obiecujące. Te pieniądze pozwalają mi pracować i rozwijać się artystycznie dalej, tak abym kiedyś mogła uzyskać samodzielność, także artystyczną!

No! Nareszcie!

—Przepraszam — powiedziała potulnie Maja. — Po prostu nie rozznaję się w tych pojęciach. Więc to nie wstyd pobierać stypendium?

—Oczywiście! Wszyscy tylko o tym marzą.

—No cóż, ja tam nie mam co marzyć.

—Jeszcze by tego brakowało — zażartowała Ewa.

—Przyniosę kawy.

Ewa wyjęła z paczki kolejnego papierosa i odprowadziła wzrokiem pulchną sylwetkę. Nie mogła pojąć, że Maja się do tego stopnia zmieniła. Ta Maja, którą jak się wydawało, tak dobrze znała. Z drugiej strony parę milionów — to rzeczywiście nie w kij dmuchał. Tylko czy to aby prawda? Czy to tak łatwo przychodzi? Wyobraziła sobie, co by mogła zrobić z dwoma milionami. Pozbyć się długów. Kupić niewielką galerię. Nie, to niemożliwe... dwa miliony... chyba grubo przesadza. Chociaż... nie miała w zwyczaju kłamać. Nigdy się nie oszukiwały.

— Proszę bardzo! Mam nadzieję, że ci ta kawa nie stanie kością w gardle, skoro już wiesz, jak na nią zarobiłam?

Ewa roześmiała się mimo woli.

—Nie, smakuje znakomicie.

—Tak mi się zdaje. Czy to nie dziwne? Cały problem jak w soczewce. Nasze potrzeby, nasze marzenia, to motor działania. A kiedy już osiągniemy cel, przez krótką chwilę jesteśmy zadowoleni i znowu wyznaczamy sobie nowe cele. Przynajmniej ja tak funkcjonuję. W ten sposób czuję, że żyję, że coś się dzieje, że idę do przodu. Ile czasu stoisz w miejscu, Ewo? Artystycznie i finansowo?

—Dość długo, jak sędzę. Z dziesięć lat.

—I wcale nie robisz się młodsza. To mi nie brzmi zachęcająco. A co takiego malujesz? Pejzaże?

Ewa upiła kawy i przygotowała się na obszerną mowę obrończą.

— Abstrakcje. Czarno-białe i w odcieniach. Maja skinęła cierpliwie głową.

— Mam własną technikę, którą rozwinęłam w miarę upływu, lat — wyjaśniała Ewa. — Napinam płótno na odpowiedniej wielkości blejtram, zagruntowuję je na biało i kładę na to dość grubą warstwę jasnej szarości, a kiedy wyschnie, nakładam trochę ciemniejszy szary. Kiedy on wyschnie, daję jeszcze ciemniejszy odcień i tak aż do pełnej czerni. Potem to wszystko długo schnie. Aż pewnego dnia stoję przed wielką czarną powierzchnią i muszę się w nią zagłębić, żeby wydobyć światło.

Maja słuchała uprzejmie.

— Wtedy zaczynam pracę... — ciągnęła Ewa z narastającym zapalem.

Rzadko się zdarzało, by ktoś jej w taki sposób słuchał. To było wspa-
niałe. Musiała wykorzystać tę szansę.

—...Wydrapuję obraz. Używam szpachli, takiej jak dawniej do malo-
wania ścian, albo metalowej szczotki, czasem papieru ściernego lub noża.
Szorując, odnajduję odcienie szarości, drapiąc mocniej, docieram do bieli i
wydobywam wiele światła.

—Ale co to przedstawia?

—Hm, nie wiem, czy potrafię ci na to odpowiedzieć. Ten, kto ogląda
obraz, decyduje sam, co widzi. On wyrasta jakby sam z siebie. A składa się
wyłącznie ze światła i cienia, ze światłocieni. Lubię swoje obrazy. Sądzę,
że są dobre. Wiem, że to wielka sztuka — dorzuciła wojowniczo.

—Nie powiem, żeby to brzmiało skromnie.

—Na pewno. Po prostu jak „niezbędna śmiałość kreatywnego egoisty”,
że zacytuję za Charles'em Morice'em.

—Chybanie pojmuje. Nawet interesująco się słucha, ale co to pomoże,
skoro ludzie nie chcą ich kupować?

—Nie potrafię malować takich obrazów, jakich by sobie życzyli ludzie
— odparła zniechęcona Ewa. — Muszę malować tak, jak ja chcę. W prze-
ciwnym razie to nie będzie sztuka, tylko realizacja zamówień, oleodruki do
powieszenia nad kanapą.

—Mam w domu kilka obrazów — powiedziała Maja z uśmiechem. —
Chętnie bym usłyszała twoją opinię o nich.

—Hm. Jak cię znam, są to kolorowe wizerunki pięknych ptaków, kwia-
tów i tak dalej.

—Zgadza się. I uważasz, że powinnam się z ich powodu rumienić?

—Bardzo możliwe, zwłaszcza jeśli były drogie.

— Owszem! Ewa zachichotała.

—Wydawało mi się zawsze, że malarze używają pędzla — rzuciła na-
gle Maja. — A ty? Nigdy go nie stosujesz?

—Nigdy. Przy mojej metodzie wszystko jest dane, zanim zacznę dra-
pać. Całe światło i cała ciemność. Muszę to tylko odkryć, odszukać. To
podniecające, nigdy nie wiem, co w końcu znajdę. Próbowałam malować
pędzlem, ale mi nie szło. To takie sztuczne przedłużenie ręki. Nie potrafi-
łam dotrzeć do istoty obrazu. Każdy odnajduje własną technikę i ja zna-
łam swoją. Dlatego moje obrazy nie są podobne do innych. I tak już musi
zostać. Prędzej czy później trafię na kogoś, jakiegoś marszanda, który zapa-
li się do moich pomysłów i da mi szansę. Zorganizuje moją samodzielną
wystawę. Potrzebuję tylko kilku dobrych recenzji w gazetach, może jakie-
goś wywiadu i lawina ruszy. Jestem tego pewna. Nie mam zamiaru się
poddąć. Za nic!

Przekonanie o własnej słuszności rosło w miarę mówienia i poprawiało
jej nastrój.

—A nie mogłabyś trochę popracować? — zapytała Maja trzeźwo. —
Mam na myśli taką zwykłą pracę, dla zarobku. Wieczory poświęcałabyś na
malowanie.

—Dwa etaty? Z Emmą na głowie? Maju, ja nie mam nadludzkiej ener-
gii.

—Ja też mam dwa etaty. Przecież muszę coś pisać w zeznaniach po-
datkowych.

—I co robisz?

— Pracuję w ośrodku zwalczania depresji. Paradoksalność sytuacji
zmusiła Ewę do śmiechu.

—Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Wykonuję dobrą robotę — za-
oponowała Maja.

—Nie wątpię. Założę się, że dla ciebie to strzał w dziesiątkę. Twoi ko-
ledzy pewnie za diabła nie wiedzą, czym się zajmujesz poza pracą.

—Oczywiście, że nie. Jestem tylko lepiej przygotowana niż większość
dziewczyn. Znam mężczyzn i motywy ich działania.

Piły kawę i nie zwracały uwagi na to, co się obok nich dzieje, na wy-
chodzących ludzi, na zwalniane i znowu zajmowane stoliki, na uliczny ruch
za oknem. Jak dawniej, jak zawsze, kiedy były razem. Zapominały o bo-
żym świecie.

—Pamiętasz, jak nasypaliśmy mąki kartoflanej do pomnika wielorybników, żeby wyprodukować sztuczne meduzy? — zaśmiała się Ewa.

—A pamiętasz, jak lakierem do włosów spryskałyśmy w środku ule Strandego? Miałaś siedemnaście uządleń.

—Jakże by nie! Nie zapomnę, jak mnie pchałaś całą drogę do domu na taczce, nie przestając na mnie wrzeszczeć, bo tak strasznie płakałam. To były czasy! Miałam czterdzieści jeden stopni gorączki, a tata rozważał, czy nas czasem nie rozdzielić. Nie rozumiem zresztą, jak ty ze mną wytrzymywałaś, że też ci się nie znudziło to ciągnięcie mnie za sobą. Nawet chłopaków nie umiałam sama poderwać.

—Fakt, zadowalałaś się tymi, których mnie się udawało zdobyć. Chyba nie wszyscy w równym stopniu spełniali twoje wymagania.

—Oczywiście, że nie. Ty brałaś przystojniejszego, a ja dostawałam jego kumpla. Ale gdyby nie ty, pewnie do dzisiaj byłabym dziewicą.

Maja spojrzała z ukosa.

—Jesteś przecież zupełnie ładna. Może powinnaś zostać modelką jakiegoś malarza, zamiast malować sama?

—Coś ty! Zdajesz sobie sprawę, ile one zarabiają?

—W każdym razie miałabyś stałą pensję. I przynajmniej byłoby ci łatwiej o klientów, w razie gdybyś uległa pokusie wejścia w spółkę ze mną. Jeszcze nie widziałam dziewczyny z tak długimi nogami. Spodnie to chyba szyjesz na miarę?

—Noszę tylko spódnice.

Ewa zaczęła się nagle krztusić ze śmiechu.

—O co chodzi?

—Pamiętasz Skollenborgową?

—Zmień temat! Zapadła cisza.

—Musiś otworzyć ten swój hotel właśnie w Normandii?

—Tak. Nie ma mowy, żeby mi się udało z czymś wystartować w tym ciemnogrodzie.

—Więc znowu cię stracę z oczu. Właśnie teraz, kiedyśmy się na nowo odnalazły.

—Może pojedziesz ze mną? Francja to chyba odpowiednie miejsce dla takiej artystki jak ty, co?

—Wiesz, że nie mogę.

—Nie, nic o tym nie wiem.

—Przecież jest Emma. Ma dopiero sześć lat, no, prawie siedem. Chodzi jeszcze do przedszkola.

—I uważasz, że we Francji dzieci nie dorastają?

—Owszem, ale ma też ojca.

—Ale to ty zachowałeś prawa rodzicielskie?

—O tak. — Ewa westchnęła lekko.

—Jak zawsze komplikujesz — powiedziała Maja cicho. — Oczywiście, że możesz pojechać do Francji, jeśli tego chcesz. Będiesz pracowała w hotelu. Co noc przez pięć minut posnujesz się korytarzami w białej nocnej koszuli z pięcioramiennym świecznikiem. Marzę o własnym duchu. Przez resztę czasu mogłabyś malować.

Ewa dopiła kawę. Na chwilę zapomniała o szarej codzienności i oto znowu znienacka ją dopadła. — Jakie masz na dzisiaj plany obiadowe?

—Nie jadam obiadów. Nie poświęcam specjalnej uwagi jedzeniu. Wystarczy mi kanapka z serem.

—Nigdy nie słyszałam czegoś równie głupiego! Nic dziwnego, że jesteś zamorzona. Jak możesz stworzyć coś przyzwoitego, skoro się nieprzyzwoicie odżywasz? Potrzebujesz mięsa! Idziemy! Zjemy „U Hanny”.

—Ale... to najdroższa restauracja w mieście!

—Naprawdę? Dla mnie to nieistotne, wiem tylko, że tam dają najlepiej jeść.

—Zapchałam się ciastkami.

—Zdążą się ubić, zanim obiad wjedzie na stół.

Ewa poddała się i poszła za Mają. Zawsze tak było. Pomysły miała Maja, ona decydowała i przewodziła. Ewa dreptała posłusznie z tyłu.

*

Opuściły Glassmagasinet ramię w ramię, ogrzewając się wzajemnie swoim ciepłem, jak za dawnych lat, i stanęły na bruku rynku. Wejście do „Hanny” stanowiło niejedyn raz obiekt tęsknych spojrzeń Ewy, ale zawsze znajdowało się poza zasięgiem jej kieszeni. Teraz stało przed nimi otworem i Maja przekroczyła ten próg z rozmachem i zwycięskim uśmiechem, podczas gdy Ewa starała się przybrać odpowiednio pewną siebie minę. Kierownik sali skinął z uznaniem i uśmiechnął się uprzejmie. Jeśli nawet wiedział, dzięki jakiej działalności Maja płaci swoje rachunki, nie dał nic po sobie poznać. Delikatnie dotknął jej łokcia i poprowadził je do wolnego stolika. Ewa musiała zostawić płaszcz w garderobie i źle się teraz czuła w pogniecionym musztardowym podkoszulku.

— To co zwykle, Robercie — rzuciła Maja — dla dwóch osób.

Kiwnął głową i oddalił się.

Ewa opadła na krzesło. Rozejrzała się wokół ze zdumieniem, nieprzywykła do ekskluzywnej ciszy takich miejsc. Przyjaciółka królowała za stołem z obojętną miną.

— Powiedz mi, jak to jest — odezwała się Ewa z ciekawością w głosie — gdy się pracuje... w takiej branży.

Maja przekrzywiła głowę.

— Oho, jesteś ciekawa? Mogłam się tego domyślić. Ludzie się tak łatwo nie zmieniają.

Ewa zrobiła obrażoną minę.

— W sumie to nic specjalnego. Z czasem staje się rutyną

— zaczęła tłumaczyć Maja, a potem, jakby z lekkim zażenowaniem, utkwiała wzrok w obrusie. — Nigdy mnie nie przestanie zadziwiać siła męskiego popędu, ta ogromna potrzeba jego zaspokojenia i w końcu prędkość, z jaką to następuje. Widocznie uważają, że to najlepszy rodzaj seksu, ten gwałtowny, prymitywny, bez gry wstępnej i innych bajerów. Bez certole-
nia. Dziesięć minut i po sprawie. Nawet nie zdążysz pomyśleć. W gruncie rzeczy robię wszystko, żeby właśnie nie myśleć. Uśmiecham się tylko możliwie uroczo, kiedy płacą. Ale w zasadzie...

— Tak?

— Niedługo z tym skończę. Dość już się natyrałam.

— Dołała sobie wina.

— A ceny?

—Mniej więcej paczka za numerek. Najpierw forsa, potem usługa. Leżę spokojnie z zamkniętymi oczami, z twarzowym uśmiechem i ani pisnę. Żadnego obcałowywania czy pieszczot. Nie będę ich traktowała jak niemowlaki, wypraszam sobie. Wyskakuj z ciuchów, nałóż gumę i do roboty. Jakbyś walila w jednoręcznego bandytę, forsa wyskakuje sama.

—Tysiąc koron? A ilu dziennie przyjmujesz?

—Czterech, pięciu, czasami więcej. Pięć razy w tygodniu. Przez cztery tygodnie w miesiącu. Możesz już zacząć mnożyć...

—U ciebie w mieszkaniu?

—Tak.

Kelner postawił na stole koktajl z krewetek i białe wino.

—A gdzie mieszkasz?

—Na Tordenskioldsgate, w bloku.

—I nikt z sąsiadów nic nie podejrzewa?

—Nikt nic nie podejrzewa, bo wiedzą. Wielu z nich to stali klienci.

Ewa westchnęła, żując z namaszczaniem wielką krewetkę.

—Mam dodatkową sypialnię — odezwała się nagle Maja.

—Już się tam widzę — prychnęła Ewa. — Przerażoną jak dwunastolatka.

—Przez pierwszy tydzień. Potem zaczniesz to traktować jak pracę. Na kilka godzin, kiedy Emma będzie w przedszkolu. Pomyśl o smakołykach, które byś jej mogła fundować.

—I tak jest za gruba.

—Więc świeże owoce, warzywa, drób...

—Może to zabrzmie niewiarygodnie, ale kusi mnie ta perspektywa — przyznała Ewa. — Tyle że zbyt wielki ze mnie tchórz. To wbrew mojej naturze. — Dość nieoczekiwanie ta myśl ją zirytowała.

—No cóż, zobaczymy.

Kelner zabrał naczynia i pojawił się momentalnie z głównym daniem: delikatną polędwicą, karotkami, brokułami i ziemniakami a la Hasselbacken, po czym nalał do kieliszków czerwonego wina.

—A dziś wieczorem nie pracujesz?

—Nie, dzisiaj mam wolne, ale jutro trochę podziałam. Na zdrowie, Ewo!

Mięso rozpływało się w ustach, wino o idealnej temperaturze w niczym nie przypominało ojcowej canepy — pierwsza butelka wnet została opróżniona i Maja zamówiła następną.

—Jakoś nie mogę się z tym pogodzić — odezwała się Ewa — że naprawdę sprzedajesz swoje ciało.

—To dużo lepsze niż sprzedawać duszę — odparła Maja. — A czy nie to właśnie robią artyści? Jeśli w ogóle należy zachowywać coś dla siebie i ukrywać przed innymi, to chyba duszę. Ciało jest przecież jedynie powłoką, w którą się oblekamy. Nie widzę w nim nic świętego. Dlaczego więc nie pozwolić sobie na hojność, gdy kogoś ono może ucieszyć? Natomiast dusza... wystawiać swoje marzenia i tęsknoty, lęki i z wątpienia po galeriach przed oczy byle kogo... i jeszcze brać za to pieniądze... właśnie coś takiego jest dla mnie prawdziwą prostytutką.

Ewa zeszywniała z marchewką w połowie drogi do ust.

—To chyba nie tak...

—Czyżby? Czy nie to właśnie mówi każdy artysta? Że należy się całkowicie obnażyć?

—Gdzieś ty to usłyszała?

—Jestem wprawdzie dziwką, ale nie idiotką. To dość rozpowszechnione nieporozumienie. — Maja otarła serwetką kąciki ust. — Inny przesąd powiada, że prostytutki to nieszczęśliwe kobiety, które kompletnie straciły godność, trzęsą się po ulicach z zimna w cienkich pończochach, a jako wynagrodzenie dostają ciągi od jakiegoś brutalnego sutenera i większość czasu spędzają bełkocząc w alkoholowym czy innym upojeniu. To jest — przełknęła kawałek mięsa

— tylko niewielka część prawdy. Te dziewczyny, które ja znam, to ciężko pracujące, inteligentne kobiety. Dobrze wiedzą, czego chcą. Szczerze mówiąc, mam naprawdę dużo sympatii i zrozumienia dla prostytutek. One są w sumie najuczciwsze.

Dala znak kelnerowi, by ponownie napełni! kieliszki. Ewa była już lekko wstawiona.

—Chyba i tak się nie nadaję — mruknęła. — Sama mówisz, że jestem za chuda.

—Coś ty! Świetnie wyglądasz! Może się troszeczkę odróżniasz, robisz wrażenie takiej wyjątkowej, ale wierz mi, to co masz między nogami, Ewuniu, to po prostu kopalnia złota. I oni tam właśnie chcą dotrzeć. Mężczyźni są pod tym względem nieskomplikowani, przynajmniej ci, którzy przychodzą do mnie.

Wreszcie pojawił się deser. Schłodzone świeże truskawki i borówki w gorącym sosie waniliowym. Ewa wyjęła zielone listki dekoracji.

—Chwasty w deserze — skomentowała, potykając się o słowa — nie rozumiem, po co to komu. Zresztą nigdy nie pojmowałam mężczyzn. Czego oni w gruncie rzeczy chcą?

—Uśmiechniętych, pulchnych kobietek, lubiących żyć pełnią życia. A tych, o dziwo, wcale nie znajdzie się tak wiele. Kobiety, moim zdaniem, mają zupełnie nierealne ideały. Nie potrafię ich rozgryźć... jakby im w ogóle nie zależało na radości. Oglądałam ostatnio w telewizji pokazy jesiennej mody z Paryża, wiesz, najnowsze modele, najlepsze modelki... Weźmy taką Naomi Campbell, widziałas ją, prawda? Prezentowała coś do połowy ud. I wyobraź sobie, te jej szczudłowate nogi! W życiu nie widziałam takich chudych patyków! Baba wygląda jak wycięta z plastiku. Jak patrzę na te modelki, to się czasami zastanawiam, czy one w ogóle chadzają do klopa i srają jak normalni ludzie.

Ewa ryknęła śmiechem, aż sos prysnął na obrus.

— Nie powinnaś traktować siebie tak śmiertelnie poważnie — ciągnęła Maja z przekonaniem. — I tak wszyscy kiedyś zejdziemy z tego świata. Za sto lat nikt nic nie będzie pamiętał. A trochę pieniędzy by ci się przydało. W końcu marzysz, żeby zostać wielką malarką, nie?

—Już nią jestem — wybełkotała Ewa. — Tylko nikt o tym nie wie. — Pociągnęła nosem w rozrzewnieniu. Alkohol zaczął robić swoje. — A poza tym upiłam się w trupa.

—Znalazłaś sobie moment. Zaraz będzie kawa i koniak. Skończ z tym uzalaniem. Najwyższy czas, żebyś wydoroślała.

— Wierzysz w Boga? — spytała Ewa.

— Nie wygłupiaj się! — Maja otarła usta z sosu waniliowego. — Choć od czasu do czasu ratuję ludzi od depresji. Robię dobry uczynek. Tak bym to określiła. Nie wszystkim mężczyznom udaje się zdobyć kobietę. Kiedyś przyszedł do mnie młody chłopak, który miał hyzia na punkcie ozdabiania ciała kółkami i paciorkami. Cały był nimi usiany, w każdym możliwym miejscu. Świecił się jak amerykańska choinka. Dziewczyny odsyłały go w diabły.

— I co z nim zrobiłaś?

— Obsłużyłam go przyzwoicie, ale policzyłam trochę ekstra.

Ewa pociągnęła koniaku i zapaliła papierosa od strony filtra.

— Chodź ze mną do domu! Obejrzysz mieszkanie — zaproponowała Maja. — Daj sobie szansę wyjścia z impasu. To tylko pewien okres w życiu. Spójrz na to jak na nowe doświadczenie.

Ewa nie odpowiedziała. Czuła się jak sparaliżowana czymś zupełnie nierzeczywistym, czymś, co budziło w niej śmiertelny strach. Ale nie miała wątpliwości — propozycja Mai zapadła jej głęboko w duszę.

*

Leżały w podwójnym łóżku Mai. Ewa dostała gwałtownej czkawki.

— Słuchaj — spytała — co to jest właściwie ten Rów Mariański?

—Największa głębia oceaniczna. Jedenaście tysięcy metrów. Spróbuj to sobie wyobrazić! Jedenaście tysięcy!

—Skąd to wiesz?

—Nie mam pojęcia. Chyba gdzieś czytałam. Dla porównania ten ściek, który przepływa przez miasto i nazywa się rzeką, ma pod mostem dokładnie osiem przecinek osiem metra głębokości.

—Matko, czego ty nie wiesz!

—Nie spędzam tych ogryzków wolnego czasu, które mam do dyspozycji, po dyskotekach, jak przypuszczalnie sądzisz.

—Dawniej to robiłaś.

—Dwadzieścia pięć lat temu, a wtedy i ty nie byłaś od tego.

Roześmiały się obie.

—Te twoje obrazy — zmieniła temat Ewa — są rzeczywiście straszne. To jest właśnie artystyczna prostytutka, powiem ci, malowanie dla pieniędzy. Tylko w tym celu.

—Musimy jeść czy nie?

—Trochę, właściwie nie potrzebujemy dużo.

—Ale prąd i telefon się przydadzą, co?

—No... tak.

—Dostaniesz dziesięć tysięcy, jak będziesz szła do domu.

—Co takiego?

Ewa podniosła się na łokciu i zachwiała z niedowierzania.

—A jutro, jak przyjdiesz, przyniesiesz mi swój obraz. Dobry, taki, który wycenisz na dziesięć tysięcy. Kupię go. Jestem ciekawa, jak malujesz. Może się kiedyś staniesz sławna. Może to okazja.

—Miejmy nadzieję.

Miaja uśmiechnęła się zadowolona.

—Jeszcze rozkręcimy ten twój interes, Ewo, poczekaj. Kiedy wraca Emma?

—Nie wiem. Zazwyczaj dzwoni, kiedy ma dość.

—Więc możesz zacząć już jutro. Oczywiście tylko na próbę. Pomogę ci z początku. Jest parę spraw, których się musisz nauczyć. Przyślę po ciebie taksówkę, powiedzmy o szóstej, dobrze? Jutro wieczorem? Ubrania i resztę przygotuję sama.

—Ubrania?

—Ewo, nie możesz się pokazywać w tym stroju! Naprawdę, wybaczone, ale te ciuchy, których używasz, nie są ani trochę seksowne.

—A po co mi seksowne?

Maja podniosła się i popatrzyła na nią ze zdumieniem.

—Chyba się tak bardzo nie różnisz od innych kobiet, co? Chyba chciałabyś poderwać jakiegoś chłopca, nie?

—Owszem — odparła zmęczona Ewa. — Chyba tak...

—No to musisz przestać się ubierać jak kostucha.

—Potrafisz zwalić z nóg komplementami.

—Właściwie to ci zazdrozczę. Jesteś elegancka. A ze mnie po prostu nabita baba ze zwałami tłuszczu i podwójnym podbródkiem.

—Nieprawda. Jesteś uśmiechniętą, pulchną dziewczyną, cieszącą się pełnią życia. Szanujesz sama siebie? — spytała nagle.

—Przypuszczalnie dwa razy bardziej niż ty siebie.

—Tak się tylko spytałam.

—Mogę sobie wyobrazić, jak to będzie. Wieść o długonogiej malarce rozejdzie się po mieście jak płomień. Może mi nawet podkradniesz klientów? Może właśnie podcinam gałąź, na której siedzę, pozbywam się podstaw utrzymania?

— Jeśli masz prawie dwa miliony, to mi cię nie żal. Ewa wróciła do domu taksówką opłaconą przez Maję.

Zamówiły ją także na wieczór następnego dnia, na szóstą. Nie mogła trafić kluczem do zamka i potknęła się w drzwiach pracowni. Zaczęła przeglądać krytycznie obrazy. Była dość pijana, toteż robiły na niej ogromne wrażenie. Wreszcie przewróciła się zadowolona na kanapę i zasnęła w ubraniu.

*

Kiedy się obudziła, sekundę wcześniej, nim zameldował się kac, przypomniała sobie sen. Śniła się jej Maja. Dopiero gdy otworzyła oczy, wszystko wróciło na swoje miejsce i poderwała się z przerażeniem z kanapy. Zdumiona spostrzegła, że spała kompletnie ubrana, do tego w atelier.

Poczłapała do łazienki i z lekkim strachem podeszła do lustra. Wodoodporny tusz się nie rozmazał, natomiast rzęsy sterczały wokół zaczerwienionych oczu jak nadpalone źdźbła słomy, a pory w skórze rozszerzyły się do wielkości śladów po ukąszeniach węża. Ewa jęknęła i odkręciła kran z zimną wodą. O czym to one rozmawiały?

Powoli rozjaśniało się jej w głowie, a puls przyspieszał, w miarę jak przypominała sobie szczegóły spotkania. Maja, ukochana przyjaciółka z dzieciństwa, której nie widziała od dwudziestu pięciu lat, jest prostytutką. Bogatą prostytutką, pomyślała ze zgrozą, jak przez mgłę rekapitulując dyskusję na temat jej własnych perspektyw wyjścia z finansowego dołka. Nie do wiary! Że też w ogóle wzięła pod uwagę tę możliwość! Spryskała twarz, jęknęła, z apteczki wyjęła pudełko paralginu. Popiła garść tabletek wodą z kranu i ściągnęła spódnicę z podkoszulkiem. Może w lodówce jest piwo, pomyślała. A potem uświadomiła sobie, że czuje się zbyt fatalnie, by pracować, więc kolejny dzień minie bez postępów w malowaniu. Wzięła prysznic, szorując się z całej siły. Po chwili zauważyła, że tabletki zaczynają działać. Narzuciła na siebie czarny szlafrok z chińskimi smokami na plecach. Poszła do salonu, poszukała torebki, a w niej papierosów. W środku zobaczyła plik banknotów. Chwilę przyglądała się im zdumiona, lecz potem się jej wszystko ułożyło. Przeliczyła pieniądze. Dziesięć tysięcy koron. Dość, żeby zapłacić rachunki z szuflady. Potrząsnęła z niedowierzaniem głową, poszła do pracowni i zaczęła ponownie przypatrywać się obrazom. Jeden z nich został wyciągnięty na środek pokoju. Kiedy to się stało? Chyba jeden z najlepszych, jakie namalowała. Prawie całkiem czarna powierzchnia z ukośnie biegnącym przez płótno, jaśniejącym białą rowkiem, jakby obraz pękł na pół. Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu na myśl o minie Mai, gdy ją zobaczy z nim pod pachą.

Pogrzebała jeszcze raz w torebce, znalazła paczkę z ostatnim papierosem, zapaliła i otworzyła lodówkę. Masło, ketchup, butelka oleju sojowego i nic więcej. Westchnęła, przypomniała sobie nagle o pliku banknotów i ponownie się uśmiechnęła. Zimne piwo — oto czego jej teraz trzeba. Ubrała się więc błyskawicznie, narzuciła płaszcz na ramiona i ruszyła zdecydowanym krokiem do narożnego sklepiku. „U Omara” otwierali, chwala Bogu, już o ósmej. Facet nie miał też za złe, gdy ktoś kupował piwo, zanim reszta ludzi zdąży wytknąć nos spod kołdry. Jego buda razila w tej szacownej willowej okolicy jak cierń, ale prosperowała — ku zgorszeniu niektórych i radości Ewy.

Kiedy stanęła w drzwiach, błysnął bielą zębów w szerokim uśmiechu. Wzięła ze skrzynki dwie butelki piwa, dołożyła gazetę i dwie paczki prince'ów light.

—Dobry dzień dzisiaj! — uśmiechał się przyjaźnie.

—Może niedługo — jęknęła Ewa — ale nie w tej chwili.

—Och, wiem, że to być dobry dzień. Ale dwie butelki za mało, jak zły.

—Chyba ma pan rację. — Ewa przyniosła jeszcze jedną ze skrzynki i zapłaciła. — Mam u pana pewnie jakieś długi — uświadomiła sobie. — Może od razu je ureguluję...

—Och, dobry dzień dla mnie też!

Wyciągnął pudełko po butach, gdzie trzymał wszystkie nie zapłacone rachunki.

— Siedemset pięćdziesiąt dwa koron — podliczył. Poczowała wdzięczność na myśl, że nigdy o nich nie wspomniał. Podała tysiąc koron i zajrzała do katalogu superofert, który przed chwilą przeglądał.

— I co, znalazł pan coś ciekawego? — spytała.

— Tak, to tutaj. Dla żony. Przyjdzie w poczcie za dwa tygodnie.

— Co to jest? — Ewa przymrużyła oczy.

—Maszynka do usuwania zmechaceń. Dobra do swetrów i poduszek na kanapie, i do mebli. W moim kraju nie ma zmechaceń. Wy macie dziwne materiały.

—Ja to lubię — odparła Ewa. — Przypominają mi się wtedy stare miśki. Jak byłam mała, miałam takiego zmechaczonego miśka.

—Tak — błysnął uśmiechem. — Miłe wspomnienie. W moim kraju nie ma też miśka.

Piwo było ciepłe. Wstawiła butelkę pod kran z zimną wodą i poszukała w książce numeru Mai. Chciała powiedzieć, żeby przyjaciółka nie zawracała sobie głowy wczorajszą gadaniną po pijaku, że jej po prostu odbiło. W słuchawce nie było sygnału. Jasne, przecież wyłączyli telefon. Rzuciła cicho przekleństwo, poszła do toalety i siadła na sedesie, podwijając spódnicę w wałek wokół talii. Dzisiaj przynajmniej wyglądam zupełnie jak dziwka, pomyślała, i może rzeczywiście nią jestem, może to właśnie dobry dzień, żeby zacząć. Załatwiła się, zdjęła spódnicę i owinęła się na powrót szlafro-

kiem. Stała przed dużym lustrem w korytarzu, gdzie mogła się obejrzeć od stóp do głów. Tak sobie, bez specjalnego powodu.

Miała metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, z czego większość przypadała na nogi. Twarz szczupłą i bladą, a oczy złote, nie dość ciemne, by je nazwać brązowymi. Wąskie ramiona, wyjątkowo długa szyja i ręce o chudych nadgarstkach dopełniały obrazu. Stopy za to były ogromne, czterdziesty pierwszy numer butów, aż się zbierało na płacz. Figura nie należała do specjalnie kobiecych, trochę kanciasta i płaska, natomiast oczy urzeły pięknem, tak w każdym razie mawiał Jostein, wielkie, szeroko osadzone i lekko skośne. Przyzwoity makijaż zdziałałby cuda, ale nigdy się na tym nie znała. Długie ciemne włosy o rudawym poblasku po prostu zwisały luźno wokół twarzy. Przysunęła się bliżej. Zarost nad górną wargą stał się wyraźniejszy. Pewnie zaczął spadać poziom estrogenu, pomyślała. Szlafrok rozchylił się, więc go rozsunała do końca, odsłaniając drobne piersi, długą, wąską talię i uda, równie białe jak skóra na twarzy. Poruszyła na próbę biodrami i rzuciła kilkakrotnie głową, by włosy zafalowały. Jeśli Maja mogła zarobić miliony na tych swoich zwałach tłuszczu, to ja tym bardziej, zauważyła złośliwie i oczami duszy ujrzała ponownie plik banknotów. Ubodła ją myśl, skąd się wzięły. Jakby nie do końca rozumiała, co w niej zaszło w ciągu jednej nocy. Zawiązała na powrót szlafrok i wyjęła ze zlewu butelkę. Koniec z kombinowaniem, po prostu to robi. Nikt nie będzie wiedział. Tylko na trochę, może do Bożego Narodzenia, żeby się wygrzebać z dołka. Wypiła piwo i poczuła, że się uspokaja. Właściwie wcale się nie zmieniłam, pomyślała, tylko odkryłam nowy punkt widzenia. Oderwała się od codzienności. Piła, paliła i marzyła. W wyobraźni widziała już niewielką galerię nad rzeką, najlepiej na północnym brzegu. Galeria Magnus, nieźle brzmi. Nieoczekiwany impuls kazał jej rozważyć dodanie do swojej palety jeszcze jednego koloru — głębokiej czerwieni. Może najpierw cieniutka, prawie niewidoczna kreska, a z czasem, na kolejnych obrazach, coraz więcej. Poczła przypływ natchnienia. Otworzyła jeszcze jedną butelkę i pomyślała, że tego jej właśnie w życiu brakowało. Mai! Teraz Maja wróciła i wszystko się ułoży, westchnęła z zadowoleniem. To przełom. Wypiła całe piwo i usnęła.

Klakson taksówki rozległ się przed domem punkt szósta.

Ewa zapakowała obraz w stary koc, a szofer ułożył go ostrożnie w bagażniku.

— Niech pan jedzie uważnie—napominała go — to jest warte dziesięć tysięcy koron.

Podawała dokładny adres na Tordenskioldsgate i nagle odniosła wrażenie, że taksówkarz przygląda się jej w lusterku. Może znał Maję? Może co drugi mężczyzna w tym mieście przewinął się przez jej łóżko? Strzepnęła ze spódnicy jakiś pyłek i poczuła zdenerwowanie. Niewiele zostało z lekkiego szmerku po piwie. Rzeczywistość wracała z pełną ostrością. Jak to jednak dziwnie, kiedy Emmy długo nie ma. Zupełnie jakby schowała do szuflady rolę matki i stała się na powrót dawną Ewą. No właśnie, pomyślała, jestem po prostu Ewą. Nie obchodzi mnie, co pomyślą inni, robię, co chcę. Uśmiechnęła się do siebie. Taksówkarz zauważył to w lusterku i odwzajemnił uśmiech. Nie wyobrażaj sobie za wiele, pomyślała, nic za darmo.

*

Maja klasnęła w dłonie i wciągnęła Ewę do środka. Wczorajszy wyskok nie pozostawił na okrągłej twarzy żadnych śladów.

—Wchodź, wchodź! O, przywiozłaś obraz!

—Zaraz zemdlejesz.

—Nie ma mowy, nigdy nie mdleję. Rozpakowały płótno i postawiły pod ścianą.

—O rany!

Maja zaniemówiła i w milczeniu dokładnie studiowała obraz.

—Trzeba przyznać, że jesteś zupełnie wyjątkowa. Ma jakiś tytuł?

—Zwariowałaś?

—Dlaczego?

—Bo wtedy to ja decydowałabym o tym, co masz na nim widzieć, a tego właśnie nie chcę. Przypatrz się sama i powiedz, co widzisz. Pogadamy później.

Maja zastanawiała się długo, wreszcie podjęła decyzję.

—Piorun! Tak, uderzenie pioruna.

—Owszem, nieźle. Chyba wiem, o co ci chodzi. Ja tam widzę jeszcze inne rzeczy. Ziemię pękającą podczas trzęsienia albo rzekę płynącą przez miasto w świetle księżyca. Rozżarzoną ławę spływającą po zwęglonej równinie. Może jutro zobaczysz coś odmiennego. Taki był mój artystyczny zamysł. Musisz się uwolnić od niektórych skostniałych poglądów na sztukę, Maju.

—Zostanę przy piorunie. Nie lubię zmian. A co do uwalniania się, kochana, to raczej dotyczy ono ciebie. Przygotowałam ten dodatkowy pokój, obejrzyj go sobie. Jadłaś?

—Piłam.

—Jesteś gorsza niż oserek. Nie możesz się obejść bez niańki? Zrobię ci kanapkę. Dasz radę sama pogryźć?

Powlokła Ewę w głąb mieszkania, do owego pokoju. Wnętrze było ciemne, z dużą ilością czerwieni i pluszu, z aksamitnymi zasłonami i ciężkimi, gęstymi firankami. Olbrzymie łoże przykrywała kapa ze złotymi frędzlami. Na podłodze leżał gruby dywan w czerwone i czarne wzory. Uginał się pod stopami.

— To twoje kolory — stwierdziła Maja zdecydowanym tonem. — Mam też dla ciebie czerwony peniuar z cienkiego aksamitu, łatwy do rozpięcia. Tutaj — podeszła w kąt pokoju i odsunęła zasłonę — masz małą łazienkę z umywalką i prysznicem.

Ewa zajrzała do środka.

—Możesz tu pracować, kiedy ja będę w ośrodku. Dorobiłam dodatkowy klucz. A teraz chodź jeść!

—Kiedyś ty to wszystko zdążyła przygotować? Dzisiaj?

—Tak. A co ty robiłaś?

—Spałam.

—No to możesz trochę popracować w nocy.

—O Boże, nie, sama nie wiem... jeśli się w ogóle odważę, to sądziłam, że jeden raz wystarczy, na początek... Słuchaj — spytała zdenerwowana — dużo jest takich, no wiesz, odpychających typów?

—Nie, skądże.

—Ale zdarza się, że któryś powie coś obrzydliwego albo zrobi coś pa-
skudnego...

—Nie.

—I nie boisz się? Sam na sam z obcymi mężczyznami, tak co wieczór?

—To oni się boją. Sumienie ich gryzie. Po pierwsze, wrednie kłamią, żeby się wymknąć z domu, poza tym podbierają pieniądze na życie, żeby mi zapłacić. W dzisiejszych czasach chodzenie na dziwki wcale nie należy do przyjemności. Dawniej jak facet nie odwiedził burdelu, nie liczył się ja-
ko mężczyzna. Nie, Ewo, nie boję się. Jestem profesjonalistką.

Ewa wbiła zęby w kanapkę i żuła powoli tuńczyka z cytryną i majone-
zem.

— Ale zdarza się, że żądają czegoś specjalnego? Maja otworzyła colę,
upiła spory łyk i zakończyła
krótkim beknięciem.

—Raczej rzadko. Poczta pantoflowa dostarcza dość informacji, żeby
od razu wiedzieli, na co mogą liczyć. Jestem porządną prostytutką i część
seksualnych odbić w ogóle nie wchodzi w grę. Prawie wszyscy to stali
klienci i dobrze mnie znają. Określiłam wyraźnie, co im wolno i gdzie
przebiega granica. Jak im przyjdą do głowy głupoty, to drugi raz ich nie
przyjmę, a tego nie ważą się zaryzykować.

—Przychodzą pijani?

—Owszem, ale nie w trupa. Często miewają w czubie. Przychodzą
prosto z tego pubu po drugiej stronie ulicy, spod „Królewskiej Broni”. Inni
z kolei wpadają podczas przerwy na lunch, pod krawatem i z aktówką.

—A zdarza się, że nie chcą zapłacić?

—Nigdy mi się to nie przytrafiło.

—Czy któryś z nich cię kiedyś uderzył?

—Nie.

—Nie wiem, czy się odważę.

—A do czego tu odwaga?

—Bo ja wiem... Tyle się słyszy różności.

—Facet wkurza się tylko wtedy, kiedy nie dostaje, czego chce, nie?

—No... tak...

—Przychodzą tutaj kupić to, czego potrzebują, i zostają obsłużeni. Nie mają powodu do awantur. Czy to coś złego, sypiać ze sobą?

—No... nie. Tylko że wielu z nich na pewno ma żony, dzieci i tak dalej.

—Naturalnie, że mają. Tacy właśnie tu przychodzą. Ci, co dostają za mało. Małżeństwa nie sypiają ze sobą tak często.

—Myśmy z Josteinem sypiali.

—Z początku na pewno. A po dziesięciu latach? Ewa się zarumieniła.

—A może uważasz — ciągnęła Maja — że my, kobiety, powinnyśmy się w jakiś sposób oszczędzać na wypadek wielkiej miłości, co? Wierzysz w wielką miłość?

—Oczywiście, że nie. Czy któryś z nich się w tobie zakochał? — Ewa popiła trochę coli ze szklanki.

—O tak. Zwłaszcza ci najmłodsi. Uważają, że jestem strasznie miła, więc wtedy dokładałam im trochę ekstra. Na wiosnę przyszedł do mnie taki jeden zupełnie młody chłopak. Wspaniale się nazywał, rodzina pochodzi z Francji i Hiszpanii. Jean Lucas Cordoba. Słyszałaś coś podobnego? Pomyśl tylko, nosić takie nazwisko! — Maja westchnęła w zamyśleniu. — Dla niego samego warto by było wyjść za mąż, nie? Albo Goran, tego to nigdy nie zapomnę. Prawiczek, więc musiałam go tego i owego nauczyć... a jak mi potem dziękował, jak się wzruszył... Niełatwo jest robić to pierwszy raz w wieku dwudziestu pięciu lat, będąc do tego policjantem. Musiało go kosztować dużo odwagi, żeby tu przyjść.

Ewa skończyła kanapkę, dopiła colę i odgarnęła włosy z twarzy.

—Rozmawiacie ze sobą o czymś?

—Zamieniamy parę słów. Te same nic nieznaczące frazesy za każdym razem. Mniej więcej to, co mi się wydaje, że chcieliby usłyszeć. Naprawdę, Ewo, nie wymagają dużo, sama się przekonasz. — Maja spojrzała na zegarek. — Za dziesięć siódma. Pierwszy klient przychodzi o ósmej. Był już u mnie, jeden z tych wiecznie nie w humorze, ale szybko załatwia sprawę i wychodzi. Zajmę się nim. Zapowiem, że się będziemy dzieliły i że robimy to samo. Wtedy będą wiedzieli, czego oczekiwać, a ty będziesz miała taką samą klientelę jak ja-

—Najchętniej schowałabym się gdzieś w szafie i popodglądała was — westchnęła Ewa. — Żeby zobaczyć, jak ty to załatwiasz. Najtrudniej mi przyjdzie coś powiedzieć.

— W szafie ci będzie przyciasno. Więcej zauważysz przez uchylone drzwi.

— Co?

— Przecież nie możesz stać w nogach łóżka. Ale z tego drugiego pokoju też dobrze widać. Zgasimy tam światło i zostawimy szparę w drzwiach. Siądziesz sobie w środku i popatrzysz. Będziesz miała przynajmniej pojęcie. Znasz mnie, nie jestem specjalnie pruderyjna.

— Boże, przydałby mi się teraz drink, cała się trzęsę. Maja ułożyła dwa palce w lufę pistoletu i udała, że strzela jej w czoło.

—Nie ma mowy! Picie w trakcie pracy jest surowo zabronione. To prosta droga do piekła, Ewo. Później pójdziemy na kolację do „Hanny”. Jedno ci mogę obiecać: dopiero jak zaczniesz zarabiać pieniądze, poznasz ich prawdziwy smak. Kiedy mi się czegoś zachce, po prostu wkładam rękę do wazy i wyjmuję plik banknotów. Są wszędzie, w szafach, w szufladach, w łazience i w kuchni, poupychane w pantofle i kozaki... prawie już nad tym nie panuję.

—Chyba nie chcesz powiedzieć, że trzymasz na wierzchu w mieszkaniu dwa miliony koron? — spytała pobladła nagle Ewa.

—Coś ty, tylko tyle, co na bieżące wydatki. Duże pieniądze ukryłam w chatce.

— W chatce?

— No, w ojcowej, na Hardangervidda. Ojciec zmarł cztery lata temu, więc chatka należy teraz do mnie. Byłaś tam kiedyś, pamiętasz? Pojechałyśmy na damski biwak...

— Twój ojciec nie żyje?

—Już dawno. Możesz się domyślić, co go dobiło. Ewa uprzejmie przemilczała odpowiedź.

—Ale pomyśl, niechby jakieś włamanie...

— Dobrze je schowałam. Nikt nie wpadnie na to, żeby tam szukać. Poza tym banknoty nie zajmują dużo miejsca. W banku ich przecież nie mogę trzymać.

—Pieniądze to nie wszystko — wygłosiła Ewa mentorskim tonem. — Możesz umrzeć, zanim się zdążysz nimi nacieszyć.

—A ty możesz umrzeć, zanim w ogóle zaczniesz żyć — odparła Maja. — Ale na wypadek gdybym rzeczywiście nagle odwaliła kite, czynię cię mniejszym jedyną swoją spadkobierczynią. Daję ci te pieniądze z całego serca.

—Wielkie dzięki. Chyba przyda mi się prysznic — powiedziała Ewa. — Aż się spociłam ze strachu.

—To wskakuj. Znajdę dla ciebie ubranie. Czy ktoś mówił, że ci dobrze w czarnym?

—Miło z twojej strony.

—Nie traktuj tego jak komplement. Chodziło mi o to, że zawsze chodzisz na czarno.

—Och! Nie... — Ewa zawstydziała się. — Nie pamiętam, żeby... Jostein nie mógł znieść tego koloru.

—Nie rozumiem, co ty masz przeciwko kolorom?

—Są... w pewnym sensie... rozpraszające.

—Rozpraszające co?

—To co naprawdę ważne.

—A to jest...

—Wszystko inne.

Maja westchnęła i sprzątnęła naczynia ze stołu.

—Artyści to doprawdy skomplikowane typy.

—Cóż — zaśmiała się Ewa — ktoś z nas musi wziąć na barki trud ukazywania głębi bytu. Żeby reszta ludzkości mogła się ślizgać po powierzchni.

Weszła do swojego, w przyszłości, pokoju i rozebrała się. Obok nuciła i przesuwiała głośno wieszaki Maja. Jej sypialnia była zielona z dużą ilością złota. Ewa z konieczności porównała ją do swego czarno-białego mieszkania. Różniły się jak niebo i ziemia.

Małeńka kabina prysznicowa stała naprzeciw ściany wyłożonej lustrem. Własne ciało wydało się jej obce, jakby już wyzbyła się doń prawa. Lustro pokrywało się z wolna parą. Przez krótką chwilę na tle różowej, kwiecistej zasłonki jej cera wyglądała młodo i gładko, potem cała postać zniknęła.

— Byle nie myśleć — mruknęła sama do siebie. — Byle się słuchać Mai.

Wytarła się do sucha i wyszła z łazienki do stosunkowo chłodnego pokoju. Maja pojawiła się z czerwonym, przewieszonym przez ramię peniurem. Ewa włożyła go, zawiązała pasek.

—Wspaniale. Właśnie tego potrzebowałam. Kup sobie kilka czerwonych rzeczy. W czerwieni wreszcie wyglądasz jak kobieta, a nie jak kij od szczotki. Da się coś zrobić z włosami?

—Nie.

—Pozostaje drobny szczegół, który ci muszę pokazać. Połóż się na łóżku, Ewo.

—Co takiego? Po co?

— Po prostu zrób, jak mówię. Połóż się na łóżku. Ewa podeszła z ociąganiem do łóżka i położyła się na środku.

— Nie, z boku, z prawej strony, inaczej trafisz na linię złożenia.

Ewa przetoczyła się ku brzegowi.

—Opuść prawą rękę na podłogę.

—Co znowu?

— Spuść rękę poza kant łóżka. Pomacaj teraz kapę, tak trochę po boku, czujesz coś twardego?

— Tak.

— Wsadź rękę pod kapę i wyrwij to. Jest przyklejone taśmą.

Ewa przesmyknęła prawą ręką pomiędzy frędzlami i natrafiła na jakiś długi i gładki przedmiot, przymocowany z boku do podłogi. Chwyciła go mocno i szarpnęła. Był to nóż.

— Przyjrzyj się temu nożowi, Ewo. To hunter, od Bruslet-ta. JeśU sądzisz, że wygląda okropnie groźnie, cel został osiągnięty. Ma być przestroga, gdyby się komuś coś przywidziało. Kiedy opuścisz bezwładnie rękę i

podniesiesz ją ponownie uzbrojoną w nóż, rękę, że facet siedzący w pościeli z gołym tyłkiem i interesem na wierzchu z miejsca się uspokoi.

—Ale... — Ewa zająknęła się i poczuła nieswojo. — Przecież powiedziałeś, że nigdy się coś takiego nie zdarzyło.

—Nie — odparła Maja wymijająco. — Tylko parę nic nieznaczących prób. — Schyliła się pod łóżko i schowała nóż na miejsce. Ewa nie widziała jej twarzy. — Ale bywa, że niektórym się za dużo wydaje. Nie wszystkich jednakowo dobrze znam. Oprócz tego mężczyźni są o wiele silniejsi od kobiet.—Majstrowała przy taśmie klejącej.—Właściwie nie pamiętam, że on tu jest. Ale wierz mi, w razie potrzeby przypominam sobie natychmiast.

Podniosła się z poprzednim uśmiechem na ustach.

— Może i jestem lekkomyślna, ale za to przygotowana na każdą okoliczność. Chodź, potrzebujesz trochę szminki.

Ewa zwlekała przez chwilę, a potem podeszła bosą po grubym dywanie. Zupełnie inny świat, pomyślała, z własnymi regułami gry. Po powrocie do domu wszystko będzie jak dawniej. Dwa światy... i mur pomiędzy nimi.

Siedziała na taborecie tuż przy drzwiach. Pokój pogrążony był w ciemnościach. Nikt z zewnątrz nie mógł jej dostrzec. Przez szparę widziała łóżko Mai, nocny stolik i lampę z dużym abażurem ozdobionym różowym flamingiem. Reszta tonęła w mroku. Czekwała na dwa krótkie dzwonki do drzwi, ustalony sygnał. Za pięć ósma. Dom stał w spokojnej uliczce, zza okien nie dobiegał żaden hałas. Słyszeć było tylko przytłumioną muzykę z wieży stereo. Maja puściła Joego Cockera. Z każdym rokiem coraz bardziej zachrypnięty, pomyślała Ewa. Dobiegł ją szum silnika. Samochód stanął tuż pod oknem. Spojrzała znowu na zegarek. Za trzy ósma. Serce zabiło mocniej. Trzasnęły drzwiczki auta. Z głuchym odgłosem zamknęły się drzwi na dole. Jakiś impuls kazał jej podejść do okna i wyrzeć na ulicę. Dostrzegła zaparkowany na chodniku biały wóz. Sportowy model, pomyślała, spoglądając spod zmrużonych powiek przez szparę w zasłonach. Miała oko do szczegółów. Opel, całkiem ładny, chociaż już nienowoty. Wydawał się znajomy. Jostein miał kiedyś taki samochód. Kiedy się dawno temu

spotkali po raz pierwszy. Przemknęła na miejsce, siadła na taborecie i złożyła ręce na kolanach. Dzwonek u drzwi odezwał się dwa razy krótko, wedle umowy. Maja wstała. Nagle odwróciła się i uniosła kciuk w górę. Otworzyła. Ewa starała się oddychać spokojnie. W pokoju było dużo tkanin. Czuła, jakby wszystko szczelnie przykrywały. Wszedł mężczyzna. Nie widziała go dokładnie, ale chyba miał około trzydziestki, krępą budowę i rzadkie, jasne, dłuższe na karku włosy, zebrane gumką w cieniutką kitkę. Nosił źle dopasowane džinsy, z których wylewał się brzuch piwosza. Tego właśnie najbardziej nie lubiła: facetów, którzy nie mogli porządnie włożyć spodni ze względu na brzuszysko. Jostein też do nich należał, ale był Josteinem, a to zmieniało postać rzeczy. Mężczyzna ściągnął kurtkę i cisnął ją swobodnym gestem na łóżko, jakby się znalazł u siebie w domu. Ewie się to nie spodobało, zakrawało na bezczelność. Następnie pomacał tylną kieszeń spodni i wyłowił stamtąd banknot, który rzucił na kapę. Usłyszała głos Mai, tak cichy, że musiała się z całych sił skoncentrować. Ostrożnie przechyliła się do przodu i przystawiła ucho na tyle blisko uchylonych drzwi, na ile jej starczyło odwagi.

— Czekałam na ciebie. Chodź!

Głos Mai był słodki jak miód.

Nie potrafię tak mówić, pomyślała zrozpaczona Ewa. Mężczyzna stanął nagle tuż przy Mai i choć nie imponował wzrostem, ona w porównaniu wydawała się mikroskopijna. Mimo półmroku Ewa zauważyła, że rozwiązał zielony peniuar i ściągnął go Mai z ramion. Opadł na podłogę jak kupka szmat. Ewa wpatrywała się w zaokrągloną figurę Mai, jej białą skórę i w mężczyznę. Nie mogła dostrzec jego miny. Muzyka w tle brzęczała łagodnie i Maja podeszła teraz do łóżka. Położyła się powoli na plecach, rozkładając ręce. Mężczyzna wyszarpnął nagle ze spodni kraciastą koszulę. Zapłacił, więc może wziąć sobie ten towar na zasadzie oczywistego prawa własności. I to właśnie zrobił. Ukląkł obok Mai i zaczął rozpinać pasek. Ewa przyglądała się czarnym figom i pulchnym udom przyjaciółki. Nie rozmawiali ze sobą, oboje poruszali się powolnym, wypróbowanym rytmem, jak po wielekroć przedtem, według stałego wzorca. Rozpiął pasek i Ewa usłyszała trzask rozsuwanego zamka błyskawicznego. Łóżko zaskrzy-

biało, gdy się na nim układał. Maja się nie poruszyła. Ewa także nie. Przez szparę dostrzegła, że mężczyzna ściąga spodnie do kolan, a potem szarpnięciem zrywa figi z Mai. Pomogła mu, unosząc leniwie biodra. Rozsunęła nogi i wtedy coś się z nim stało. Zaczął gwałtownie dyszeć, klęknął okra-kiem nad biodrami i rozwarł uda jeszcze szerzej, a potem zanurzył się w niej. Maja odwróciła głowę. Widać było tylko zmierzwione włosy mężczyzny i jego białe pośladki, poruszające się w górę i w dół w coraz szybszym tempie. Po chwili uniósł się na wyciągniętych rękach i odchylił głowę. Zabrzmiał długi, ochryply jęk i mężczyzna opadł na pościel. Wszystko trwało może minutę. Gdy lądował brodą na poduszce, ręka ześlizgnęła mu się na podłogę. Usiłował wymacać jakąś podpórkę z boku łóżka i nagle dał się słyszeć stuk. Wychylił się i spojrział w dół. Ewa dostrzegła, jak manipuluje ręką przy kapie. Maja przekreśliła głowę, gdy się nagle poderwał, i uniosła czarne brwi na widok pobłyskującego w świetle lampy z flamingiem noża w jego dłoni. Mężczyzna spojrział ze zdumieniem na nóż, a potem na Maję, która tymczasem usiłowała się podnieść. Ewa zatkała ręką usta, tłumiąc świst wciąganego powietrza. Przez kilka sekund w pokoju panowała cisza. Joe Cocker właśnie skończył *Up where we belong* i zrobił sobie przerwę przed następną piosenką. Scena, oglądana przez uchylone drzwi, mroziła krew w żyłach i nie pozwalała spokojnie odetchnąć. Maja, wciąż naga, leżała na łóżku z czujną miną, a mężczyzna w spodniach ściągniętych do kolan unieruchamiał ją, unosząc w dłoni nóż.

— Co to ma znaczyć?

Głos zdradzał nieufność. Spojrzenie wpijało się w Maję, lecz ona była równie łagodna i miękka jak na początku. Profesjonalistka.

— Odrobina bezpieczeństwa dla samotnej kobiety. Dużo się tu pojawia dziwnych ludzi.

Ach tak, pomyślała Ewa.

— Ach tak? — powiedział mężczyzna. — Tak nas widzisz? I nie miałaś czasem zamiaru wbić go we mnie?

— To raczej ty wbiłeś coś we mnie — zaśmiała się ochryple.

Siedział ciągle w tej samej pozycji z nożem w ręku i nie myślał się ruszyć.

— Słyszałem, że niektóre dziwki wymuszają w ten sposób pieniądze.

Obejrzał nóż dokładnie, obracał go na wszystkie strony, przyglądał się nagiemu, białemu ciału Mai, jakby się upajał sytuacją.

—Dzięki — odezwała się. — Pieniądze już dostałam. A teraz chyba powinieneś to odłożyć. Nie podoba mi się, gdy celujesz we mnie tym ostrzem.

—A mnie się nie podoba, że znajduję noże w łóżku, przychodząc w uczciwych zamiarach. Na babach nigdy nie można polegać!

Zirytował się. Ewa zagryzła wargi i wstrzymała oddech. Maja próbowała się podnieść, ale popchnął ją na pościel.

—Spokojnie! — powiedziała głośno. — Nie bądź taki nadwrażliwy.

—Nie jestem nadwrażliwy — odparł z gniewem. — To wy się tak zachowujecie. Ciągłe wam się wydaje, że was prześladowujemy. Cholera! Noże, cuda-niewidy. Strzelbę może też masz?

—Naturalnie.

—Paranoiczka! Zawsze to wiedziałem.

—To raczej ty cierpisz na paranoję. Nie miałam powodu sięgać po nóż przeciwko tobie. W każdym razie z początku. Dość tego! Wychodź albo dopłacaj!

—Oho! Pójdę, jak skończę — odparł, ale odłożył nóż, podciągnął spodnie i zasunął zamek.

—Już dawno skończyłeś. Inni czekają w kolejce.

— To niech czekają. Wy, dziwki, jesteście chciwe jak cholera. Niech mnie diabli porwą! Patyka za pięć minut roboty. Wiesz, ile ja muszę na tego patola tyrać w browarze?

— Nie — odpowiedziała Maja zmęczonym głosem. Wpatrywała się w sufit, a Ewa obok czekała, gryząc palce.

—Do jasnej i niespodziewanej cholery! — mamrotał, mocując się z klamrą. — Piekielne baby.

—Psiakrew, dość tego dobrego! Nie musisz tu już więcej przychodzić. Od tej chwili nie jesteś tu mile widziany. Właściwie powinnam ci to powiedzieć dawno temu.

— Ach tak?

Zatrzymał się i pokiwał głową, jakby nagle coś zrozumiał.

— To tak się rzeczy mają? Przyjmujecie nas z otwartymi ramionami, żebyśmy tylko sięgnęli do portfeli, a w rzeczywistości nie znosicie naszych wrednych ryjów, co? No, powiedz, nie jest tak? Niech mnie diabli, jeśli dziwki to nie najbardziej cyniczne stworzenia na świecie!

Maja podniosła się z trudem i wsparła na łokciach. Próbowwała podciągnąć nogi, ale mężczyzna wpadł w szał i rzucił się na nią. Pchnęła go łokciem i starała się wydostać spomiędzy jego ud. Wymacała nóż, chwyciła go, szarpnęła z całej siły i nagle znalazł się w jej dłoni. Poderwała się na kolana i uniosła ostrze. Mężczyzna siedział wciąż na brzegu łóżka, jakby się szykował do ucieczki. Ta kitka włosów sterczy jak chłopięcy członek podczas erekcji, skojarzyło się Ewie, która teraz, żeby zdusić krzyk, gryzła już bez opamiętania całą dłoń. Gdyby się obrócił w lewo, dojrzałby jaśniejący punkcik na tle czarnej szpary drzwi — oko Ewy. Nie zrobił tego jednak. Nagłym ruchem porwał poduszkę i zasłonił się nią jak tarczą. Nie spuszczał oczu z drżącej na całym ciele Mai, przycupniętej na kolanach z wycelowanym weń nożem. Poduszka i nóż. I śmiertelna cisza.

Ewa ukryła twarz w dłoniach. Nie mogła dłużej patrzeć na tę dramatyczną scenę. Bała się nieprzytomnie, że mężczyzna ją dostrzeże, przybiegnie, szarpnie drzwiami i... Zastanawiała się, co sobie pomyśli, jak wielka wściekłość go ogarnie, gdy sobie uzmysłowi, że ich podglądała. Siedziała bez drgnienia i starała się oddychać miarowo. Joe Cocker zaczął nową piosenkę, *When a woman cries*. Mimo rozpaczliwej sytuacji odczuła ogromną ulgę. Nigdy, przenigdy nie wpuści do tego pokoju obcego mężczyzny i nie pozwoli ściągnąć z siebie ubrania. Rezygnuje z kariery, zanim się ona zaczęła, a do tego jeszcze namówi Maję, żeby się wycofała. To właściwie porządna dziewczyna, pomyślała, ciepła, troskliwa wobec innych... Prawie dwa miliony to naprawdę więcej niż dużo. Może się zadowoli trochę mniejszym hotelem. Ewa rozsunęła dłonie i zerknęła przez szparę. Mężczyzna

zszedł wreszcie z łóżka, właśnie wkładał kurtkę. Widziała go od tyłu i czuła, że omiata spojrzeniem sypialnię, jakby sprawdzał, czy czegoś nie zostawił. Wstrzymała oddech, gdy jego wzrok dotarł do przymkniętych drzwi. Wpatrywał się w nie kilka sekund, a potem odwrócił się i wyszedł na korytarz. Coś było nie tak. Nie padło ani jedno słowo. Nagle zrobiło się dziwnie cicho. Stopy Mai, nieruchome na złotej kapie, odchyliły się na zewnątrz. Mężczyzna nie zwlekał dłużej, otworzył drzwi wejściowe i wymknął się z mieszkania.

Ewa się nie poruszyła.

Czekała, aż Maja zawoła. W duszy czuła narastający gniew. Wściekłość na Maję, która ją wciągnęła do tego specyficznego mieszkania i zapewniała o bezpieczeństwie. Od strony łóżka nie dochodził żaden dźwięk. Wstała więc, pchnęła drzwi i wreszcie ujrzała kompletny obraz: białe, nieruchome ciało, wyciągnięte w poprzek pościeli, i głowę przykrytą poduszką.

Nie krzyknęła. To był jeden z dowcipów Mai, jakże dla niej typowy. Nie żałowała efektów, żeby się dobrze zabawić. Ewa skrzyżowała ręce na piersiach i potrząsnęła długimi włosami.

— Jeśli jeszcze raz wpuścisz tu tego faceta, stracę dla ciebie cały szacunek — stwierdziła sucho.

Na dole odezwał się silnik. Odwróciła się prędko i podbiegła do okna. Z chodnika zjeżdżał na ulicę biały samochód. Opel manta, zarejestrowała, taki sam jak tamten Josteina. Zapamiętała początek numeru: BL 74... Zapiszczały opony nerwowo wykręcanych kół podczas zawracania. Kierowca niemal otarł się o stojący na brzegu chodnika znak drogowy i ruszył gwałtownie w kierunku pubu. Ewa śledziła go wzrokiem, a potem odeszła od szyby, pochyliła się nad łóżkiem i ostrożnie odchyliła róg poduszki. Krzyknęła.

Przenikliwy dźwięk pochodził gdzieś z głębi gardła. Maja wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w sufit. Na złotej kapie zastygły rozczapierzone palce. Przerażona Ewa cofnęła się gwałtownie i uderzyła plecami o nocny stolik. Wielka lampa z flamingiem zachwiała się niebezpiecznie. Au-

tomatycznie chwyciła ją obiema rękami, żeby nie spadła. Ponownie podbiegła do okna i popatrzyła na zupełnie już pustą, jakby wymarłą ulicę; ani śladu samochodów, ani żywej duszy, tylko z oddali docierał cichy szum miejskiego ruchu. Wróciła do łóżka, pochyliła się i chwyciła przyjaciółkę za ramiona. Potrząsnęła nią z całej siły. Nic, jedynie broda opadła trochę niżej, i teraz Maja leżała z rozwartymi na oścież ustami. Ewa w panice poszukała wzrokiem telefonu, ale nie dostrzegła go nigdzie. Rzuciła się do drugiego pokoju, sprawdziła nocny stolik, parapet, wróciła do sypialni Mai, nie pomyślała, żeby zapalić więcej świateł i w dalszym ciągu nie widziała aparatu, zauważyła jedynie lśniący, czerwony model sportowego samochodu na półce. To był telefon. Porwała go, uniosła maskę, chciała wezwać pomoc, ale nie pamiętała numeru pogotowia, tego nowego, o którym się dowiedziała z telewizyjnych wiadomości. Musiała poszukać w książce telefonicznej. Książki jednak też nie mogła znaleźć. Odłożyła słuchawkę i opadła na najbliższe krzesło. Popatrzyła na swój czerwony peniuar i wyobraziła sobie nagle cały pokój wypełniony umundurowanymi policjantami, fotografów z lampami błyskowymi i samą siebie na krześle, nagą pod krwistym aksamitem, jak jakaś dziwka.

JAK JAKAŚ DZIWKĄ.

I co ma właściwie powiedzieć? Że podglądała przez szparę w drzwiach? Dlaczego nic nie zrobiłam?—pomyślała nagle ze zdumieniem. Bo wszystko stało się tak prędko. Bała się, że mężczyzna ją odkryje, że jego wściekłość obróci się przeciwko niej. Była pewna, że Maja sama poradzi sobie z tą sytuacją. Maja profesjonalistka...

Poderwała się z krzesła i skoczyła do drugiego pokoju. Błyskawicznie odnalazła i przebrała się w swoje ciuchy. Cały czas nasłuchiwała. A jeśli nagle odezwie się dzwonek i pod drzwiami stanie nowy klient? Pobiegła do drzwi, by je zamknąć na zamek. Nie mogła opanować drżenia palców podczas zapinania guzików. Kątem oka wciąż widziała białe stopy Mai. Nikt nie wiedział, że się tu wybierałam, mruknęła sama do siebie. Poza Mają, oczywiście. Jeśli ktokolwiek na to wpadnie, czy to Jostein, czy policja, czy też opieka społeczna, zabiorą mi Emmę. Wrócę do domu i udam, że o niczym nie wiem. To nie ma nic wspólnego ze mną czy z moim życiem, a ja

nie mam nic wspólnego z tą wymoszczoną pluszem i aksamitem garsonierą. Chwiejnym krokiem chodziła po pokojach, odnalazła torebkę, długi płaszcz... i nagle uświadomiła sobie, że wszędzie pozostawiała odciski palców. Stała jak wryta. Skoro jednak nie figuruję w żadnej kartotece, pomyślała po chwili, nie mogą mnie zdemaskować. Zatrzymała się znowu przy łóżku. Podeszła do wezgowia i pochyliła się nad Mają. W kąciку ust siadła mucha. Przemaszerowała po policzku, znalazła się w rogu oka i zaczęła splatać długie odnóża. Zdesperowana Ewa próbowała ją odgonić, ale uparta mucha podeszła raz jeszcze, wyżej, na końcu rzęs, wreszcie, niby z ociąganiem, wkroczyła na gałkę oczną i stanęła, a nawet jakby się nieco zapadła.

Ewa zakryła ręką usta i rzuciła się do łazienki. Wymiotowała długo, pochylona nad muszlą. Potem już tylko wstrząsała się, z trudem łapiąc dech. W ustach pozostał kwaskowaty, ostry smak. Spuściła wodę. Chciała się podnieść i napić, lecz nagle poślizgnęła się na wymiocinach, runęła do przodu i uderzyła brodą o porcelanowy sedes. Dolna warga pękła. Zęby przegryzły język i pociekła krew. A razem z nią łzy.

Nie powinna już patrzeć na Maję, bo nigdy nie wyjdzie z tego mieszkania. Oderwała kilka metrów z rolki papieru toaletowego i zaczęła sprzątać podłogę. Część prysnęła też na ściany i dolny fragment muszli. Ewa zmywała każdą plamkę, wrzucała papier do muszli i od czasu do czasu pociągała za sznurek, żeby się nie zatkała. A jednak mokry papier z wymiocinami przestał spływać i zgromadził się na dnie. Zrezygnowała, podeszła do umywalki i napiła się zimnej wody, usiłowała potrzymać ją w ustach, żeby zatamować krwawienie. W końcu wyszła z łazienki i nie patrząc na Maję, odwrócona tyłem zastanawiała się, ile czasu minie, zanim ją znajdą. Siadła na krześle. W bloku panowała cisza. Był wczesny wieczór. Nie musi się spieszyć. Jeśli ktoś zadzwoni do drzwi, po prostu nie otworzy. Rozważała, czy mogą ją oskarżyć o współudział w morderstwie, skoro się jedynie przyglądała. Czy uwierzyliby, gdyby od razu powiadomiła policję i opowiedziała, jak to się zdarzyło, całą historię, od momentu spotkania w Glas-

smagasinet?

Rozejrzała się po pokoju. Maja lubowała się w przesadzie, w bujnych, przeładowanych formach i całej gamie ostrych kolorów. Na przykład ta olbrzymia waza do zupy w kształcie truskawki z przykrywką udającą zielone liście. Ewa wstała powoli. Sama nie wiedziała, co nią kieruje. Podeszła do stolika pod oknem i ostrożnie uniosła zieloną przykrywkę. Truskawkę wypełniały banknoty. Odwróciła się prędko i spojrzała na Maję. Plik był gruby, pewnie wiele tysięcy koron. Poszukała wzrokiem innych schowków. Rzucił się jej w oczy biało-niebieski wazon z jedwabnymi różami. Wyjęła kwiaty i znalazła kolejny plik banknotów. Skrzynka z przyborami do szycia okazała się wyładowana po brzegi. Przypomniała sobie kozaczki. Otworzyła szafę w małym korytarzu i odwróciła każdą z trzech par do góry nogami, a pieniądze sypnęły jak płatki śniegu. Zaczęła się gwałtownie pocić. Schowała banknoty do torebki i ruszyła dalej. Znalazła pieniądze w obu nocnych stolikach i w łazienkowej apteczce. W miarę jak upychała w torebce coraz to nowe sumy, narastał w niej gniew. Już nie oglądała się na zwłoki Mai. Przyjaciółka zniszczyła w jej życiu coś istotnego. Odkryła przed Ewą tę stronę jej własnej osobowości, z której istnienia dotąd nie zdawała sobie sprawy i bez której najchętniej by się obyła. Wszystkiemu winna Maja, a Maja nie potrzebowała już pieniędzy. Torebka była wypchana pięćdziesięcio-, stu- i tysiąckoronowymi nominałami. Ewa przeciągnęła ręką po czole i otarła pot. Rozległ się dzwonek do drzwi. Jednym skokiem znalazła się w odległym kącie, przerażona myślą, że ktoś mógłby zajrzeć przez dziurkę od klucza. Dwa krótkie dzwonki, sygnał. Za drzwiami stoi mój pierwszy klient, pomyślała, wstrzymując oddech. Dzwonek zabrzmiał znowu. Musiała teraz chwilę odczekać, zanim opuści mieszkanie. Nikt nie powinien jej zobaczyć. Nie miała z tym nic wspólnego, po prostu nieszczęśliwy traf. Po jakimś czasie ucichły kroki na schodach i zatrzasnęły się drzwi klatki. Spojrzała na zegarek. Dwudziesta czterdzieści pięć. Ostatni raz spojrzała na Maję. Już nie była taka ładna, z tym spojrzeniem nieruchomych oczu i szeroko otwartymi ustami. Sama sobie jesteś winna, wykrztusiła Ewa przez łyżę. Potem poczekała równe pięć minut; odwrócona tyłem do ciała i sztywna jak kołek odliczała sekundy. Wreszcie bezszelestnie otworzyła drzwi i wymknęła się z mieszkania.

Na klatce nie spotkała nikogo. Kiedy skręcała od wejścia w lewo, nie zaś w prawo, w stronę „Królewskiej Broni”, owionął ją chłodny wiatr. Koło kościoła metodystów znów poszła w lewo, minęła stację Esso, jeszcze raz odbiła w lewo przy budynku Towarzystwa Ubezpieczeniowego Gjensidige, a potem powędrowała brzegiem rzeki aż do ronda. Język w ustach nabrzmiał obrzydliwie, ale krwawienie ustało. Torebkę przyciskała kurczowo do piersi. Z opuszczoną głową pięła się spokojnym krokiem w górę ulicy, uważając, by się nikomu specjalnie nie przyglądać, by nie iść za szybko, nie zwracać na siebie uwagi. Nikt nie powinien zapamiętać biegnącej, zdennerwowanej kobiety akurat w tej okolicy, tego wieczoru i o tej porze. Toteż szła wolno. Spacerująca po mieście kobieta nie wzbudzi podejrzeń, wytłumaczyła sobie. Dopiero na moście zaczęła biec.

Godzinę później, wciąż przyciskając do piersi torebkę, stała w salonie własnego domu, zmordowana długą drogą, bo nie odważyła się przecież zatrzymać taksówki. To dyszała ciężko, to brakowało jej tchu, marzyła, by usiąść, ale najpierw musiała ukryć pieniądze. Wbiła sobie do głowy, że nie może postawić torebki jak zwykle na stole. Trzeba ją czym prędzej schować. W każdej chwili może ktoś nadejść. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś szafy czy szuflady, porzuciła ten pomysł i przeszła do pralni. Zajrzała do bębna pralki, był pusty, więc wepchnęła tam torebkę i zamknęła wieko. Wróciła do salonu, już chciała sięść, lecz najpierw poszła do kuchni po czerwone wino. Butelka była otwarta. Nalała sobie pełną szklanekę i zapatrzyła się w ciszę i mrok za oknami salonu. Upiła dwa duże łyki i nagle zdecydowała się zaciągnąć zasłony. Żeby nikt nie mógł zajrzeć do środka. Chociaż nikogo na dworze nie było. Zastłoniła wszystkie okna i już miała sięść, gdy przypomniała sobie o papierosach. Zostały w torebce w bębnie. Poszła do pralni, zabrała paczkę, wróciła do salonu i odkryła, że nie ma zapalniczki. W tył zwrot i do pralni. Puls bił jej coraz szybciej. Znalazła. Pomyślała, że wreszcie odpocznie, ale zauważyła brak popielniczki. Podniosła się kolejny raz i poczuła, że drżą jej palce. Jakiś samochód przejechał wolno ulicą. Podbiegła do okna i wyjrzała przez szparę w zasłonie. Taksówka. Pewnie szuka numeru domu, pomyślała. Wyszła do kuchni. Popielniczka

stała na blacie. Zapaliła papierosa. Telefon nie działa, pomyślała po chwili z ulgą, więc nikt się nie dodzwoni. Drzwi zamknęła na klucz. Zaciągnęła się raz jeszcze papierosem i odłożyła go na popielniczkę. Jeśli pogasi światła, będzie wyglądało, jakby jej nie było w domu. Obeszła wszystkie pokoje, wyłączając po kolei lampy. Robiło się coraz mroczniej, w kątach czaiła się ciemność.

Nareszcie usiadła. Na brzegu krzesła, przygotowana na to, że za chwilę się poderwie. Gnębiło ją nieprzyjemne uczucie, że o czymś zapomniała, więc popijała wino i paliła, oddychając płytko i urywanie, aż w końcu zakręciło jej się w głowie. Próbowwała ubierać myśli w słowa, ale nie kończyła zdań, bo pojawiały się nowe, które należało przeanalizować. Wytrącało ją to z równowagi. Popijała wino i zapalała kolejne papierosy. Dochodziła jedenasta. Może już znaleźli Maję, może któryś z jej klientów ruszył klamką i odkrył, że drzwi są otwarte? Ale jeśli to był jakiś ojciec rodziny, pewnie natychmiast zwał, podobnie jak ona. prostytutka może umrzeć, a pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje, pomyślała z oburzeniem. Może poleży wiele dni lub tygodni, zanim ktokolwiek podniesie alarm? Aż w końcu sąsiedzi poczują na klatce zapach zgnilizny i zaczną się zastanawiać. Poszła do kuchni i dołała sobie wina. Niedługo wróci do domu Emma i wszystko będzie jak dawniej. Opróżniła szklanekę na stojąco przy kuchennym stole. Tymczasem się położy i niech czas mija. Im szybciej minie, tym lepiej. Wyszorowała zęby i wpełzła pod kołdrę. Może jednak policja do niej dotrze? W takim razie musi przemyśleć, co im powie.

Zamknęła oczy i chciała zasnąć, ale ciągle przeszkadzały jej nowe myśli. Czy ktoś ją widział, kiedy wchodziła do bloku? Nie, chyba nie. Widziano ją „U Hanny” i w kawiarni w Glassmagasinet. Nie może zaprzeczyć, że się spotkały, to zbyt ryzykowne. O tym dniu musi opowiedzieć prawdę — że zjadły razem obiad i że potem odwiedziła Maję w jej mieszkaniu. Obraz! — przypomniła sobie nagle. Został oparty o ścianę w salonie. No, ale mogła go przywieźć jeszcze tego samego dnia. A czy ma przyznać, że wie o profesji Mai? Chyba im więcej powie prawdy, tym lepiej? Owszem, dowiedziała się od samej Mai. Nigdy nie miały przed sobą tajemnic. Zacisnęła powieki, żeby uwolnić się od myśli. Taksówka! Ta, którą wspólnie zamó-

wiły i która zawiozła ją na Tordenskioldsgate z obrazem zawiniętym w koc! Czy są w stanie odszukać taksówkarza? Ale przecież mogła tylko dostarczyć obraz, posiedzieć chwilę i wyjść, bo Maja oczekiwała klienta. Tak właśnie było, oczywiście. Spotkały się w środę przed południem i wypity kawa. Nie widziały się od dwudziestu pięciu lat. Potem zjadły razem obiad. Płaciła Maja, Chciała kupić obraz Ewy i zamówiła taksówkę, która następnego dnia miała ją przywieźć. Czy Ewa widziała tego klienta? Może padło jakieś nazwisko? Czy spotkała kogoś na schodach albo na ulicy przed domem? Nie, skąd, wyszła dużo wcześniej, zanim miał przyjść. Nic nie wie o tym człowieku, nie chciała pytać. To straszne. Naprawdę okropne. Nawet nie wiem, jak zginęła, pomyślała nagle, tylko to, co podadzą gazety. Muszę je czytać i słuchać radia. Nie wolno mi popełnić błędu. Wpatrywała się w sufit, wykręcając pod kołdrą palce. Pierwsze wiadomości... kiedy je nadają? O szóstej? Spojrzała na budzik. Zbliżała się północ. Fosforyzujące jasną zielenią wskazówki były rozwarte jak nogi Mai na złotej kapie. Zamrugowała powiekami i otworzyła szeroko oczy. W podświadomości tłoczyły się kolejne koszmary. Wstała z łóżka, w łazience włożyła szlafrok i usiadła w salonie. Znowu wstała i włączyła radio. Nadawali muzykę. Pomyślała, że będzie lepiej, jeśli nie zaśnie. Póki nie śpi, wie, co się dzieje.

*

„Zamordowana we własnym łóżku”.

Dojrzała tytuł na stojaku z gazetami przed sklepikiem „U Omara”, zanim jeszcze wysiadła z samochodu. W ciągu kilku nocnych godzin sprawa nabrała rozgłosu w całym mieście i kraju. Ewa wbiegła do środka, położyła na ladzie dziesięciokoronówkę, w samochodzie otworzyła gazetę i oparła ją o kierownicę. Ręce jej drżały.

„Wczoraj późnym wieczorem znaleziono martwą trzydziestodwuletnią kobietę. Prawdopodobnie przyczyną zgonu jest uduszenie, ale policja powstrzymuje się dotychczas od podawania bliższych szczegółów, motywując to dobrem śledztwa. W mieszkaniu nie natrafiono na ślady walki. Nic nie wskazuje na to, aby cokolwiek zginęło.

Kobietę, która już wcześniej pozostawała pod obserwacją policji ze względu na uprawianie prostytutki, znalazł wczoraj wieczorem około godziny dwudziestej drugiej jej znajomy. Mężczyzna potwierdził wobec naszego reportera, że przybył do mieszkania w celu uprawiania płatnego seksu i przypadkowo odkrył, że drzwi wejściowe są otwarte. Zastał zwłoki kobiety w łóżku i natychmiast powiadomił o tym policję. Tymczasowa hipoteza zakłada, że kobieta została zamordowana przez klienta, natomiast nie są znane motywy zbrodni. Czytaj na str. 6 i 7".

Ewa odszukała podane strony. Tekstu było niewiele, za to zdjęcia olbrzymie. Fotografia bloku z zaznaczonym krzyżykiem oknem Mai. Chyba jakaś stara, bo drzewa przed budynkiem okrywały jeszcze liście. Zdjęcie niedoszłego klienta, który znalazł zwłoki, nieostre, od tyłu, żeby go nikt nie rozpoznał. I policjant prowadzący śledztwo. Szpakowaty, poważny mężczyzna w jasnoniebieskiej koszuli. Podkomisarz Konrad Sejer. „Wszyscy, którzy przebywali w tej okolicy w czwartek wieczorem, proszeni są o kontakt z komendą policji".

Złożyła gazetę. Jeżeli w ogóle odkryją, że się spotkała z Mają, pojawią się bardzo szybko, może jeszcze dzisiaj. W każdym razie na pewno przed weekendem. Gdyby minął tydzień, mogłaby się czuć bezpiecznie. Ale z pewnością najpierw cofną się w czasie, żeby sprawdzić, co Maja robiła i z kim się spotykała w ciągu kilku ostatnich dni. Ewa uruchomiła silnik i podjechała powoli pod dom. Postanowiła trochę popracować. Pozmywa, posprząta i zastanowi się, co mówić. W pralni leżały stosy brudów. Wepchnęła część do pralki i nagle przypomniała sobie o torebce z pieniędzmi, którą schowała w bębnie. Wyjęła ją i załadowała maszynę ponownie.

Maja i ja byłyśmy w dzieciństwie przyjaciółkami. Straciłyśmy ze sobą kontakt w sześćdziesiątym dziewiątym, bo moi rodzice musieli się wyprowadzić. Miałyśmy wtedy po piętnaście lat.

Nasypała proszku i ustawiła programator.

Potem przez dwadzieścia pięć lat się nie widziałyśmy. Spotkałam ją w Glassmagasinet. Poszłam do sklepu z akcesoriami malarskimi, żeby wymienić... poszłyśmy do kawiarni na pięttrze i wypiliśmy kawę.

Znalazła się w kuchni i naląła do zlewu gorącej wody. '

Potem wspominałyśmy dawne czasy, jak to przyjaciółki. Czy wiedziałam, że jest prostytutką? Tak, sama mi to powiedziała. Nawet się specjalnie nie wstydziła. Postawiła mi obiad „U Hanny”.

Ewa dodała płynu do zmywania, włożyła do zlewu szklanki i sztućce. Pralka w drugim końcu domu napełniała się powoli wodą.

Po obiedzie pojechałam z nią do mieszkania. Tak, zgadza się, wzięłyśmy taksówkę. Nie zostałam tam długo. Tak, opowiadała o klientach, ale nie wymieniała nazwisk ani szczegółów. Obraz?

Ewa wzięła do ręki kieliszek na nóżce, uniosła go pod światło i zaczęła myć.

Tak, to mój obraz. Albo: Maja kupiła go ode mnie. Za dziesięć tysięcy koron. Tylko dlatego że było jej mnie żal, nie sędzę, żeby się jej podobał jako taki. Nie znała się za bardzo na sztuce. Wiec następnego wieczora zawiozłam go jej taksówką. Wypiłam filiżankę kawy i dość prędko wyszłam. Bo oczekiwała klienta. Czy go widziałam? Nie, nie widziałam nikogo, wyszłam przed jego wizytą, nie chciałam być tam w tym czasie.

Oplukała kieliszek pod kranem i wzięła następny. Strasznie dużo się nazbierało tych kieliszków po czerwonym winie. W pralce zachlupotało, bęben zaczął się obracać. To w sumie całkiem proste, pomyślała, bo oczywiście nigdy nie będzie podejrzana o morderstwo. Przyjaciółka nie zabija przecież przyjaciółki. Dlatego wcale nie mają powodu, żeby mi nie ufać.

Nikt nie udowodni, co widziałam. A pieniądze, które stamtąd zabrałam... Wciągnęła głęboko powietrze i próbowała się uspokoić. Nagle uświadomiła sobie, że zrobiła rzecz straszną — wzięła pieniądze Mai. Po co, u Boga Ojca? Tylko dlatego że ich potrzebowała?

Sięgała po następny kieliszek, kiedy rozległ się głośny, zdecydowany dzwonek do drzwi.

Nie! To niemożliwe! Podskoczyła tak gwałtownie, że zgmiotła szkło w dłoni. Pocięła krew, woda w zlewie nabrała różowej barwy. Ewa wychyliła się ku oknu, ale nie zobaczyła nikogo. Wiedziała tylko, że ktoś tam stoi. Ale kto, u licha, mógłby...

Wyciągnęła dłoń z wody i owinęła ją ścierką, żeby krew nie kapiała na podłogę. Wyszła do korytarza. Pożałowała, że wybrała na szybę do drzwi

wejściowych matowe wierzyste szkło, bo nic nie było widać. Otworzyła. Na podeście stał bardzo wysoki, szczupły, siwy mężczyzna. Wydawał się znajomy. Podobny do tego policjanta w gazecie, który prowadzi dochodzenie. No, oczywiście było o wiele za wcześnie. Mimo wszystko dopiero piątkowy ranek. Chyba są jakieś granice, ile się mogą dowiedzieć w ciągu jednej nocy, nawet jeśli...

— Konrad Sejer — przedstawił się nieznajomy. — Policja.

Serce na chwilę przestało bić, a potem pogalopowało jak na wyścigach. Krtań ścisnęła się na mur i nie przepuściła żadnego dźwięku. Mężczyzna stał bez ruchu i patrzył pytającym wzrokiem. A kiedy wciąż się nie odzywała, skinął głową w kierunku owiniętej ręki i powiedział:

— Coś się pani stało?

— Nie, po prostu zmywam. Nie mogła się ruszyć z miejsca.

— Ewa Maria Magnus?

— Tak, to ja. Przyglądał się jej wnikliwie.

— Czy mogę wejść?

JAK MNIE ZNALAZŁEŚ? W ZALEDWIE KILKA GODZIN? JAK, U DIABŁA...

— Tak, oczywiście... to przez tę rękę... zaraz znajdę plaster. Kieliszek był tani, więc nie stała się żadna wielka szkoda, ale ręka strasznie krwawi... poza tym plamy z krwi na meblach czy dywanie są uciążliwe, zupełnie się ich nie można pozbyć... Policja?

Cofnęła się. Usiłowała sobie przypomnieć, co ma mówić, ale wszystko jej umknęło z głowy. Oczywiście, nim cokolwiek powie, musi najpierw usłyszeć pytanie. Najlepiej mówić jak najmniej. Nie gdać jak kwoka o Bóg wie czym, bo pomyśli, że jest zdenerwowana. Faktycznie, była, ale nie powinien na to wpaść.

Stanęli w salonie.

— Niech pani najpierw opatrzy rękę. Poczekam. Obserwował ją uważnie i dojrzał pękniętą, napuchniętą wargę.

Ewa poszła do łazienki. Nie odważyła się spojrzeć w lustro, żeby nie doznać szoku. Wyciągnęła opakowanie z plastrem, odcięła kawałek, przy-

kleiła na ranę i wzięła trzy głębokie wdechy. Maja i ja byłyśmy przyjaciółkami z czasów dzieciństwa... Wróciła do salonu.

Stał w dalszym ciągu, więc gestem zaprosiła, by usiadł. Akurat gdy otwierał usta, by postawić pytanie, uderzyła ją jak błyskawica myśl, że o czymś zapomniała, o czymś ważnym i decydującym, że musi się pośpieszyć i rozwiązać ten problem, ale już było za późno, bo policjant zaczął mówić, a ona w tych warunkach nie mogła myśleć.

—Zna pani Marię Durban?

—Słucham? Tak, znam.

—Dawno ją pani widziała?

—Nie... To było... wczoraj. Wczoraj wieczorem. Pokiwał wolno głową.

—Wczoraj o godzinie...?

—Chyba szóstej, może siódmej.

— Czy pani wie, że znaleziono ją martwą w łóżku o godzinie dwudziestej drugiej?

Ewa usiadła, zwilżyła wargi i przełknęła ślinę. Czy ja to wiem? Czy słyszałam już o tym, tak wcześnie rano...?

Nagle jej wzrok zatrzymał się na gazecie, rozłożonej na pierwszej stronie.

— Tak, czytałam o tym w gazecie. Wziął pismo ze stołu i zajrzał na tył.

— Widzę, że to nie prenumerata. Nie ma naklejki z adresem. Więc co rano jedzie pani do sklepu i kupuje gazetę.

Była w nim jakaś zaciętość, należał do tych, którzy nawet kamień zmuszą do mówienia. Nie miała przy nim szansy.

—Cóż, nie codziennie, ale dość często.

—A skąd pani wiedziała, że to chodzi o Marię Durban?

—Co pan ma na myśli?

—Jej nazwisko — zniżył głos. — Nie wymieniono go w artykule.

Ewa myślała, że zemdleje.

—Rzeczywiście, ale rozpoznałam na zdjęciu budynek. I krzyżyk nad jej oknem. Z treści artykułu wynikało, że chodzi o Maję. Wie pan, ona była trochę... jak by to powiedzieć... Tu jest napisane. — Pochyliła się nad gazetą i wskazała palcem „pod obserwacją policji” i „uprawianie prostytutki”. — I trzydzieści dziewięć lat. Więc domyśliłam się, że to ona. Od razu się domyśliłam.

—Ach tak? I co pani sobie pomyślała? Kiedy się pani zorientowała, że Maria Durban została zamordowana?

Ewa gorączkowo poszukiwała właściwych słów.

— Pomyślałam, że powinna mnie była posłuchać. Próbowалаm ją ostrzec.

Milczał. Wydawało się jej, że będzie stawiał kolejne pytania, ale nie, rozglądał się tylko po salonie, studiował, nie bez pewnego zainteresowania, jej wielkie obrazy, wreszcie przez dłuższą chwilę ją samą — i milczał. Ewa czuła, jak się oblewa potem, a rana na dłoni zaczyna swędzieć.

—Zakładam, że zgłosiłaby się pani do nas, gdybym nie uprzedził pani planów?

—To znaczy?

—Odwiedza pani przyjaciółkę, a następnego dnia czyta w gazecie, że została zamordowana. Zakładam więc, że przyszłaby pani na komendę, chociażby po to żeby nam pomóc.

—Ach tak, oczywiście. Po prostu nie zdążyłam.

—Zmywanie było ważniejsze? Ewa załamywała się na jego oczach.

— Maja i ja byłyśmy w dzieciństwie przyjaciółkami — powiedziała potulnie.

— I co dalej?

Zaczynała się poddawać panice. Próbowала wziąć się w garść, ale nie pamiętała dokładnie historyjki, którą sobie przygotowała.

— Spotkałyśmy się w Glassmagasinet. Nie widziałyśmy się od dwudziestu pięciu lat, więc poszłyśmy na kawę. Tam mi opowiedziała o tej swojej działalności.

— Owszem. Zajmowała się tym od pewnego czasu. Zamilkł znowu, a Ewie nie udało się zrealizować decyzji

o udzielaniu wyłącznie odpowiedzi na pytania.

—Zjadłyśmy razem obiad. W środę po południu. Kawę wypiliśmy potem u niej w mieszkaniu.

—Więc była pani u niej w mieszkaniu?

—Tak, wpadłam na chwilę. Wieczorem wróciłam do domu taksówką. Maja chciała, żebym przywiozła jej jakiś obraz, który postanowiła kupić. Bo ja maluję, co zresztą uważała za beznadziejne zajęcie, zwłaszcza że prawie nic nie sprzedaje. Więc kiedy jej powiedziałam, że mi odcięli telefon, chciała mi pomóc i kupić obraz. Miała bardzo dużo pieniędzy.

Pomyślała o milionach w chatce, ale nie wspomniała o nich.

—Ile zapłaciła?

—Dziesięć tysięcy. Akurat na pokrycie zaległych rachunków.

—Umiarkowana cena — skomentował nagle. Tak ją to zaskoczyło, że otworzyła szeroko oczy.

—Więc chciała, żeby pani wróciła. Zrobiła to pani?

—Tak. Ale tylko przywiozłam obraz — powiedziała szybko. — Wzięłam taksówkę. Owinęłam obraz w koc i...

—To wiemy. Jechała pani taksówką numer F 16. Założę się, że umknęło to pani uwagi — uśmiechnął się. — I jak długo tam pani została?

Ewa z trudem panowała nad sobą.

—Może godzinę. Zjadłam kanapkę i trochę pogadałyśmy.

Podniosła się w poszukiwaniu papierosów. Otworzyła torebkę, którą wcześniej, jak przywykła, postawiła na stole, i spojrzała na upchane banknoty. Zamknęła ją z trzaskiem.

—Papierosa? — spytał nagle i wyciągnął pudełko prince'ów.

—Dzięki, chętnie.

Poczęstowała się i wzięła do ręki zapalniczkę, którą przesunął w jej kierunku po blacie stołu.

—Taksówka podjechała o osiemnastej, więc u Marii Durban była pani chyba około osiemnastej dwadzieścia...

—Pewnie tak. Nie patrzyłam za zegarek.

Zaciągnęła się mocno i wypuściła kłęb dymu. Bezskutecznie próbowała uwolnić się od wewnętrznego napięcia.

—Przebywała tam pani około godziny. To znaczy, że wyszła pani mniej więcej o dziewiętnastej dwadzieścia. Tak?

—Jak mówiłam, nie patrzyłam na zegarek. Maja oczekiwała klienta, a ja nie chciałam przy tym być, więc wyszłam dużo wcześniej, zanim miał się pojawić.

—A o której miał się pojawić?

—O ósmej. Od razu mi powiedziała, że ma klienta o ósmej. Dzwonili dwa razy. To taki umówiony znak.

Sejer skinął głową.

—Wie pani może, kto to był?

—Nie. Nawet nie chciałam wiedzieć. Uważałam, że to obrzydliwe, czym się zajmowała... okropne... nie rozumiem, jak mogła wytrzymać, jak ktokolwiek może się czymś takim zajmować.

—Niewykluczone, że jest pani ostatnią osobą, która ją widziała przy życiu. Mężczyzna, który przyszedł o ósmej, to przypuszczalnie morderca.

—Och! — westchnęła przejmująco, jakby ta myśl napawała ją grozą.

—Czy spotkała pani kogoś na ulicy?

—Nie.

—Którędy pani poszła?

Mów prawdę, pomyślała, jak długo możesz.

—W lewo. Koło stacji Esso i budynku Gjensidige. Potem brzegiem rzeki i przez most.

—To chyba okreźna droga?

—Nie chciałam przechodzić obok pubu.

—Dlaczego?

—Tylu tam pijanych wieczorem na ulicy...

To była najprawdziwsza prawda. Bała się stojących grupkami pijaków.

— Rozumiem.

Przyjrzał się jej oklejonej plastrem dłoni.

—Czy Maria Durban odprowadziła panią do wyjścia?

—Nie.

—Czy zamknęła za panią drzwi?

—Nie wydaje mi się. Ale chyba nie zwróciłam na to uwagi.

—I nie natknęła się pani na nikogo ani na schodach, ani na chodniku przed domem?

—Nie.

—Może pani pamięta, czy na ulicy parkowały jakieś samochody?

—Nie przypominam sobie żadnego.

—W porządku. Więc przeszła pani przez most i co dalej?

—Nie rozumiem.

—Dokąd pani potem poszła?

—Do domu.

—Poszła pani do domu? Z Tordenskioldsgate na Engelstad?

—Tak.

—Przecież to daleko!

—Cóż, pewnie, ale miałam ochotę się przejść. Chciałam przemyśleć parę rzeczy.

—A cóż to wymagało takiego namysłu, że pani musiała aż tak długo spacerować?

— No, Maja i jej... — wymamrotała. — Bardzo się zmieniła. Tak dobrze się znałyśmy dawniej, że po prostu nie mogłam tego pojąć. Wydawało mi się, że ją znam... — powiedziała zamyślona, prawie do siebie.

Zdusiła papierosa i odrzuciła włosy na plecy.

—Więc spotkała pani Marię Durban w środę przed południem po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat?

—Tak.

—I wpadła pani do niej wczoraj wieczorem między szóstą a siódmą?

—Tak.

—I to wszystko?

—Tak, to wszystko.

—O niczym pani nie zapomniała?

—Nie, nie wydaje mi się.

Podniósł się z krzesła, zabrał zapalniczkę, na której znajdowały się teraz odciski palców Ewy, i wsunął ją do kieszonki na piersi.

—Czy wydała się pani czymś zaniepokojona?

—Nie, zupełnie nie. Maja była w dobrym humorze, jak zwykle. Pano-
wała nad sytuacją.

—I nie padło w trakcie rozmowy żadne zdanie, z którego by wynikało,
że ktoś nastaje na jej życie? Albo że się z kimś pokłóciła?

—Nie, absolutnie nic.

—Czy ktoś telefonował w czasie pani pobytu?

—Nie.

—Nie będę już pani zabierał czasu. Bardzo proszę, niech pani zadzwo-
ni, gdyby przypomniało się pani coś, co mogłoby mieć dla nas jakieś zna-
czenie. Cokolwiek by to było.

—Dobrze.

—Zaraz pani odblokują telefon, moja w tym głowa.

—Jak to?

—Próbowałem się do pani dodzwonić. W telekomunikacji powiedzieli,
że pani nie zapłaciła rachunku.

—Ach tak. Bardzo dziękuję.

— Na wszelki wypadek, gdybyśmy musieli z panią jeszcze porozma-
wiać.

Zagryzła skonsternowana wargę.

— Przepraszam, skąd pan wiedział, że byłem u Mai? Wyciągnął z we-
wnętrznej kieszeni kurtki małą, czerwoną, oprawną w skórę książeczkę.

— Pamiętnik Mai. Pod datą trzydziestego września zapisała: „Spotka-
łam Ewę w Glassmagasinet. Obiad «U Hanny»." Z tyłu zanotowała nazwi-
sko i adres.

Jakie to proste, pomyślała.

— Niech mnie pani nie odprowadza — ciągnął. — Nie trzeba, niech
pani siedzi.

Opadła z powrotem na krzesło. Czuła się kompletnie wyczerpana.
Splotła dłonie na brzuchu, tak że rana znów zaczęła krwawić. Sejer zatrzy-
mał się nagle przed jednym z obrazów.

—Co on przedstawia?

—Nie zwykłam objaśniać swoich obrazów.

— Jasne, nawet mogę to zrozumieć. Ale to... — wskazał palcem iglicę wydobywającą się z mroku — przypomina mi kościół. A to tam, ta szara plama w tle, wygląda jak nagrobek. Lekko zaokrąglony na szczycie. Oddalony od kościoła, a jednak widać, że stanowią całość. Cmentarz — wyciągnął prosty wniosek. — Cmentarz z jednym grobem. Kto tam jest pochowany?

Ewa przyglądała mu się zdumiona.

— Przypuszczalnie ja. Wyszedł do przedpokoju.

— Najbardziej sugestywny obraz, jaki kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć — stwierdził w drodze do drzwi.

W momencie gdy się zatrzaśkiwały, Ewa pomyślała, że powinna była uронić parę łez. Teraz było już za późno. Przysłuchiwała się pralce. Właśnie zaczęła odwirowywać wodę, bęben obracał się coraz szybciej z pełnym groźby dudnieniem.

Otrząsnęła się ze strachu i wywołała w sobie narastającą stopniowo wściekłość. To uczucie było jej obce. Nigdy się nie złościła. Jedynie wpadała w rozpacz. Wzięła torebkę ze stołu, otworzyła ją i wywróciła do góry dnem. Posypały się banknoty. W większości setki, było też kilka pięćdziesiątek i cały stos tysiąckoronówek. Policzyła je raz i drugi, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Ponad sześćdziesiąt tysięcy! Na drobne wydatki, powiedziała Maja... Ułożyła je starannie w kupki i pokręciła głową. Za sześćdziesiąt tysięcy koron można się utrzymać długo, przynajmniej pół roku. I nikt się o te pieniądze nie upomni. W ogóle nikt o nich nie wie. Komu by mogły przypaść w udziale — fiskusowi? Ewie w przedziwny sposób wydało się, że te pieniądze należą się jej, że sobie na nie zasłużyła. Zebrała poukładane banknoty i oplotła gumką. Już nie wyrzucała sobie, dlaczego jej to nie gryzie. Nigdy w życiu niczego nie ukradła, poza śliwkami Skollenborgowej. No, ale po co te tysiące miały leżeć bezużytecznie, poupychane po butach i w wazonach, skoro ona ich tak bardzo potrzebowała? Po krótkim namyśle zeszła do piwnicy. Poprzestawiała parę rupieci na starym stole w warsztacie i znalazła pod spodem pusty kubełek po farbie z zaschniętymi resztkami. Seledyn, półmat. Wsadziła plik banknotów do środka, przykryła wieczkiem i odstawiła na miejsce. Jak będę potrzebowała

pieniędzy, to po prostu wyciągnę kilka setek z kubelka, zupełnie jak Maja, pomyślała, zaskoczona tym zwrotem sytuacji. Wróciła na górę. Tam ich nikt nie będzie szukał, filozofowała dalej. Może wszyscy jesteśmy w duszy złodziejami i tylko czekamy na odpowiednią okazję? Tym razem okazja trafiła się znakomita. Pieniądze straciły właściciela i w pewnym sensie powinny przypaść w udziale temu, kto ich najbardziej potrzebuje. Komuś takiemu jak ona i Emma. W dodatku Maja upchnęła w chatce prawie dwa miliony. Potrząsnęła głową. O tak wielkiej sumie nie ma nawet co marzyć. Załóżmy jednak, że Maja schowała je tak sprytnie, by nikt nie natrafił na kryjówkę. To co, mają butwieć do końca świata? Daję ci je ze szczerego serca, tak powiedziała. Może wtedy to był żart?

Ewa odruchowo wstrzymała dech. A może naprawdę tak myślała? Odepchnęła tę niejasną szansę. Pieniądze, o których nikt nie wie. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co by zrobiła z takim majątkiem. To się, oczywiście, nie ma prawa udać. Nie da rady ukryć takiego bogactwa. Emma pierwsza zaczęłaby natychmiast stawiać pytania, gdyby się nagle pojawiły większe pieniądze. Mogłaby opowiedzieć o tym Josteinowi albo dziadkowi czy dzieciom w przedszkolu i ich rodzicom. Ktoś by się tym zainteresował i... Pewnie dlatego tak trudno jest być złodziejem, pomyślała. Zawsze trafi się ktoś podejrzliwy, kto będzie zdawał sobie sprawę z ich trudnej sytuacji finansowej. A plotki rozchodzą się lotem błyskawicy... Gdyby Maja wiedziała, co jej chodzi po głowie... Pewnie leży teraz w chłodni z paskiem wokół nogi: Durban, Maria, ur. 4.08.1954...

Wzdrygnęła się. Jedyna pociecha, że facet z mysią kitką nie pobuja długo na wolności. Zawsze ich łapiają. Kwestia czasu, kiedy go osaczą. Nie ma szans, zwłaszcza teraz, odkąd używają tych testów DNA. Tym gorzej dla niego, że miał z Mają stosunek. Niezłą wizytówkę zostawił jako dodatek do odcisków palców, pojedynczych włosów, włókien z ubrania i całej reszty. W końcu czytała o tym w kryminałach. Nagle uświadomiła sobie z przerażeniem, że i po niej została tam masa śladów. Ten policjant wróci, nie ma wątpliwości. Będzie musiała jeszcze raz opowiedzieć to samo. Może z czasem przyjdzie jej to łatwiej. Zdecydowanym krokiem weszła do pracowni i włożyła kitel. Dłuższą chwilę ponuro studiowała czarne płótno,

ustawione na sztalugach. Sześćdziesiąt na dziewięćdziesiąt, odpowiedni format, nie za duży, nie za mały. Wyjęła z szuflady kawałek drewna i papier ścierny, oderwała pasek, owinęła go wokół klocka, ścisnęła w dłoni i wykonała na próbę kilka zamasztych ruchów w powietrzu. Potem dobrała się do obrazu. Wylądowała w prawym górnym rogu i drapnęła mocno cztery czy pięć razy. Pokazała się głęboka szarość niemal ołowiu, nieco jaśniejsza tam, gdzie splot płótna powstał z grubszych włókien. Cofnęła się. A jeśli go nie znajdą? Jeśli pozostanie na wolności? Jaki to był wóz? Opel manta, BL 74... W końcu nie wszystkich przestępców wsadzają za kratki, pomyślała. Jeśli go nie mieli wcześniej w kartotece, to jak go dopadną? Wszystko się odbyło tak prędko i zupełnie bezszelestnie. Wymknął się i zniknął w kilka sekund. Jeśli tylko ona widziała samochód, policja nigdy się nie dowie, że jeździ oplem mantą, co by znacznie ułatwiło jego złapanie, bo aut tej marki jest w mieście niewiele.

Podeszła do płótna i potarła z całej siły jedno miejsce trochę bardziej na lewo, oszczędniejszymi ruchami, ale za to mocniej. Co on takiego powiedział? Coś o swojej pracy... jak długo musi pracować, żeby zarobić... patyka. Patyk to tysiąc koron. Przed oczami mignęły jej rzadkie, jasne włosy na tyle głowy i cienki kucyk na karku. Czy nie powiedział czasem: browar?

Przerwała. Dotarła do białego podkładu i wydobyła ostre światło. Kłoczek upadł na podłogę. Spojrzała na zegarek, zamyśliła się i mocno potrząsnęła głową. Wzięła się za drapanie. Jeszcze raz zerknęła na tarczę. Ściągnęła kitel, ubrała się i wyszła.

Samochód musiał dostać kopa, nim zapalił. Ryknął na cały regulator i wypuścił kłęb czarnych spalin, kiedy wrzuciła biegi wyjeżdżała na ulicę. Niewykluczone, że facet już uciekł gdzie pieprz rośnie. Albo ma chatkę, w której się ukrył. Albo odebrał sobie życie. A może po prostu jest w pracy, jak inni, jak gdyby nigdy nic. W browarze. A opel manta czeka na parkingu.

Pochyliła się nad kierownicą i przyspieszyła. Tylko zobaczy, czy ma rację, czy samochód stoi na parkingu. Czy rzeczywiście istnieje i nie jest wytworem jej wyobraźni. Minęła po prawej elektrownię i nagle przypo-

mniały się jej nie zapłacone rachunki. Musi o nich pamiętać. Ma teraz tyle pieniędzy, że starczy nawet na ramy do kilku obrazów. Ludzie nie chcieli kupować płócien na gołych blejtramach. Zupełnie ich nie rozumiała. Herbarium po lewej, zaraz będzie zjazd z dziewięcioma progami. Wrzuciła drugi bieg. Nie widział mnie, pomyślała. Nic nie zaryzykuję, jeśli się przejdę po parkingu przed browarem. Nie ma pojęcia, że byłam świadkiem. Na pewno jednak się boi i jest czujny. Muszę zachować ostrożność. Samochód zachybotał na pierwszym progu. Jeśli facet jest sprytny, będzie żył jak dotychczas — chodził do pracy, opowiadał sprośne kawały w stołówce... Może ma żonę i dzieci, przyszło jej do głowy. Pokonywała kolejne zwalniające progi, starając się oszczędzać stary samochód. W cichości ducha dała mu na imię Elmer. Wydawało się odpowiednie, takie blade i wodniste. Nie mogła sobie jakoś wyobrazić, że on się nazywa zwyczajnie, jak każdy inny, Olav, Knut albo Jens. Nie w sytuacji, w której go zapamiętała, gdy klęczał na łóżku w spodniach opuszczonych do kolan, z ostrym, lśniącym nożem w rękę. Wtedy nie widziała w nim nic zwyczajnego. Czy teraz czuł się inaczej? Czy był wstrząśnięty i przerażony, czy też tylko zły, bo przekroczył pewną granicę i może przyjdzie mu za to drogo zapłacić? Co właściwie czuł?

Dodała gazu i zakręciła gwałtownie kierownicą na rondzie. Minęła fabrykę żarówek i przed piekarnią zauważyła stojak z prasą. „Policja potwierdza uduszenie”, krzyczały wielkie litery. Podobnie na stacji Esso. Maja opanowała miasto i Elmer na pewno przeczytał o niej w gazecie... o ile w ogóle brał do ręki gazety, choć chyba każdy to robi. Zwolniła na Oskars gacie, minęła browar, dojechała do łaźni i zaparkowała na jej tyłach. Przez krótką chwilę pozostała w wozie. Parking był duży, a wiele samochodów białych. Zamknęła auto i przeszła powoli koło łaźni, wdychając zapach chloru. Dotarła do parkingu dla kierownictwa przy głównym wejściu. Elmer na pewno nie należał do tego grona. Nie był odpowiednio ubrany, a poza tym narzekał na wynagrodzenie. Powędrowała dalej wolnym krokiem. Po lewej znajdował się ogrodzony plac ze szlabanem. Automat na karty migał czerwonym światłem, a wielkie litery na tablicy po prawej stronie oznajmiały, że parking jest strzeżony, ale nie mówiły jak. Nigdzie nie do-

strzegła kamer. Przepisnęła się koło barierki i skręciła w lewo. Trzeba szukać systematycznie. Serce zaczęło jej bić szybszym rytmem.

Wsadziła ręce do kieszeni i starała się iść swobodnie, unosząc od czasu do czasu twarz ku słońcu. Uśmiechnęła się lekko i miała nadzieję, że wygląda na osobę godną zaufania. Znalazła białą hondę civic o tak nienaturalnym błysku, jakby tu trafiła prosto ze sklepu. Szła dalej wzdłuż szeregu aut, zwracając uwagę także na numery rejestracyjne, a jednocześnie pilnując, by nie robić wrażenia zbyt ciekawskiej, w razie gdyby ktoś ją obserwował. Czy można zabić wieczorem jednego dnia, a rano drugiego normalnie pójść do pracy? Bmw, trochę zniszczone i zabłocone, z masą rupieci za przednią szybą. Garbus, zresztą wcale nie biały, raczej brudnożółty. Zagłębiła się w drugi szereg.

Słońce grzało jeszcze trochę, mimo że nastał październik. Takie lekkie muśnięcie po policzku na pożegnanie. Nagle uświadomiła sobie nieodwracalność tego, że Maja nie żyje. Nie mogła uwierzyć. Nie była całkiem pewna, czy to do niej dotarło. Maja. W jednej chwili jest, a w drugiej jej nie ma. Znika jak senne marzenie. Biały mercedes, stare audi... Ewa, w rozpiętym płaszczu, szła z nonszalancją długimi krokami, gdy nagle zastąpił jej drogę jakiś mężczyzna w ciemnym kombinezonie z masą pasków odbłaskowych. Ochroniarz.

— Ma pani kartę?

Ewa zmarszczyła brwi. Co za gówniarz, choć trzeba przyznać, osiłek.

— Słucham?

— To jest parking prywatny. Szuka pani czegoś?

— Tak. Samochodu. Niczego nie dotykam.

— Musi pani stąd wyjść. Tu mają prawo przebywać tylko zatrudnieni w browarze.

Złoty jeź na głowie i fura zarozumiałości.

— Chciałam tylko coś sprawdzić, jedno kółko i już mnie nie ma. To dla mnie ważne — dodała.

— W żadnym wypadku. Wyprowadzę panią. — Zbliżył się z wyciągniętą ręką.

—Niech pan pójdzie w takim razie za mną. Popatrzę tylko na samochody. Szukam jednego faceta, z którym muszę pogadać w ważnej sprawie. Proszę. Nie przyszląm tu kraść. Mam już samochód i radio. Ociągał się jeszcze.

— Dobrze, ale niech się pani pospieszy. Jestem tu po to, żeby przeganiać nieupoważnionych, dlatego...

Poszła wzdłuż kolejnego rzędu aut, a z tyłu towarzyszyły jej kroki ochroniarza.

— Jaki to samochód? — zapytał.

Nie odpowiedziała. Elmer nie powinien się dowiedzieć, że ktoś go szuka. Ten smarkacz w niebieskim pajacyku na pewno by mu doniósł.

— Znam wielu z tych, co tu pracują — pochwalił się.

Toyota tercel, stare volvo, nissan sunny. Strażnik chrząknął.

— Gdzie on pracuje? W hali czy na dźwigach?

— Nie znam go — odparła krótko. — Tylko samochód.

—Strasznie pani tajemnicza.

—Owszem.

Staneła i kiwnęła głową. On także się zatrzymał, skrzyżował ręce i poczuł się wyjątkowo głupio. Samotna kobieta przebywa bezprawnie na strzeżonym przez niego, prywatnym terenie, a on łązi za nią potulnie jak pies. Też mi ochroniarz. Troszkę zarozumiałości się ulotniło.

— A czego pani chce od faceta, którego pani nie zna? Minał ją i oparł się o maskę jakiegoś samochodu. Miał długie nogi, blokował jej przejście.

— Pomyślałam sobie, że go uduszę — uśmiechnęła się słodko.

— Aha.

Zarżał niespodziewanie, jakby dopiero teraz zrozumiał. Nylonowy kombinezon opinał muskularne ciało. A pomiędzy szeroko rozstawionymi nogami Ewa dojrzała znajomy numer BL 74... Błyskawicznie odwróciła się w stronę auta vis-à-vis, srebrnego golfa, podeszła blisko i zajrzała przez szybę do środka. Strażnik przesunął się za nią.

— Ten jest facet z stołówki, nie pamiętam nazwiska. Takie pięć minut na małym zegarku, kręcone włosy. O tego chodzi?

Uśmiechnęła się z politowaniem, wyprostowała i omiotła wzrokiem białego opla za jego plecami. Teraz widziała cały numer, BL 74470. Manta, miała rację, dokładnie taka sama jak Josteina, tylko ładniejsza, nowsza i lepiej utrzymana. Z czerwoną tapicerką. Ruszyła do wyjścia. Zobaczyła, co chciała. Znalazła go tak łatwo, że aż strach. Najzwyczajniej-szy pod słońcem robotnik z browaru z morderstwem na sumieniu. A ona wiedziała o nim dość, żeby go wsadzić na piętnaście, dwadzieścia lat. Do mikroskopijnej celi. Nie do wiary, pomyślała. Wczoraj zabił Maję. Dzisiaj, jak gdyby nigdy nic, przyszedł do pracy. A więc jest sprytny. Zimny drań. Może nawet roztrząsał informacje o morderstwie przy kanapce w czasie przerwy. Wyobraziła sobie, jak mlaska i przeżuwa drugie śniadanie, a grudki majonezu zatrzymują się na górnej wardze. Śmierząca sprawa z tą facetką, mówię wam, pewnie jakiś klient się wnerwił. Potem popija colą i nim odgryzie następny kęs, zdejmuje z chleba pietruszkę i kawałek cytryny. Założy się, że już zdążył zwiać, gdzie pieprz rośnie.

Nagle przyszło jej do głowy, że do Mai zapewne przychodziło wielu robotników z browaru. A z nim mogło być jak z nią samą — wprost nie potrafił uwierzyć, że coś takiego się zdarzyło, i odpychał wspomnienie jak okrutny sen.

— Hej! Przypomniałem sobie, jak się ten facet nazywa — krzyknął strażnik za jej plecami. — Ten od golfa! Bendiksen! Z Finnmarku!

Ewa, nie odwracając się, pomachała mu ręką i maszerowała dalej. Nagle zatrzymała się.

— Pracuje na zmiany?

— Od siódmej do trzeciej, potem do jedenastej i znowu do siódmej.

Skinęła głową, spojrzała na zegarek i wyszła z parkingu. Tą samą drogą wróciła do swojego samochodu. Serce jej biło z podniecenia. Nosiła się z ważną tajemnicą i nie bardzo wiedziała, co z nią zrobić. Ruszyła w kierunku domu. Do trzeciej pozostało jeszcze sporo czasu. Właściwie mogła na niego poczekać i pojechać za oplem. Dowie się, gdzie mieszka, czy ma żonę i dzieci... Ogarnęła ją gwałtowna potrzeba uświadomienia mu, że ktoś

wie. Tylko tyle. Nie potrafiła znieść myśli, że ten człowiek czuje się bezpieczny, że wstał rano jak zwykle i poszedł do pracy, choć poprzedniego wieczoru bez powodu zabił Maję. Nie rozumiała, dlaczego to zrobił, skąd się w nim wzięło tyle wściekłości, jak gdyby nóż pod łóżkiem stanowił najwyższy stopień obrazy. Mordercy różnią się widać od zwykłych ludzi, pomyślała, omijając łukiem rowerzystę, który chwiał się mocno na siodelku. Może im czegoś nie dostaje? Albo po prostu facet przeraził się na widok noża? Czy on naprawdę myślał, że Maja go uderzy? Ewa rozważała przez chwilę szansę, by jakiś chytry adwokat uratował mu skórę, utrzymując, że morderca działał w obronie własnej. W takim wypadku musiałabym wkroczyć... Zaraz odrzuciła ten pomysł. Zeznawać w sądzie jako przyjaciółka prostytutki, nie, mowy nie ma. To nie tchórzostwo, tłumaczyła się sama przed sobą, właściwie nie chodzi o to, ale o Emmę, muszę przecież o niej pamiętać. Powtarzała to sobie raz za razem, niemniej ogarnął ją jakiś niepokój, rodzaj wewnętrznego mrowienia... I pomyśleć, że nikt nic nie wie. Że też coś takiego mogło się zdarzyć i prawdopodobnie znajdzie jedyne fin ał jako notatka *petitem* w gazecie. I to zdarzyło się Mai, jej przyjaciółce, najlepszej. Nie do wiary.

Kiedy otwierała drzwi, zadzwonił telefon.

Drgnęła. A więc telefon jest znów włączony. Może to policja? Zwlekała przez chwilę, a potem zdecydowanym ruchem podniosła słuchawkę.

—Ewuniu! Gdzie ty się podziewasz? Od kilku dni nie mogę się do ciebie dodzwonić!

—Odłączyli mi telefon. Ale już wszystko w porządku. Opóźniłam się trochę z opłatami.

—Przecież mówiłem, żebyś dała znać, jak będziesz czegoś potrzebowała — mruknął ojciec z wyrzutem w głosie.

—Nie utopię się z rozpaczy, jeśli przez parę dni nie będę miała telefonu — powiedziała lekkim tonem. — Ty też akurat nie toniesz w powodzi pieniędzy.

—Lepiej żebym ja głodował niż ty. Zawołaj Emmę, chcę usłyszeć jej niezepsuty głosik.

—Jostein zabrał ją na parę dni, niby na takie ferie jesienne. Powiedz no, tato, czy twoim zdaniem mój głos jest zepsuty?

—Twój głos, moja droga, miewa czasami pewną podejrzenie nieczystą barwę. Zawsze mi się zdaje, że opowiadasz jedynie ułamki z tego, co się u was dzieje.

—Zgadza się. To się nazywa „mieć wzgląd na kogoś”. Wiesz przecież, że nie jesteś już najmłodszy.

—Coś mi się zdaje, że powinnaś mnie niedługo odwiedzić, byśmy się mogli porządnie podroczyć nad szklaneczką wina. Przez telefon nie wychodzi mi żadna przyzwoita zaczepka. — Pociągnął nosem, jakby był przeziębiony.

—Przyj adę któregoś z najbliższych dni. Możesz przecież zadzwonić do Josteina, to porozmawiasz z Emmą. A propos, ona nie jest tak zupełnie niezepsuta. Wydaje mi się w gruncie rzeczy, że przypomina ciebie.

—Przyjmuję to jako komplement. Jostein nie będzie się czuł niezręcznie, jeśli zadzwonię?

—Skądże znowu! On cię bardzo ceni. Boi się tylko, że masz mu za złe, bo odszedł. Więc jeśli zadzwonisz, pewnie się ucieszy.

—Mam mu to cholernie za złe! Chyba nie myślisz, że jest inaczej?

—Tylko mu tego nie mów!

—Nigdy nie zrozumiem, dlaczego jesteś taka lojalna w stosunku do faceta, który cię w ten sposób porzucił.

—Wytlumaczę ci to kiedyś nad szklaneczką wina.

—Ojciec powinien wiedzieć wszystko o swoim jedynym dziecku — utyskiwał. — A twoje, pożał się Boże, życie jest jedną wielką tajemnicą.

—Tak, tato — odparła ciszej. — Tak to jest. Ale wiesz, że to, co naprawdę ważne, wyjdzie na jaw. Jak tylko przyjdzie czas.

—Czas, moja droga, niedługo nie tyle przyjdzie, ile wyjdzie i nie wróci — zaprotestował. — Nie zapominaj, że jestem stary.

—Zawsze tak mówisz, kiedy się nad sobą litujesz. Kup wino, to przyjadę. Zadzwonię i powiem kiedy. Nosisz ciepłe kapcie?

—Co cię to obchodzi? Robię, co chcę. Jak się zaczniesz ubierać jak kobieta, to ja się będę nosił jak staruch.

—Umowa stoi, tato!

Milczeli chwilę, każde po swojej stronie drutu, a Ewie ojciec wydał się nagle tak bliski, że niemal czuła na policzku ciepło jego oddechu. Był jak opoka, z niego czerpała siłę. Gdzieś w podświadomości tkwiła myśl, że ojciec może wkrótce umrzeć, a wtedy wszystko, z czym jest w życiu związana, zostanie jej wydarte, wyrwane, jakby jej ktoś zdjął z głowy skalp.

Zrobiło się jej zimno od tych rozważań.

—Myślisz o czymś smutnym, Ewuniu.

—Niedługo przyjadę. W gruncie rzeczy nie jestem przekonana, że życie jest wiele warte.

—Przyjeźdź! Będziemy się pocieszać.

Odłożył słuchawkę. Od razu zrobiło się dziwnie cicho. Ewa podeszła do okna, a jej myśli zaczęły krążyć swoimi szlakami, mimo że nie chciała się im poddać. Chatka! — przypomniała sobie. Jak myśmy właściwie wtedy jechali? Czy nie przez Kongsberg? Tyle lat minęło. Dwadzieścia pięć. Ojciec Mai zawiózł je na miejsce samochodem dostawczym. Ale się wtedy spiły! Cały teren wokół chatki upstrzyły kupkami sałatki warzywnej bądź owocowej, a pościel musiały wietrzyć całą noc. Na Kongsberg, tak, a potem przez most i dalej na Sigdal, prawda? Czerwona chatka z zielonymi ramami okien. Małeńka, niemal samotna. I daleko, dwieście, może i trzysta kilometrów. Prawie dwa miliony. Ile miejsca może zajmować tyle pieniędzy? Jeśli w różnych nominałach, to pewnie więcej niż pudełko po butach. I gdzie by tu schować taki majątek w małej chatce? W spiżarni? W kominie? Albo może w wychodku, który po każdym użyciu musiały przysypywać ziemią i gałązkami ze specjalnego worka? W pustych pojemnikach po rybnych pulpetach w lodówce? Maja miała pomysły. Nie będzie łatwo, gdyby ktoś próbował szukać. Ale kto by miał szukać tych pieniędzy? Nikt o nich nie wie, więc pewnie przeleżą tam całą wieczność, aż się rozpadną w proch. A jeśli komuś powiedziała? W takim razie było więcej takich, którzy myśleli jak ona, zastanawiali się nad tymi dwoma milionami i snuli marzenia. Poszła do pracowni i oddała się drapaniu czarnego płótna. Październik to chyba nie sezon na chatki w wysokich górach. Pewnie nie ma tam teraz żywej duszy, nikt by jej nie zobaczył. Gdyby zaparkowała trochę wcześniej

i ostatni kawałek podeszła na piechotę... jeśli w ogóle pamięta drogę... Na lewo przy żółtym sklepie, przypomniała sobie, potem ciągle w górę, aż powyżej granicy lasu. Masa owiec. Schronisko i jezioro. Tam by mogła zostawić samochód, przy jeziorze. Drapała wytrwale płótno. Dwa miliony. Własna galeria. Malowanie bez końca i żadnych trosk finansowych przez całe lata. Zabezpieczenie dla ojca i Emmy. Brałaby banknoty z wazy, kiedy by potrzebowała. Albo z sejfu. Dlaczego, u licha, Maja nie złożyła pieniędzy w sejfie? Może dlatego że musiałby zostać zarejestrowany i łatwiej by go było wytropić? A pieniądze były zarobione na czarno. Ewa przycisnęła klocek mocniej. Gdyby się chciała dostać do milionów, musiałaby się włamać. Nie starczyłoby jej odwagi. Wyważenie drzwi łomem czy wybicie szyby rozeszłoby się echem po całej okolicy. Ale gdyby tam nie było ludzi... Mogłaby wyjechać wieczorem i dotrzeć na miejsce w nocy. Chociaż, z drugiej strony, po nocy ciężko szukać. Latarka! Cisnęła papier ścierny i zeszła powoli do piwnicy. W szufladzie starego stołu miała latarkę zostawioną przez Josteina. Sprawdziła ją. Światło było bardzo słabe. Włożyła rękę do kubelka po farbie, gdzie schowała gotówkę Mai, i wyciągnęła plik banknotów. Weszła na górę, narzuciła płaszcz.

Odsunęła od siebie drobne ukłucia wyrzutów sumienia i ledwo dosłyszalny, ostrzegawczy głos rozsądku. Najpierw popłaci rachunki, a potem będzie potrzebowała paru rzeczy. Zrobiła się dwunasta. Za trzy godziny skończy się zmiana, Elmer podejdzie do samochodu... Ewa włożyła okulary słoneczne. Przyglądała się w lustrze ciemnym włosom, okularom i płaszczowi i nie poznawała samej siebie.

Przy rynku był sklep żelazny. Nie miała odwagi spytać o łom, toteż wędrowała pomiędzy półkami w poszukiwaniu czegoś, co by się dało wsunąć pod drzwi. Znalazła mocną, dużą kielnię o ostrych brzegach i solidny młotek z kauczukowym trzonkiem. O latarkę musiała jednak spytać.

—A do czego pani potrzebna? — badał ekspedient.

—Do oświetlania — odparła zdziwiona Ewa. Obserwowała jego brzuch pod opiętym nylonowym fartuchem, którego guziki niebezpieczne odstawały.

— Tak, no, rozumiem, w pewnym sensie. Ale widzi pani, latarki produkuje się do różnych celów. Chodzi mi o to... Czy pani będzie pracowała w świetle tej latarki, czy oświetlała drogę podczas wycieczki nocą, a może potrzebna jest pani do sygnalizowania...?

— Do pracy — pospieszyła z odpowiedzią. Sprzedawca wyjął wodoszczelną latarkę

Maglite'a, z wygodnym długim uchwytem i regulowaną ogniskową.

— To jedna z najlepszych, jakie pani dostanie. Z nieograniczoną gwarancją. Używana w amerykańskiej policji. Czteryście pięćdziesiąt koron.

— Boże! W porządku, wezmę ją — zdecydowała szybko.

— Nadaje się także do ogłuszania — dodał ekspedient z powagą. — Włamywaczy i innych przestępców.

Ewa zmarszczyła czoło. Nie była całkiem pewna, czy to żart.

Narzędzia kosztowały majątek, ponad siedemset koron. Zapłaciła i wyszła ze sklepu niosąc szarą papierową torbę. Czuła się jak złodziej z minionej epoki, brakowało jej tylko tenisówek i kominiarki. Przypomniała sobie, że jeszcze nie jadła. Weszła do Jensena, do kawiarni na piętrze. Zamówiła jedną kanapkę z łososiem i jajkiem, drugą z serem, mleko i kawę. Nie dostrzegła nikogo znajomego. Właściwie nie widziała nikogo, jedynie morze bezimiennych, obojętnych twarzy — i bardzo się jej to podobało. Miała tyle do przemyślenia. Kiedy skończyła jeść, poszła do księgarni i kupiła atlas. Siadła na ławeczce na deptaku, częściowo ukryta za reklamą lodów. Zaczęła poszukiwania. Dość szybko przypomniała sobie trasę, zmierzyła ją prowizorycznie palcami i doszła do wniosku, że to będzie ponad dwieście kilometrów. Jazda zajmie co najmniej dwie i pół godziny. Jeśli wyjedzie o dziewiątej, będzie na miejscu koło północy. Sama w chatce na Hardangervidda z młotkiem i kielnią. Odważy się?

Spojrzała na zegarek. Czekala na Elmera, który przepracował już sześć godzin swojego pierwszego dnia życia po morderstwie. Od tej chwili będzie liczył doby i sprawdzał w kalendarzu, czy czas mija. Będzie oddychał z ulgą co wieczór, kładąc się do łóżka wciąż jako wolny człowiek. Aż kiedyś, w ten czy w inny sposób, Ewa go dopadnie. Żeby stracił poczucie bez-

pieczeństwa, przestał sypiać po nocach i czekał. Powoli się załamał, może zacząć pić, a potem opuszczać się w pracy. I tak trafił prosto do piekła.

Uśmiechnęła się krzywo. Wstała z ławki i weszła do sklepu sportowego. Kupiła ciemnozieloną, porządnie impregnowaną wiatrówkę z kapturem, adidasy i mały plecak turystyczny. Nigdy w życiu nie miała takiego wyposażenia. Ale skoro zdecydowała się wydeptywać w środku nocy górskie ścieżki, musiała choćby przypominać właściciela chatki. W razie gdyby ją ktoś zobaczył. Zapłaciła prawie tysiąc czterysta koron, wznosząc oczy ku niebu na taką rozpustę, ale niewiele to uszczupliło jej portfel. Jakie wszystko jest proste, kiedy się nie trzeba liczyć z pieniędzmi. Wystarczy wyjąć banknoty z portfela i rzucić beztrąsko na ladę. Czuła się dziwnie lekka, jakby była kimś innym. A jednak to ona, Ewa, sypała wkoło gotówką. Nie chodziło jej doprawdy o luksusy. Nie poświęcała im uwagi. Ceniła jedynie owo poczucie swobody, które dawało jej możliwość spokojnego malowania. O niczym więcej nie marzyła. Na koniec poszła do banku i opłaciła wszystkie rachunki: prąd, telefon, samochód za cały rok, ubezpieczenie, podatki komunalne. Wyszła z podniesioną głową. Skierowała się przez rynek nad rzekę, siadła na ławce na brzegu i zapatrzyła się w przepływającą czarną wodę. Prąd był wartki. Kartonik, może po kielbasce z puree ziemniaczanym, przemknął po falach jak miniaturowa motorówka. Elmer spogląda pewnie w tej chwili na zegarek. Niewykluczone, że robi to dzisiaj częściej niż zwykle. Ale nikt o niego nie pytał, nikt nie przyszedł do wielkiej hali i nie zaprowadził go do czekającego radiowozu. Nikt nic nie widział. Pewnie myśli, że mu się upiecze. Ewa wstała i poszła do samochodu. Podjechała pod łaźnię i stanęła od frontu, żeby widzieć barierkę na parkingu. Ochroniarz spacerował bez przerwy między rzędami aut. Pochyliła głowę i zajęła się studiowaniem atlasu. Była za piętnaście trzecia.

Wreszcie się pojawili. Grupa trzech mężczyzn. Stanął koło białego auta i przeciągnął ręką po włosach. Nie związał ich w kitkę, ale rozpoznała profil i wystający brzuch. Rozmawiał gestykulując i rozdawał pozostałej dwójce przyjacielskie kuksańce.

Jak gdyby nigdy nic!

Mowa była o samochodzie. Poznała to po ich zachowaniu. Przyglądali się oponom. Któryś z nich kucnął i wskazał palcem pod chłodnicę. Elmer potrząsnął głową, jakby się nie zgadzał. Położył rękę na dachu gestem właściciela. Facet z gatunku „popatrzcie, jaki ze mnie chłop całą gębą”. Ewa wrzuciła bieg i powoli wyjechała z parkingu. Może należał do tych cholerynych ścigantów, co to od razu ruszają z kopyta. Auto wyglądało na sprawne, jej własne ledwo trzymało się kupy. Ale ruch o tej porze był duży, więc powinno się udać. Elmer przekreślił kluczyk w stacyjce i silnik natychmiast zawył gwałtownie, jakby pod maską znajdowało się zupełnie co innego, niż przewidują normy. Pozostali dwaj odskoczyli na bok. Elmer machnął ręką na pożegnanie i powoli skierował się ku podniesionej barierce. Miała szczęście, dał kierunkowskaz w prawo. Zaraz wyjedzie jej przed nosem. Jeśli się pospieszy, usiadzie mu na ogonie. Włożył okulary słoneczne i spojrzął w lusterko, kiedy podjeżdżała z tyłu. Poczula się niepewnie. Próbowwała zachować przyzwoitą odległość, tocząc się powoli za nim ruchliwą arterią w kierunku wyjazdu z miasta. Minął szpital i usługi pogrzebowe, a po chwili zjechał na prawy pas. Prowadził niezbyt szybko i w absolutnej zgodzie z przepisami. Przejechali koło wideoteki i marketu z komputerami. Zbliżali się do Rosenkrantzgate, kiedy nagle jeszcze raz spojrzął w lusterko i zamigał prawym kierunkowskazem. Nie mogła powtórzyć jego manewru, ale zdążyła zauważyć, że stanął przed zielonym blokiem, przy pierwszej klatce. Akurat wybiegał z niej mały chłopiec. Może syn.

A więc mieszkał w zielonym bloku na Rosenkrantzgate i miał syna w wieku Emmy.

Jak mógł odgrywać rolę ojca po tym, co się zdarzyło? Brać syna wieczorem na kolana i śpiewać mu kołysanki? Pomagać w myciu zębów? Tymi samymi rękami, którymi zabił! Udało się jej zawrócić dopiero koło torów wyścigowych. Odbiła ostro w lewo i wjechała na jezdnię wiodącą w przeciwnym kierunku. Zielony blok znajdował się teraz po lewej stronie. Stała przed nim kobieta z miską pełną prania. Tleniona szopa na głowie. Typowa lafirynda, pomyślała Ewa, dokładnie w jego guście. Znalazła go. A wkrótce, już niedługo, znajdzie dwa miliony.

*

O dziewiątej wieczór siadła za kierownicą. Po dwóch i pół godziny miała za sobą dziesięć papierosów, a żółtego sklepu wciąż nie było widać. Nogi zaczęły jej sztywnieć i odczuwał się ból krzyża. Cały pomysł wydał się jej nagle obłąkany. Na dworze było ciemno jak w grobie. Minęła Veggli i restaurację z wielkim trollem, potem kolejne osady, których nazwy stopniowo sobie przypominała. Kierunek był dobry. Sklep powinien się znajdować po lewej i być wyraźnie oświetlony, jak wszystkie sklepy, przez całą noc. Tymczasem wokół panowała ciemność, żadnych zabudowań, żadnego samochodu. Po obu stronach szosy, jak ściana, wznosił się las. Odniosła wrażenie, że jedzie dnem głębokiego wąwozu. Muzyka w radio zaczęła ją drażnić. Cholerny sklep!

Skreśliła na pobocze i stanęła. Zapaliła kolejnego papierosa. Rozważała. Zbliży się północ, jest zmęczona. Może nie znajdzie tej chatki, może coś źle zapamiętała. Po dwudziestu pięciu latach... Były wtedy smarkulami. Maja przewodziła całej bandzie, reszta szła za nią potulnie jak stado owiec: Ewa, Hanna, Ina i Else Gro. Stare zielone śpiwory i konserwy. Czekoladowe cukierki i bawarskie piwo. Może żółty sklep zlikwidowali i postawili na jego miejscu jakiś supermarket, pomyślała, ale chyba nie stawiają supermarketów w środku lasu. Podjedzie jeszcze kawałek, dała sobie dwadzieścia minut. Jak nic nie znajdzie, zawróci. Albo zanocuje w samochodzie i poszuka za dnia. Myśl o spaniu na tylnym siedzeniu nie była zbyt kusząca, w końcu to pustkowienie, nie wiedziała, czyjej starczy odwagi. Wrzuciła bieg i wyjechała na jezdnię, gasząc papierosa w wypełnionej po brzegi popielniczce. Raz jeszcze spojrzała na zegarek i dodała gazu.

O ile dobrze pamięta, droga prowadziła przez most. Roilo się od owiec i kóz. Wjeżdżali pod górę zygzakami, zakręty na serpentynie miały niemal sto osiemdziesiąt stopni. W zimie oczyszczali drogę ze śniegu tylko do schroniska, ostatni kawałek Maja musiała pokonywać na nartach. Dobrze przynajmniej, że teraz nie ma śniegu... a może tam wyżej już leży i do chatki trzeba będzie dobrnąć przez zaspy? Nie pomyślała o tym. Nie należała do entuzjastów turystyki i w tej sytuacji czuła się dość głupio. Zapaliła

jeszcze jednego papierosa, chociaż już dawno przestały jej smakować. Odkręciła mocniej ogrzewanie, bezustannie wypatrując światełka w ścianie lasu. Powietrze było tu zupełnie inne, ostrzejsze. Cholera, że też to tak daleko! Elmer już pewnie pod pierzyną, może go też prześladują koszmary. Albo siedzi samotnie w pokoju nad kolejną wódką, podczas gdy jego żona dawno śpi snem sprawiedliwego. Chyba niełatwo jest zasnąć z widokiem Mai pod powiekami, czując wciąż pod sobą jej kopiące nogi. Musiała przecież stawiać nielichy opór, kiedy wciskał jej przykrytą poduszką głowę w materac. Była silna, lecz mężczyźni są o wiele silniejsi, zawsze ją to dziwiło. I to niezależnie od wzrostu, zupełnie jakby ich zrobiono z innego materiału. Zahamowała gwałtownie. Daleko z lewej strony rozbłysło światełko. Za chwilę zobaczyła znajomy pomarańczowy kwadrat z wielkim S. Samvirkelaget, spółdzielnia. Dalej droga i most.

Zrezygnowała z kierunkowskazu, zjechała na trakt i na drugim biegu zaczęła się wspinać pod górę. Puls przyspieszył, oczami duszy ujrzała małą, ciemną kostkę niepozornej i prymitywnej chatki, pełen nieprawdopodobnych bogactw sezam, klucz do beztroskiego życia. Gdyby ją Maja teraz widziała, na pewno by się ucieszyła, podobnie jak cieszyli ją wszyscy umiejący czerpać garściami z tego, co im mesie los. Z całą jednak pewnością by nie chciała, żeby na tych pieniądzach położył łapę skarb państwa. Dwa miliony — ile wyniosłaby suma odsetek, gdyby je wpłaciła na sześć, siedem procent? Nie, nie może przecież pójść do banku. Zagryzła wargi. Musi je więc schować w piwnicy. Tylko nikomu nie wolno się dowiedzieć, ani Emmie, ani nikomu innemu. A ona nie powinna być rozrzutna, mówić przez sen i upijać się do nieprzytomności. W gruncie rzeczy życie się nieźle skomplikuje, pomyślała. Jechała wciąż wyżej i wyżej. Nie pojawił się żaden samochód, jakby wylądowała na obcej planecie, ani żywej duszy, nawet owce zniknęły. Pewnie było dla nich za zimno, nie znała się na tym. Po piętnastu minutach minęła z prawej schronisko. Pojechała dalej wzdłuż jeziora po prawej stronie, szukając miejsca, gdzie by mogła dotrzeć nad samą wodę. Śnieg jeszcze nie spadł, ale było tu jaśniej, jakby niebo rozwierało się szerzej. Po lewej, w dużej chatce, świeciło się w jednym oknie. Jeśli tu

w górach przebywali ludzie, trzeba zachować ostrożność. Właściciele, mieszkańcy

Oslo, którzy tu od pokoleń mieli swoje chatki, kontaktowali się prawdopodobnie ze sobą. Tak, widzieliśmy przejeżdżający tu wczoraj wieczorem samochód, tak, chyba około północy. Nie, nie rozpoznaliśmy po pracy silnika. Amundsen ma volvo, Bertrandsen jeździ mercedesem dieslem, więc to musiał być obcy, tak, tego jesteśmy pewni.

Ewa wzięła zakręt, cały czas trzymając się brzegu niezwykle spokojnego, pobłyskującego metalicznie, jakby pokrytego lodem jeziora. Zauważyła nad wodą małą szopę. Pewnie znajdzie do niej jakiś dojazd. Przez dziury i błoto próbowała przemknąć się bliżej wody, cały czas bacząc, czy gdzieś nie zaświeci światło. Szopa dała się objechać, więc zaparkowała od tyłu. Wyłączyła zapłon i reflektory. Przez kilka chwil siedziała bez ruchu w smolistej ciemności.

Już, już miała zatrzaskać drzwiczki, gdy uświadomiła sobie, że ten dźwięk zabrzmiał w otaczającej ją ciszy jak wystrzał z dubeltówki. Docisnęła je zatem delikatnie, rezygnując z przekręcania w zamku kluczyka. Zarzuciła na ramiona plecak z młotkiem, kielnią i latarką, zasunęła suwak kurtki i zawiązała kaptur. Nie pamiętała, jak długo idzie się z tego miejsca do chatki, przyjęła jakieś piętnaście, dwadzieścia minut. Było zimno, ostre powietrze kąsało policzki, więc spuściła głowę i wróciła na szosę po tych samych wertepach, które pokonała samochodem, a potem różnym krokiem ruszyła naprzód. Miała nadzieję, że pozna chatkę, kiedy ją zobaczy. Z tyłu płynął strumyk, podpowiedziała pamięć, myły w nim zęby i brały stamtąd wodę na kawę. Wokół niej, mroczne i dumne, wznosiły się nagie szczyty. Najwyższy z nich, Johovdę, zaliczyły podczas tamtego biwaku. Spoglądała wtedy z góry na Hardangendda i czuła się dziwnie mała i niepozorna. Podobowało się jej to wrażenie, że większość rzeczy i zjawisk na świecie ją przewyższa. To śmieszne, pomyślała nagle w ciemnościach, wiemy wszyscy, że kiedyś umrzemy, a mimo to kurczowo trzymamy się życia. Wzruszyła się trochę.

Wyszła z za zakrętu i dostrzegła w oddali kilka chatek, pięć czy sześć, ale w żadnej nie paliło się światło. Na ten widok przyspieszyła kroku. Czy to tutaj? Więc chatka nie stała samotnie nad strumykiem, czy może źle zapamiętała? Nie, pewnie pozostałe dostawiono później, chociaż to nie gra żadnej roli, skoro w oknach jest ciemno, a przed wejściami nie parkują samochody. Dziwnie wyglądały na tej równinie, rozrzucone bez składu ni ładu jak żelazne porcje z samolotu. Z tej odległości wydawały się wszystkie czarne, ale gdy podeszła bliżej, pierwsza okazała się brązowa z białymi futrynami. Nad wejściem pyszniło się poroże. Przyjrzała się chatce po lewej, cofniętej nieco w stronę strumyka, ale nie czerwonej. To nie ma znaczenia, mogli ją pomalować. Podeszła wolnym krokiem. Na ścianie wisiał drewniany, chyba nowy szyld i chociaż nie pamiętała dawnej nazwy, od razu wiedziała, że to chatka Mai. Nazywała się „Hilton”.

Zajrzała na tył. Koryto strumyka się pogłębiło od tamtego czasu, ale rozpoznała kamienie, na których wówczas siedziały, i krętą jak wąż ścieżkę prowadzącą do wejścia. Była na miejscu. Sama. Nikt o tym nie wiedział, a noc dopiero się zaczęła. Znajdę te pieniądze, nawet jeśli bym miała drzeć deski podłogi gołymi pazurami!

Nie śmiała zapalić latarki. Raczej na wycucie zbadała stan okien. Zwłaszcza kuchenne wydało się jej wystarczająco nieszczelne, choć umieszczone dość wysoko. Za chatką znalazła składzik drewna i pieńki, ciężki, prawie nie do ruszenia, ale za to gładki i stabilny, świetnie nadający się na podstawkę. Chwyciła go mocno i szarpnęła raz i drugi. Drgnął. Zdjęła plecak i przeturlała kloc za róg pod okno. Wróciła po narzędzia, wyjęła kielnię i weszła na pieńki. Nagle zaparło jej dech z wrażenia. Co ona tu robi w jesienną noc z kielnią w ręku, z sercem przepełnionym żądzą pieniędzy? Nie poznawała siebie. To nie jej chatka, nie jej pieniądze... Zeskoczyła na ziemię. Przycisnęła rękę do piersi, w której dudniło serce, i wciągnęła w płuca lodowate powietrze. Szczyt Johovdy wydawał się grozić i ostrzegać na tle nieba. Mogła jeszcze wziąć nogi za pas, wrócić do domu i zachować resztki przyzwoitości, pominąwszy tamte, już ukradzione sześćdziesiąt tysięcy, kiedy nie była sobą, prawie się nie kontrolowała i dlatego tamtą kradzież można jej było wybaczyć. Teraz to co innego, to czyste zło-

dziejstwo, bezczelne zerowanie na śmierci Mai. Puls się powoli uspokajał. Znowu weszła na pieńek. Z lekkim ociąganiem włożyła ostrze w szparę między ramą a ścianą. Drewno było miękkie jak masło, wielką kielnię wepchnęła dość głęboko. Zeskoczyła z pieńka, chwyciła młotek i delikatnymi ruchami wbiła ją głębiej. Rzuciła młotek na ziemię, podważyła ramę. Usłyszała trzask odłupującego się drewna i zgrzyt pękającego haczyka. Okno uchyliło się na jakieś dziesięć, piętnaście centymetrów i zawisło na górnym nawiasie. Rozejrzała się dookoła, podniosła plecak i otworzyła je na całą szerokość. Było zasłonięte czarną roletą. Wcisnęła do środka plecak, za nim wrzuciła narzędzia. Potem wsadziła głowę, chwyciła rękami za parapet i próbowała się podciągnąć. Przydałby się właściwie wyższy pieńek, a tak musiała podskoczyć, tylko że otwór był za wąski. Rozhuśtała się w kolanach, odbiła mocno i zawisła w pół drogi — głową i ramionami już w środku, a nogami jeszcze na zewnątrz. Rama z szybą ocierała jej plecy. W kuchni panowały egipskie ciemności, ale wyczuła dłońmi blat stołu, przecisnęła się ostrożnie przez futrynę, zaczepiła stopą o parapet i z piekielnym hałasem poleciała na twarz, razem z kubkami i garnkami, ryjąc brodą w zasłaną skorupami podłogę. Przez chwilę przebierała nogami, zaplątana w szmaciany chodniczek, a potem siadła, dysząc ciężko. Była w środku.

Wszystkie okna zasłonięto czarnymi roletami. Ani jeden okrucz światła nie miał prawa przedostać się na zewnątrz. Zapaliła latarkę.

Ostry, biały snop trafił w kominek. Przesunęła się ku środkowi izby. Sofa, przykryta kocem w kratę. Tutaj Maja opowiadała o swoich przygodach, a było ich niemało, mimo że nie skończyły jeszcze wtedy trzynastu lat. Reszta dziewczyn siedziała z gębami rozdziawionymi z podziwu i strachu.

Niektóre spuszczały oczy. Ina zacisnęła usta i nie chciała słuchać, bo była wierząca.

W kominku na ruszcie stał troll z brodawkami na nosie i świerczkiem w łapie. Z sufitu błyszczącymi oczkami z guzików łypała na nią czarownica. Stół, narożna wisząca szafka, kredens na kubki i garnki, komódka, pewnie na rękawice i czapki, dwoje otwartych drzwi do maciupkich sypialni,

wnęka kuchenna. Małe żelazne kółko w podłodze, kłapa, którą trzeba otworzyć, by się dostać do spiżarni. Spiżarnia to wspaniały schowek, zimny i ciemny. Albo składzik na narzędzia czy dobudowany wychodek. Musiały tylko przejść przez mały korytarzyk, ale chodziły parami, przerażone i bliskie hysterii, bo Maja im przedtem z kroniki kryminalnej przeczytała na głos o ćwiartowaniu zwłok. Wciskały głowy w ramiona i maszerowały w chwiejnym świetle naftowej lampy. Albo kuchenka gazowa... Żebyście mi tylko nie wysadziły chatki w powietrze! Tak powiedział ojciec Mai na pożegnanie, w drodze do samochodu. Nad sofą wisiały dwie długie półki na książki, masa tanich powieści i trochę komiksów. Maja przywiozła wtedy ze sobą kilka numerów „Cocktailu”; czytały go na głos, ale dopiero kiedy Ina poszła spać.

Ewa zmarła. Nie powinna stać i tonąć we wspomnieniach. Trzeba ułożyć plan. Wyobrazić sobie siebie na miejscu Mai, wyczuć jej sposób myślenia, kiedy zjawiała się tutaj z całym swoim majątkiem i chciała mieć pewność, że nikt go nie znajdzie. Z jej fantazją mogła wpaść na zupełnie nieprawdopodobne pomysły. Ewie od razu przyszedł do głowy wychodek. Przypuśćmy, że pieniądze leżą zagrzebane w dole. Na Boga, a jeśli gdzieś w ziemi poza domem? Poruszyła się niespokojnie, ogarnięta paniką. Miała ograniczony czas manewru, musiała odjechać stąd przed świtem. Pomyślmy metodą eliminacji, zaczęła rzeczowo, wyłączmy te miejsca, gdzie pieniędzy na pewno nie ma. Oczywiście schowki jak kredens, narożna szafka i komódka. Poszukajmy spokojnie i systematycznie. Wyobraziła sobie banknoty w plastikowych torebkach albo w kopertach owiniętych folią ochraniającą przed wilgocią. W pierwszej sypialni stała komoda, tę też skreśliła i skoncentrowała się na bardziej wymyślnych możliwościach. Najpierw spiżarnia, bo najgorsza. Uniosła kłapę za żelazne kółko. Pod stopami rozwarła się czarna czeluść, a z mroku powiało chłodem. Może na dole są szczury? Kłapa stała w pionie podtrzymywana przez drabinę, po której Ewa zeszła z latarką w dłoni. Nie można się tu było wyprostować, więc kucnęła i oświetliła słoiki z konfiturami i kiszonymi ogórkami, butelki białego i czerwonego wina, portwajnu, sherry i znowu słoiki konfitur. Metalowa puszka z Królową Śnieżką i Kopciuszkiem. Ewa potrząsnęła nią i zagrzechotały

przerazone ciasteczka. Zmarznięte ziemniaki z długimi kielkami. Puszki konserw, które podnosiła po kolei, były ciężkie i szczelnie zamknięte. Kilka butelek oleju i następne wina. Maja nie byłaby w stanie opróżnić chatki z zapasów przed zimą. Latarka przesuwiała się po nierównościach kamiennej podłogi. Pachniało stęchlizną. Pustki. Ewa siadła na najniższym stopniu drabiny i jeszcze raz, powoli i dokładnie oświetliła maleńkie pomieszczenie. Czy da się pozwijać banknoty i powtykać w puste butelki po winie? Nie, Boże wielki! Wróciła na górę. Opuściła klapę ostrożnie na miejsce i zaczęła przeszukiwać szafki w kuchni. Te, gdzie stały kubki i szklanki, natychmiast zamykała, natomiast dokładnie przyjrzała się garnkom. Podnosiła każdy rondel, oświetliła wnętrze szafki i jej dno. Nic. Zaglądnęła do kuchenki gazowej i przeniosła się do pokoju. Poświeciła pod sofą. Może są w książkach na półce, w takim razie czekają niezła robota, żeby przekartkować każdą, ale oczywiście Maja nie ukryła tam pieniędzy. Choć mogła wykorzystać kominiek albo przewód kominowy. Ewa postawiła nogę na podestacie i oświetliła wylot komina. Pudło. Przypomniała się jej skrzynia-ława przy stole. Te meble się na ogół otwierały. Miała rację, w środku leżały kapcie i stare buty, grube swetry, stara kurtka i dwa szmaciane chodniczki. Wpadło jej w oko wiekowe radio. Może Maja je rozebrała, wyrzuciła elementy, a w obudowie schowała pieniądze? Nie była tylko pewna, czy przyjaciółka miała wystarczającą do takiej operacji wiedzę techniczną.

Pojemnik na chleb, pomyślała, pojemnik na stole w kuchni. Albo waza do zupy na narożnej szafce. A może w ściennym zegarze? A stary plecak, wiszący na gwoździu wbitym w ścianę? Na pewno są tam. Zdjęła plecak i wywróciła go do góry nogami. Był pusty. Spojrzała na zegarek. Pierwsza. Przeszukała sypialnię, zaglądała pod materace i pomiędzy pościel, przejrzała nawet komody i dwie wąskie szafy z wiatrówkami i kurtkami. Starą beczułkę na sól wypełniały szaliki i ciepłe skarpety. W kuchni pootwierała wszystkie porcelanowe pojemniki. Zawierały to, co głosił napis: sól, mąkę, kaszę i kawę. W sionce macała ręką pod zasłonką na ławce, lecz znalazła tylko miednicę, szczotkę i lepłą butelkę płynu do zmywania. Pozostawała przybudówka. Warsztat, komórka na narzędzia i wychodek.

Drzwi skrzypnęły groźnie. Pomieszczenie nie miało okien. Podłoga lekko się ugiwała. Impregnowana kurtka zaszeleściła w ciszy. Z jednej strony przez całą szerokość biegł stół roboczy, a na ścianie wisiała deska, na której ktoś obrysował ołówkiem każde narzędzie, żeby je było łatwiej odwiesić na miejsce. Jeszcze jeden pieniek. Stare meble ogrodowe. Pogryziony przez myszy materac z gąbki. Narty i kijki. Szufla do śniegu. Skąd zacząć? Może najpierw otworzy drzwi do ustępu i oświetli dół. I tak zrobiła. Wychodek był malutki. Dwie dziury i głęboki dół. Dziury przykrywały płyty styropianu, a zapach nie był uciążliwy, widocznie ustępu dawno nie używano, a poza tym było zimno. Na ścianie wisiał portret księcia Haralda w jasnym swetrze. Odślonięte w uśmiechu białe zęby lśniły w ciemnościach. Ciekawe, czy wie, że ludzie go wieszają w wychodkach? Na podłodze leżał kawałek chodniczka. Ewa odsunęła jedną płytę i pochyliła się nad dziurą. Starła się nie oddychać, oświetlając deskę od spodu. Nic nie zobaczyła. Odsunęła drugą płytę i także poświeciła. Ciemna masa w dole robiła nieokreślone wrażenie, choć dostrzegła kilka jaśniejszych skrawków, pewnie papieru. Fantazjowała, że miliony leżą na dnie tego gnoju, na przykład w metalowej skrzyni. Jeszcze czego! Podniosła się, mogła zacząć normalnie oddychać. Chyba powinna na wszelki wypadek postukać kijkiem od nart albo czymś podobnym po dnie. Koło stołu w warsztacie stało kilka par desek. Niektóre całkiem stare, z porwanymi rzemykami, inne z włókna szklanego, z białymi plastikowymi tarczkami pod pięty. Nagle zrobiło się jej głupio. Uświadomiła sobie, że są przecież jakieś granice i nie ma co szukać forsy w gównach. Przez chwilę rozglądała się bezradnie. Pod stołem w warsztacie stało stare, poplamione plastikowe wiadro, kilka butelek terpentyny — i kubek farby. Spory, chyba dziesięciolitrowy. Kucnęła i przeczytała: bejca dachowa, brąz szalasowy. Zakołysała kubelkiem. Na dnie coś się poruszyło. Podważyła paznokciami wieczko, lecz nie puściło ani trochę. Na desce z narzędziami odnalazła śrubokręt, wsunęła go pod wystający kant i podniosła dekiel. Pojemnik wypełniały płaskie, owinięte w folię aluminiową paczuszki. Przypominały zwykłe kanapki na drugie śniadanie. Wstrzymała dech i wsadziła latarkę pod brodę, wzięła jedną z paczek, nadarła folię i zobaczyła plik banknotów. Znalazła.

Z wrażenia aż siadła. Zabolało, ale nie wypuściła z rąk pakietu. Myśli Mai biegły tymi samymi torami co jej! Włożyła pieniądze do pustego kubelka po farbie! Ewa, przytłoczona sytuacją, ukryła twarz w dłoniach. Bezpańskie, oszalamiające pieniądze, o których istnieniu nikt nie wiedział, spoczywały na jej kolanach. Najpewniejsza polisa ubezpieczeniowa. Policzyla paczuszki. Było ich w sumie jedenaście, grubości pięciu, sześciu kanapek, każda zawinięta w kawałek folii. Ułożyła jedną na drugiej, aż powstał pokaźny stosik. Już jej nie było zimno. Krew tętniła w żyłach, oddech stał się płytki i urywany jak po długim biegu, na czoło wystąpił pot. Mocowała się z suwakami w kurtce, żeby poupychać paczuszki po licznych kieszeniach. Po dwie w każdej, a resztę w spodniach. Może się uda. Musi tylko pamiętać, żeby dokładnie zasunąć zamki. W ten sposób nie wypadną po drodze. Postanowiła mianowicie wrócić do samochodu biegiem, bo jakoś przecież musi się pozbyć tej niezwykłej, rozpierającej ją energii. Ruch, szaleńczy wyścig z wiatrem przez równinę — tego jej teraz było trzeba. Wstała, żeby mieć lepszy dostęp do kieszeni, i wtedy właśnie usłyszała jakiś dźwięk, dobrze znany i przez to natychmiast rozpoznawalny. Serce na sekundę zamarło. Samochód.

Coraz bliższy pomruk silnika nagle zmienił charakter. Kierowca zredukował bieg. Pod kołami zachrzęściła pokryta szronem trawa. Ostre światło reflektorów z trudem przenikało przez szpary w deskach. Ewa znieruchomiała z milionami w ręku i kompletnie pustą głową. Stała jak słup soli. Nie pozostała w niej ani jedna myśl, zastąpiona przez ślepa panikę. Działała automatycznie, a zdumiony rozum ledwo nadażał, kiedy wkładała paczki z banknotami z powrotem do kubelka, przykrywała wieczkiem i skradała się po skrzypiącej podłodze w szumie pracującego ciągle silnika. Otworzyła drzwi do wychodka, odsunęła jedną z płyt i spuściła kubelek do dołu, po czym zgasła latarkę.

Trzasnęły drzwiczki. Usłyszała szybkie kroki i zaraz potem zgrzyt klucza w zamku. Ktoś w środku nocy otwierał chatkę Mai! Z całą pewnością nie w uczciwych zamiarach, pomyślała. Zaskrzypiały zardzewiałe zawiasy, zadudniły buty w sionce. Za chwilę ten ktoś odkryje otwarte okno i przeko- pie całą chatkę. Nie namyślała się dłużej. Odważnie wsadziła nogę do

otworu. Siadła na brzegu deski i stwierdziła, że na drugą nie starczy miejsca. Wyciągnęła więc nogę z powrotem i podparłszy się na rękach, wstawiła do dziury obie naraz, po czym opuściła je w mroczną czeluść. Machała bezradnie stopami, póki nie dotknęła nimi dna. Nareszcie. Zanurzyła się w gęstą maź. Chwyciła latarkę i rzuciła ją tuż przy nogach. Potem kucnęła, by precyzyjnie przeczesać przez otwór barki, i poszukała ręką płyty. Przesunęła ją ostrożnie na czubkach palców nad głową i zakryła dziurę. Zapadła kompletna ciemność, znikąd ani promyka światła. Nogi pograżyły się głębiej. Zrezygnowała z kucania i siadła, mocząc także tamtą część ciała. Oparła się czołem o kolana i dopiero teraz, kiedy rozgrzała zawartość dołu swoim ciepłem, poczuła narastający smród, który poprzednim razem nie dał się jej tak we znaki. Oddychała płytko z nosem w kolanach. Latarka potoczyła się w bok i znalazła poza zasięgiem ręki. Kubełek z dwoma milionami pozostał na miejscu, między stopami... Huknęły jakieś drzwi i usłyszała stek przekleństw rozwścieczonego mężczyzny.

Oddychać ustami, ani przez chwilę nie wciągać powietrza nosem. Była bliska utraty przytomności. Starła się koncentrować na odgłosach z góry. Bez wątplenia ktoś czegoś szukał i nie zależało mu na zachowaniu ciszy. Może nawet zapalił światło, pomyślała i nagle przypomniała sobie pozostawiony na podłodze w pokoju plecak. Mało jej nie zemdleło. Czy dostrzegł błysk latarki? Nie, chyba nie. Ale plecak... Może się domyślić, że wciąż tutaj jest. Co zrobi? Przewróci chatkę do góry nogami? Chyba że już zaczął i za moment jego buciory załomoczą w komórce. Szarpnie drzwiami... ale czy podniesie płytę i oświetli dół? Ścisnęła nos kolanami i wciągnęła powietrze przez usta. Chwilami w chatce zapadała cisza, a potem znowu się miotał. Minęło kilka minut. Kroki zbliżyły się, słyhać je było w sionce, coś spadło i wywołało nową falę wyzwick. Wszedł do komórki. Cisza. Wyobraziła sobie, że właśnie przygląda się drzwiom ustępu i kombinuje, jak każdy inny na jego miejscu, czy tam się czasem kto nie chowa. Postąpił kilka kroków. Ewa skuliła się, czekała. Jęk zawiasów. Na ułamek sekundy Ziemia przestała się obracać. Ewa zamieniła się w drżącą kupkę strachu i pulsującej w żyłach krwi. Nagle wszystko stężało w bezruchu.

Dzielił ich może metr. Czy usłyszy jej oddech? Zatrzymane w płucach powietrze mało ich nie rozsadziło. Każda sekunda wydawała się wiecznością. Wreszcie ruszył z miejsca. Kroki się oddaliły. Za to rozległ się rumor przy stole w warsztacie. Ewa pomyślała naraz, że mężczyzna, gdyby mu przyszło zostać dłużej, może się chcieć załatwić, a wtedy wróci, odsunie styropian... jeśli wybierze dziurę z lewej, to obleje jej nogi, ale jeśli z prawej, to trafi w głowę. A jeżeli zapali światło, to zobaczy, że w dole siedzi ktoś z kubłem po farbie między nogami. Skąd się tu wziął? Maja nie powiedziała jej całej prawdy, coś musiała opuścić. To Maja wpakowała ją w tę obłądną sytuację, jak po wielekroć przedtem. Maja roztoczyła przed nią możliwość zdobycia tych olbrzymich pieniędzy, chociaż ona wcale o tym nie marzyła, potrzebowała tylko tyle co najedzenie i rachunki. Najchętniej oddałaby mu całość. A może by się podzielili, pomyślała. Dlaczego miałby uzurpować sobie większe prawa niż ona? W końcu były przyjaciółkami z dzieciństwa, dzieliły się wszystkim. To ją Maja wyznaczyła na spadkobierczynię.

Mężczyzna grzebał teraz nerwowo w szufladach z narzędziami i śrubkami. Sprawiał wrażenie doprowadzonego do ostateczności. Sądząc po odgłosach, zostawi po sobie pobojowisko. Ewa zastanawiała się, czy wpadnie na pomysł nocowania. Może uwali się na którejś pryczy pod grubą zimową kołdrą, a ona będzie siedziała przez resztę nocy na tej kupie gnoju bez czucia w stopach? A jak je sobie odmrozi? Do rana przyjdzie jej tutaj chyba umrzeć z zimna, rozpaczy i smrodu. Może to jednak po prostu zwykły złodziej, taki jak ona, i przed świtem się wyniesie? Jedynie to ją trzymało przy życiu. Czepiała się tej nadziei przez cały czas, gdy mężczyzna przeszukiwał chatkę. Powoli zapadała w drzemkę, tłumacząc sobie, że nie powinna zasypiać. Mimo to powieki jej opadły, smród jakby zelżał... a może tylko zupełnie już otepiała i niewiele czuła. Ach, gdyby tak mogła się trochę przespać! Przemknęło jej przez myśl, że od tej bagnistej brei, w której siedziała, nie da rady się odbić. Trudno jej będzie wyjść o własnych siłach. A jeśli, pozostawiona sama sobie, umrze tutaj z dwoma milionami w zasięgu ręki? Może powinna zawołać o pomoc, wydostać się z tego dołu, ściągnąć śmierdzące lachy i raczej podzielić się z tym biedakiem, który najwidoczniej nie wie, gdzie szuka, więc szukał na chybił trafił. Tymczasem zareje-

strowała, że na górze wreszcie zapadła cisza, jak gdyby obcy rzeczywiście się położył. Czyżby pod kraciatym pledem na sofie? Może wyciągnął ze spiżarni czerwone wino, dodał cukru i postawił na kuchence? Słodki grzańiec, włochaty, wełniany koc i ogień na kominku... Lekko poruszyła zeszywniałymi palcami. Powoli skuliła się w sobie, odgrodziła od zimna, od smrodu, zamknęła oczy i wyłączyła mózg, pozostawiając jedynie alarm na wypadek, gdyby intruz przyszedł za potrzebą albo na poszukiwania. Stopniowo zagłębiała się w coraz większy mrok. I jeszcze ostatnia, mglista myśl: Jak ja tu, u Boga Ojca, trafiłam?

Obudził ją gwałtowny huk.

Wzdrygnęła się i odruchowo podniosła rękę, uderzając przy tym łokciem w przepierzenie. Usłyszał? Cisza. Domyśliła się, że to trzasnęły drzwi. Mężczyzna wyszedł na dwór. Stał teraz tuż przy ścianie wychodka. Przeszedł trzy, cztery kroki i znów się zatrzymał. Ewa czekała nasłuchując. Próbowwała sobie wyobrazić, co on robi. Była sztywna jak kołek, nie mogła ruszyć ręką ani nogą. Zakaszłał, a za moment rozległ się znajomy odgłos: silny strumień rozpryskiwał się o zmarzniętą ziemię. Typowy mężczyzna, pomyślała, nie chciało mu się pójść do wygodki, to wystawił interes za drzwi i leje. Jego lenistwo przypuszczalnie uratowało ją przed wykryciem. Mało się nie roześmiała, tak jej ulżyło. Za ścianą ciągle ciurkało. Albo długo trzymał, albo wypił przedtem piwo. Może jak skończy, to odjedzie. Dziwne, że nie sprawdził dziur w wychodku. Widocznie nie miał dość wyobraźni, w odróżnieniu od niej, która gotowa była mieszać gówna kijkiem od nart, żeby znaleźć miliony. Zaczęła w niej narastać nadzieja, że ten koszmar się wnet skończy, a wraz z nadzieją powróciło zimno i sztywność mięśni oraz nieznośny smród. Mężczyzna wszedł do środka. Która może być teraz godzina? Ile czasu spała? Starła się oddychać spokojnie. W chatce znowu zrobiło się głośno. Trzaskały drzwi, zasuwane szuflady, otwierane i zamykane szafy. Dudniły bezładne kroki. Może już dawno nastał dzień i jest zupełnie jasno? Może zerwał zaciemniające rolety i szuka na nowo? W takim razie wróci do przybudówki i pod wpływem impulsu zajrzy także do dołu, podobnie jak wcześniej ona. Próbowwała sobie wyobrazić jego reakcję, gdy ją zobaczy i pojmie, że siedziała tu cały czas. Jego niedowie-

rzanie i wściekłość, albo tylko zaskoczenie i strach, jeśli był Bogu ducha winnym facetem, działającym w uczciwych zamiarach. W to jednak trudno uwierzyć. Znowu trzasnęły drzwi i zazgrzytał klucz w zamku. Czyżby więc rzeczywiście rezygnował? Wstrzymała oddech, ale kroki w istocie zaczęły się oddalać i nastąpiło to, o czym w głębi serca marzyła — niemal zbyt piękne, żeby było prawdziwe: stuk zamykanych drzwiczek. Ewa zaczęła się trząść jak osika. Silnik zawył, a ona westchnęła z ulgą, ale nie poruszyła się. Czekwała. Mężczyzna chyba manewrował samochodem, może wykręcał, by móc swobodnie wyjechać. Jakieś gałązki uderzyły o metal. Motor pracował teraz bardziej miarowo. Wtem przyspieszył. Pewnie samochód znalazł się już na szosie i odjeżdżał, bo szum słabł, aż wreszcie całkiem zamilkł.

Co za spokój.

Położyła ręce na kubelku i odetchnęła. Pociągnęła nosem i spróbowała wyprostować nogi, zeszywniałe jak konary starego drzewa. Straciła zupełnie czucie w stopach. Odsunęła znad dziury styropian. Naokoło w dalszym ciągu panowała ciemna noc. Latarka, pomyślała nagle, co się stało z latarką? Zacisnęła pięści, wzdragając się grzebać w zawartości dołu, lecz w końcu się przemogła. Macała pod nogami i po bokach. Miejsca było niewiele, musi się znaleźć. Sięgnęła za plecy i poczuła lodowaty metal. Żeby się tylko nie popsuka! Odnalazła wyłącznik. Działa! Z westchnieniem ulgi spojrzała na zegarek. Wpół do czwartej. Nieprędko się rozjaśni, ma jeszcze dużo czasu. Położyła latarkę na desce obok dziury, a potem chwyciła rękami za brzeg i usiłowała się podciągnąć. Krzyż jej pękał z bólu, nogi odmawiały posłuszeństwa, ale udało się jej wystawić głowę i precyzyjnie przycisnąć barki. Czowała, że się udusi, jeśli natychmiast nie wydostanie się na zewnątrz. Przebierała nogami, sapała, obracała się i z całej siły odpychała od dna, wreszcie prześlizgnęła się przez otwór, opadła na deskę i szarpnęła za sobą nogi. Straciła latarkę i przez moment gapiała się na oświetlony jej żarówką pasiasty chodniczek, a na koniec wyjęła z dziury stopy. Stała na podłodze. Zupełnie jakby była sparaliżowana. Ale stała.

Pochyliła się nad otworem i oświetliła go po raz ostatni, by wyciągnąć kubek. O niego przecież walczyła. Teraz miliony należały do niej. Prze-

szła do chatki. Panował w niej nieopisany bałagan, wszystko opróżnione i powyrzucane na podłogę. Przesunęła wiązką światła po ciemnym wnętrzu. Nie zdjął rolet, a powietrze wydawało się dziwnie świeże i chłodne. Niemal zapomniała, jak dobrze jest swobodnie oddychać. Niepewnym krokiem dotarła do fotela i klapnęła bezwładnie na siedzenie. Ubranie było sztywne od brudu. Wyrzuci wszystko, co teraz ma na sobie. Co do włókienka! Może powinna też obciąć włosy? Chyba nigdy nie pozbedzie się tego zapachu. Czekala ją, utyłaną od stóp do głów w łajnie, długa jazda do domu. A gdyby znalazła w chatce ciuchy na zmianę? Wstała z wysiłkiem i poszła do sypialni. Poświeciła latarką. Wyjęła z komody sztuka po sztuce: majtki, skarpetki, podkoszulek i robiony na drutach sweter. Gorzej było ze spodniami. Przypomniała sobie sionkę, gdzie zostawiano wierzchnie ubrania. Miała szczęście. Wisiał tam stary puchowy kombinezon, miękki i delikatny w dotyku, choć prawdopodobnie za mały. Przyjdzie się jej wciskać jak kielbasie we flak, ale przynajmniej był czysty. To znaczy w stosunku do tego, co miała na sobie. Pachniał smarem do nart i ogniskiem. Położyła wszystko na podłodze i zaczęła się rozbierać. Najgorsze były ręce. Starala się nie zbliżać ich do twarzy, by nie poczuć tego zapachu. Może polać je płynem do zmywania i wytrzeć w jakiś ręcznik? Zatrzęsła się z zimna, ale nie traciła nadziei. Ciągle zerkala na poplamiony kubełek po farbie. Taki z pozoru niewinny. Któż by przypuścił, że zawiera miliony? Poza nią, oczywiście, ale ona miała wyobraźnię. W końcu jest artystką.

Znalazła też w skrzyni parę butów i z trudem zawiązała sznurowadła. Palce zaczęły wprawdzie tajać, lecz wciąż były mało sprawne. Brudne łachy upchnęła do plecaka, który mężczyzna cisnął w kąt, i całość zarzuciła na plecy. W jedną rękę wzięła latarkę, w drugą kubełek. Nie miało sensu wyłożenie przez okienko w kuchni, nie po tym, co się tu zdarzyło. Drzwi wejściowe były zamknięte, więc poszła do sypialni, zerwała roletę i tam otworzyła na oścież okno. Nabrała w płuca ostrego powietrza, wspięła się na parapet i wyskoczyła.

*

Mężczyzna prowadził granatowego saaba. Twarz wykrzywił mu grymas wściekłości, a oczy świeciły złym blaskiem. Pieniądze zniknęły. Ktoś go ubiegł, ale kto? Nie miał pojęcia. Samochód trząsał się i podskakiwał na nierównej szosie w takt jego przekleństw. Po lewej błyszczało spokojne jezioro, większość chatek opustoszała. Czuł się oszukany. Wydarzyło się coś, czego nie potrafił zrozumieć. Ktoś włamał się do chatki i ukradł pieniądze. Jego pieniądze. Sprawa była jasna jak słońce. Nie brakowało niczego. Lornetka, aparat, telewizor i radio — wszystko na swoim miejscu. Nawet wino w spiżarni nie zostało naruszone. Uderzył pięścią w kierownicę i przyhamował na zakręcie. Nagły impuls kazał mu skrócić w wąską, dziurawą drogę wiodącą na brzeg jeziora, w sąsiedztwo ni to szopy, ni to chatki, najwidoczniej pustej i chyba od dawna nieużywanej.

Podjechał nad samą wodę i zostawił silnik na chodzie. Musiał się uspokoić. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni papierosy i zapalił. Zamyślny wpatrywał się w spokojną toń. W szczupłej twarzy świeciły pod czarnymi brwiami blisko osadzone oczy. Włosy także miał czarne. Byłby całkiem przystojny, gdyby nie surowa, jakby obrażona mina. Uśmiechał się rzadko, a i wtedy nie robiło to przekonującego wrażenia. W tej chwili daleko mu było do śmiechu. Palił nerwowo. Wyłączył silnik, zirytowany jego szumem. Otworzył drzwi i podszedł kilka kroków w stronę jeziora, rozkoszując się wspaniałym widokiem. Kiedy zgasły reflektory, zrobiło się bardzo ciemno, ale stopniowo z mroku wyłoniły się góry. Jak olbrzymie prehistoryczne gady ułożyły się do snu. Czy gdyby w tej ciszy wydostał mu się z gardła dławiony dotąd pomruk niepohamowanego gniewu, to góry odpowiedziałyby podobnym głosem? Wtem rzuciło mu się w oczy auto. Stary, dość wysłużony opel ascona, ukryty za chatką, jakby opuszczony. Dziwne, czyżby tu jednak byli ludzie? Podkradł się bliżej, nagle niepewny swojej samotności, i zajrzał przez szybę. Jeszcze dziwniejsze okazało się to, że drzwiczki dały się swobodnie otworzyć, a wewnątrz nie znalazł dosłownie nic. Wyprostował się i rozejrzał dookoła. Przyszedł mu do głowy nieoczekiwany pomysł, toteż zawrócił do własnego auta. Rozważał dalej paląc, wgniół niedopałek w popielniczkę i sięgnął po następnego papierosa.

Ewa poczuła nagle, że jest potwornie zmęczona. Ledwo powłóczyła nogami, bez przerwy potykała się o kamienie i mrowiska w trawie. Kubełek ważył chyba tonę, ale w kombinezonie nie było kieszeni, a nie chciała mieszać pieniędzy z ugnojonymi łachami w plecaku. Mogły przejść zapachem. Wkrótce dotarła do szosy, gdzie szło się znacznie łatwiej. W miarę możliwości przyspieszała kroku, lecz nogi jakby pozostawały w tyle. Czuła, jak opada na piętę, ale nie rejestrowała odbicia z palców, całą przednią część stopy ogarnął bezwład. Wszędzie wokół pustka. W chatce, gdzie przedtem dostrzegła błysk, panowały ciemności. Na myśl o długiej podróży traciła odwagę, lecz skoro stacją było na tyle, zdoła też dojechać do domu, a może po drodze znajdzie jeszcze całodobową stację benzynową z czynnym sklepem, gdzie sprzedają kielbaski i hamburgery, colę i czekoladę albo wiedeńskie rogaliki pakowane po cztery w plastikową folię. I gorącą kawę. O ile w ogóle gdziekolwiek odważy się wejść. Przypuszczalnie śmierdzi bardziej, niż się jej wydaje, po prostu przyzwyczaiła się do zapachu. Nie wiadomo, co by sobie ludzie pomyśleli, gdyby się pojawiła w ciepłym i jasnym sklepie, ciągnąc za sobą smród wychodka. Dostrzegła wąską drogę prowadzącą nad jezioro. Przełożyła kubełek do lewej ręki, a prawą ujęła latarkę. Nie śmiała jej zapalić, choć wokół wydawało się pusto i spokojnie. Zrobi to dopiero przy samochodzie, gdy będzie gotowa do jazdy. Im mniej będzie widoczna, tym lepiej. Nigdy jej tak nie brakowało starego opla i papierosa. Zrezygnowała z palenia, bo nie chciała nigdzie zostawiać niedopałków. Westchnęła, wytracona z równowagi wydarzeniami tej nocy. Zostało zaledwie kilka metrów do auta, gdy ciszę rozdarł potężny ryk silnika i Ewę oślepiły światła halogenów. Zamarła na sekundę, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. W następnej chwili zdała sobie sprawę, że prosto na nią rusza samochód, i odskoczyła w bok, w ciemność, rzucając się na oślep przez wrzosa i wertepy, byle dalej od szokującego dźwięku i światła. Biegła, jakby się ścigała ze śmiercią, ale nie upuściła kubełka. Wciąż słyszała ryk silnika, a póki go słyszała, mogła biec. Gdyby zamilkł, musiałyby paść na ziemię. Nie zdążyła. Nieoczekiwanie potknęła się o kamień i przewróciła jak długa na brzuch, skrzyła nogę i podrapała twarz o gałązki wrzosa i żdzbla trawy. Leżała jak martwa. Ryk silnika także zamarł. Szczęknięty

otwierane drzwiczki. Zrozumiała wreszcie. Znalazł jej samochód i zaczął się na nią. To już chyba koniec, pomyślała. Może ma strzelbę, może zaraz jej strzeli w tył głowy? Cóż znaczą właściwie pieniądze? Zdumiało ją, że tak strasznie się narażała wyłącznie dla pieniędzy. Nie do wiary. Przecież liczyła się jedynie Emma, no i ojciec. I jeszcze to żeby starczyło na kromkę chleba, światło i ogrzewanie. Usłyszała chrzęst kroków, ale nie była w stanie stwierdzić, czy się zbliżają, czy oddalają. Oparła głowę na ramieniu i marzyła, by móc zasnąć. Widocznie te miliony nie były jej pisane. Dlatego się nie poszczęściło. Co ją zresztą obchodzą jakieś pieniądze. Po chwili ochłonęła i przypomniała sobie Emmę. Musi zgubić tego typu. Podczołgała się ostrożnie. Przy akompaniamencie jego kroków ślizgała się po ziemi w gładkim kombinezonie. Póki szedł, nie mógł jej usłyszeć. Podpełzła kawałek i stop. Podpełzła kawałek i stop. Byle dalej. Dzielila go od niej jeszcze spora odległość, wrzosowisko było rozległe, a mężczyzna widać nie miał ze sobą latarki. Co to znaczy niewłaściwe wyposażenie, pomyślała, możliwie bezszelestnie przetaczając kubełek. Wtem usłyszała zapuszczany silnik i zobaczyła snop światła omiatający teren. Wcisnęła się we wrzosa, przypłaszczyła do ziemi. Jakie to szczęście, że ma ciemne włosy i granatowy kombinezon. Jedynie kubełek jest prawie biały. Trzeba się na nim położyć, zasłonić tę jasną plamę. Jaka była głupia, ciągnąc kubełek ze sobą. Na pewno już go namierzył i zaraz tu nadjedzie. Z bliska, w świetle reflektorów zauważy i ją. A jeśli ją przejedzie, wgniecie w grunt wszystkimi czterema kołami? Nikt się nie zorientuje, co tu miało miejsce. Dlaczego ją, ubraną w przyciasny kombinezon i śmierdzącą kloaką, zabił na wrzosowisku wysoko w górach jakiś samochód? Nikt się nie dowie, ani Emma, ani Jostein, ani ojciec. W takim razie, pomyślała, morderca Mai pozostanie na wolności.

*

Potrząsnął głową i dodał gazu. Wydawało mu się, że widzi w ciemnościach coś białego przelatującego w powietrzu. Sunąc wolno pod górę, rozglądał się na boki, ale reflektory dawały taki kontrast, że wrzosowisko całkowicie pograżyło się w ciemnościach. Chyba mu się coś przywidziało.

Może to była owca, chociaż o tej porze to mało prawdopodobne. W takim razie ptak, jest ich tu w końcu sporo, albo lis czy zając. Wyjaśnień może być wiele. Pochylił się właśnie, żeby zgasić papierosa, toteż trochę go to zaskoczyło. Dziwna sprawa z tym samochodem, o ile rzeczywiście w chatce ktoś jednak nie nocował. Nie miał czasu się zastanawiać. Musi to i owo sprawdzić. A pieniądze i tak będzie miał. Są jego, niech nikt sobie nie wyobraża... Dodał gazu i wyjechał na szosę. Wrzucił trójkę i wkrótce minął po lewej stronie schronisko. A potem światła skryły się za zakrętem.

*

Piana przypominała szczyty gór na Hardangervidda, a woda była gorąca do granic możliwości. Ewa zamoczyła ostrożnie jedną stopę i niemal się sparzyła, ale wciąż jej było mało ciepła. Najchętniej wlałaby ten wrzątek w siebie, w żyły.

Na brzegu wanny stal pełen kieliszek czerwonego wina. Plecak wrzuciła do śmietnika. Wyciągnęła z gniazdka wtyczkę telefonu. Teraz zanurzyła się w turkusowej od płynu do kąpieli wodzie. Prawdziwy raj. Palce rąk i nóg stopniowo tajały. Poruszała nimi leciutko. Upiła łyk wina i poczuła, że ból w kostce maleje. Czysty koszmar, ta jazda z niesprawną nogą. Całą stopę miała spuchniętą. Ścisnęła palcami nos i zanurkowała. Kiedy się wynurzyła, na głowie osiadła jej kupka piany. Więc tak wygląda milionerka, pomyślała zaskoczona, obserwując swoje odbicie w lustrze nad wanną. Grudka piany zachwiała się, zsunęła po włosach i wylądowała pod uchem. Ewa położyła się w wodzie i oddała obliczeniom. Rozważała, na jak długo starczy pieniędzy, gdyby wydawała dwieście tysięcy rocznie. Chyba na blisko dziesięć lat. Zakładając, że było ich rzeczywiście tyle, ile zapowiadała Maja. Jeszcze ich przecież nie przeliczyła. Zrobi to po kąpieli, jak się ubierze i cokolwiek zje. Po drodze natrafiła jedynie na prawie pusty automat ze słodyczami, miała do wyboru dropsy malinowe albo pastylki eukaliptusowe. Przymknęła powieki i słuchała syku pękających nad uchem bąbelków piany. Skóra przyzwyczajała się powoli do temperatury. Potem będzie

różowa i pomarszczona jak u noworodka. Ewa dawno się już nie kąpała. Zazwyczaj musiał jej wystarczyć szybki prysznic. Niemal zapomniała, jaka to przyjemność. Tylko Emma nie wychodziła prawie z wanny.

Wyciągnęła rękę po kieliszek i upiła spory łyk. Jak się wykąpie i policzy miliony, pójdzie spać. Prześni chyba do wieczora. Całe zmęczenie ulokowało się w czole i ciążyło jak bryłka ołowiu. Głowa opadała coraz niżej, póki broda nie oparła się o piersi. Jeszcze tylko w ustach poczuła smak mydła...

*

Godzina dziewiąta rano, czwarty października. Ewa spała w wystygłej kąpieli. We śnie prześladowało ją coś irytująco hałaśliwego, więc obróciła się w poszukiwaniu spokoju, lecz jednocześnie osunęła w dół. Wylądowała twarzą w wodzie, zakrztusiła się i połknęła trochę mydlin. Chrząknęła, kaszlnęła, próbowała wstać, lecz ścianki porcelitowej wanny były śliskie i znowu zjechała pod wodę. Pluła i parskiała, oczy jej łzawiły, aż wreszcie zdołała się podnieść do pozycji siedzącej. Było jej zimno. W tym momencie usłyszała dzwonek do drzwi.

Drgnęła wystraszona. Przełożyła nogę przez kant i zapominając o skręconej kostce, wyskoczyła z wanny. Krzyknęła z bólu. Łapiąc równowagę, sięgnęła po szlafrok. Zegarek leżał na półce pod lustrem. Spojrzała w przełocie na wskazówki, próbując zgadnąć, kogo też, u Boga Ojca, przyniosło o tak ранней porze. Na akwizytorów i żebraków było zbyt wcześnie, ojciec nigdzie się nie ruszał, a Emma nie dzwoniła, że wraca. Policja! Zawiązała ściślej pasek. Nie przygotowała się. Nie miała czasu przemyśleć, co mówić, gdyby ten człowiek się znowu pojawił. A teraz stał pod drzwiami. Była pewna, że to on, detektyw z przenikliwym spojrzeniem. Cóż, wcale nie musi otwierać, w końcu to jej dom, ona tu rządzi, a poza tym właśnie się kąpie. O tak niehumanitarnej porze nie przychodzi się stawiać pytań. Może zostać w łazience, póki sobie nie pójdzie. Pewnie pomyśli, że ona jeszcze śpi albo że wyjechała. Tak, ale samochód stoi przed domem... No to mogła pojechać

autobusem, nieraz się tak zdarzało, kiedy jej brakło na benzynę. Czego on znowu chce? W każdym razie o pieniądzech Mai nie może wiedzieć, chyba że zostawiła testament, a on go właśnie znalazł. A jeśli tak było? Jeśli zapisała cały majątek ośrodkowi, w którym pracowała?! Zakreśliło się jej w głowie. Przecież tak właśnie mogła zrobić! Nie trzymała w banku pieniędzy, lecz testament, ów mały czerwony zeszytek z prawdą o swoim życiu! Dzwonek odezwał się ponownie. Ewa podjęła błyskawiczną decyzję. Nie ma sensu ukrywać się w łazience. Ten facet i tak nie zrezygnuje. Obwiązała głowę turbanem z ręcznika i wyszła boso do korytarza, utykając co krok i pojękując z bólu.

— Witam panią, pani Magnus — uśmiechnął się Sejer. — Zdaje się, że przeszkodziłem w kąpielu. To grzech nie do wybaczenia. Może powinienem przyjść później?

— I tak już prawie kończyłam — odparła krótko, nie ruszając się z progu.

Miał na sobie skórzaną kurtkę i dżinsy. Wyglądał zupełnie zwyczajnie. Całkiem nie jak wróg, pomyślała. Wrogiem był tamten mężczyzna w górach. Co będzie, jeżeli zapisał sobie numery jej samochodu? Mało nie dostała ataku serca. W takim razie nie trzeba długo czekać, wkrótce ją dopadnie. Że też o tym nie pomyślała. Głęboka zmarszczka przecięła jej czoło.

— Mogę na chwilę wejść?

Nie odpowiedziała, tylko odsunęła się pod ścianę robiąc mu miejsce. W salonie skinęła w kierunku kanapy. Sama nie siadała. Zawisała nad nim jak chmura gradowa, skojarzyło się Sejerowi, który wystudiowanym, powolnym ruchem opadł na czarne siedzenie. Prawie niedostrzegalnie ogarnął doświadczonego okiem czarno-biały salon, zanotował w pamięci paczkę dropsów, kluczyki, pudełko papierosów i otwartą torebkę na stole.

— Zraniła się pani w nogę?

— Tylko lekko skręciłam. Czy coś się stało? Niechętnie usiadła na wprost niego.

— Chodzi o pewien drobiazg. Chciałbym usłyszeć jeszcze raz, od początku do końca, pani relację. Muszę wyjaśnić bliżej kilka szczegółów.

Ewa się zdenerwowała. Sięgnęła natychmiast po papierosa, zastanawiając się, czy mogłaby odmówić. Przecież nie była o nic podejrzana. A może jednak?

— Niech mi pan powie — spytała w przyпіływie odwagi — czy w ogóle mam obowiązek składać w tej sprawie jakiegokolwiek wyjaśnienia?

Sejer zdumiał się.

— Nie, oczywiście, że nie — odpowiedział odruchowo. Jego szare oczy przybrały odcień niewinnego błękitu. — Naprawdę ma pani coś przeciwko temu? Wydawało mi się, że skoro Maria Durban była pani przyjaciółką, to zechce nam pani pomóc znaleźć sprawcę. Chyba że z jakichś powodów zgłasza pani zastrzeżenia...

— Nie, nie to miałam na myśli — wycofała się, żałując, że postawiła to pytanie.

— Pierwszego października, we czwartek — przypomniał. — Zaczniemy od początku. Pojechała pani na Tordenskioldsgate. Taksówka była tu punktualnie o osiemnastej?

— Tak. Przecież mówiłam.

— Według pani zeznania, przebywała pani w mieszkaniu przyjaciółki około godziny.

— Coś koło tego. W każdym razie niewiele dłużej. A właściwie ile to było? — pomyślała. Dwie godziny? Zajrzał do notatnika. Obrzydliwe, zapisał wszystko, co

mu powiedziała, a teraz mógł tego użyć przeciwko niej.

— Proszę mi opowiedzieć, możliwie szczegółowo, co pani w ciągu tej godziny robiła.

— Słucham? — Przyglądała mu się w napięciu.

— Od momentu wejścia do mieszkania aż do chwili, kiedy Maria Durban zamknęła za panią drzwi. Absolutnie wszystko, krok po kroku.

— Taaak, no... napiłam się kawy.

— Zmyła pani po sobie?

— Nieee. — Czuła, że krzesło pod nią zaczyna się chwiać.

— Pytam dlatego, że w zlewie nie było pani filiżanki, natomiast stała tam szklanka, najwyraźniej z resztkami coli.

—Ach tak! Rzeczywiście! To ja coś pokręciłam. Czy to ma jakieś znaczenie?

Spojrzał na nią uważnie i milczał, jak poprzednio. Patrzył i czekał. Ewa poczuła, że traci grunt pod nogami. O wielu, zbyt wielu szczegółach zawczasu nie pomyślała.

—No, więc wypłam colę. I zjadłam kanapkę. Maja mi ją zrobiła.

—Zgadza się. Z tuńczykiem?

Zdumiona, kiwnęła głową. Nie mogła się już w tym połapać. Czyżby był na miejscu, kiedy się to wydarzyło? Siedział gdzieś w kącie i wszystko obserwował?

— Czy może mi pani powiedzieć... — spytał nagle z ciekawością, ale i skupieniem, zmieniając pozycję na kanapie — czy zechce pani wytłumaczyć, dlaczego pani zwróciła tę kanapkę?

Ewie zdawało się, że za chwilę zemdleje.

— No, zrobiło mi się niedobrze — wyjąkała. — Wypłam kilka piw, a ryba mi nie najlepiej służy. Poprzedniego wieczoru późno się położyłam. Niewiele też jadłam, bo to mnie specjalnie nie interesuje... więc w sumie nic nie jadłam, a Maja koniecznie chciała ją we mnie wmusić, że niby jestem za chuda.

Zamilkła i wzięła oddech. Przecież miała mówić jak najmniej. Czemu o tym nie pamięta?!

—Czy dlatego wzięła pani prysznic? Bo się pani zrobiło niedobrze?

—Tak! — odparła krótko.

Teraz ona zamilkła. Dostrzegł w jej oczach iskierki buntu. Jeszcze trochę, a Ewa Magnus zasklepi się kompletnie.

—Trzeba przyznać, że dużo pani tam działała przez niecałą godzinę. Czyżby zdążyła sobie pani również uciąć drzemkę w dodatkowej sypialni?

—Drzemkę?

—Ktoś tam leżał w łóżku. A może po prostu, pani Magnus, pani i Maria Durban byłyście partnerkami w interesie i dzieliłyście się mieszkaniem? I pani, tak jak ona, dorabiała sobie trochę na boku jako prostytutka, żeby polatać finanse?

—Nie!..! — krzyknęła i porwała się z krzesła, aż runęło na podłogę. — Nie robiłam tego! Nie chciałam z tym mieć nic wspólnego. To Maja próbowała mnie namówić, ale ja nie chciałam! — Kredowobiała na twarzy, trzęsła się jak osika. — Zawsze mnie namawiała do swoich najdzikszych pomysłów. Kiedyś, jak miałyśmy po trzynaście lat...

Zaczęła szlochać.

Wpatrywał się lekko zdezorientowany w blat stołu i czekał. Tego typu wybuchy wprawiały go zawsze w zażenowanie. Wyglądała na tak bezbronną... Turban rozluźnił się i opadł na ramiona, razem z mokrymi włosami.

—Czasami się zastanawiam — szepnęła — czy pan uważa, że to ja ją zabiłam.

—Rozważaliśmy oczywiście i tę możliwość — odezwał się spokojnie. — Mam przy tym na myśli nie to, czy miałyby pani po temu jakiś powód albo czy byłaby pani w ogóle w stanie zabić, i tego typu sprawy. Tym zajmujemy się później. Najpierw sprawdzamy, kto się kręcił w jej pobliżu, kto miał czysto fizyczną możliwość dokonania tego morderstwa. Potem ustalamy alibi. A na koniec dopiero pytamy o motyw. Teraz chodzi nam po prostu o fakt, że pani była w mieszkaniu na krótko przed śmiercią Marii Durban.

I jeszcze dla wyjaśnienia: jesteśmy pewni, że zamordował ją mężczyzna.

—Zgadza się.

—Tak?

— Chodzi mi o to, że pewnie to był jeden z klientów.

— Tak pani sądzi?

— Tak, ja... A czy tak nie było? W gazetach pisali... Kwinął głową i pochylił się do przodu. Przyjemny

zapach, pomyślała. Przypominał jej ojca za młodych lat.

— Niech mi pani powie, co się stało.

Usiadła na powrót. Powinna teraz opowiedzieć, jak to się naprawdę odbyło. Zrelacjonować cały ten wieczór spędzony na taborecie w sypialni obok. A ori by pewnie spytał, czemu się od razu nie przyznała. Na to miała

jedną odpowiedź: bo była osobą chwiejną, niezdecydowaną, pozbawioną charakteru i dyscypliny, niegodną zaufania, tchórzem o wątpliwej moralności, który nie potrafi nic zrobić dla starej przyjaciółki i co więcej, rabuje pozostawione przez nią pieniądze. Nie, to nie może być prawda, pomyślała, to nie do wytrzymania!

— Nie wiecie nam się z Emmą najlepiej — mruknęła.

— Właściwie od chwili, kiedy Jostein nas opuścił. Opowiedziałam o tym Mai. Przekonywała mnie, żebym rozwiązała swoje problemy na jej modłę. Postanowiła mi wypożyczyć tę dodatkową sypialnię. Poszłyśmy do „Hanny” i wypiliśmy za dużo. Zaczęłam się poważnie zastanawiać nad jej propozycją. Byłam tym wszystkim zmęczona, miałam dość bezsennych nocy, grózb w skrzynce na listy i odcinanych telefonów. Więc umówiliśmy się, że przyjadę następnego dnia... i spróbuję. Przynęła mi pomoc, pokazać, jak to się robi.

—I...?

—Przyjechałam trochę pijana. Na trzeźwo zacząłabym sobie pewnie uświadamiać powagę tej decyzji, a tego nie chciałam. Stawiłam się zgodnie z umową i postanowiłam...

Zamilkła, bo właściwie dopiero teraz uprzytomniła sobie całą grozę sytuacji. Była potencjalną prostytutką. I policjant się właśnie o tym dowiedział.

—Mimo wszystko nie potrafiłam. Dostałam od Mai szklanekę coli na wytrzeźwienie i cała odwaga z miejsca odpłynęła. Pomyślałam, że jeśli rzecz by się rozniosła, zabraliby mi Emmę. Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze i uciekłam od tego wszystkiego. Ale przedtem Maja mi wyjaśniła parę szczegółów.

—Wyjaśniła? Jak to?

—No, opowiedziała, jak to się odbywa.

— Pokazała pani nóż? Ewa zamilkła na sekundę.

—Tak, pokazała. Powiedziała, że trzyma go jako postrach i ostrzeżenie. Leżałam na łóżku i wtedy się właśnie wystraszyłam — uzupełniła szybko. — Postanowiłam się wycofać. Zupełnie nie rozumiem, jak pan do tego wszystkiego doszedł.

—Nóż, widać, nie okazał się specjalnie pomocny

— stwierdził lekko pytającym tonem.

— Nie, ona...

Ewa ugryzła się w język.

— Tak? Co pani chciała powiedzieć?

—Chyba nie miała dość odwagi...

—Pani odciski palców znajdowaliśmy w całym mieszkaniu. Nawet —
zawiesił głos — na telefonie. Do kogo pani dzwoniła?

—Odciski?

Zacisnęła odruchowo palce. Może byli u niej w domu, gdy wyjechała
w góry, może otworzyli wytrychem zamek i urzędowali tu ze swoimi pę-
dzelkami...

—Do kogo pani dzwoniła, pani Magnus?

—Do nikogo! Ale... chciałam zadzwonić... do Josteina — skłamała.

—Kto to jest Jostein?

—Mój były mąż. Ojciec Emmy.

—I dlaczego panie nie zadzwoniła?

—Cóż, po prostu zmieniłam zdanie. Odszedł ode mnie, więc nie chcia-
łam o nic zebrać. Ubrałam się i wyszłam. Mówiłam Mai, że to, czym się
zajmuje, może być niebezpieczne, ale ona się tylko śmiała. Nigdy nie słu-
chała nikogo.

—Dlaczego nie powiedziała pani tego za mojej pierwszej bytności?

—Wstydziłam się. Przecież z całą powagą rozważałam, czy nie zostać
 prostytutką. Nie zniosłabym myśli, że ktoś o tym wie.

— Nigdy, ani razu przez całe moje życie nie traktowałem prostytutują-
cych się kobiet w lekceważący sposób — powiedział szczerze.

Wstał z kanapy. Wydawał się zadowolony. Nie wierzyła własnym
oczom.

Zatrzymał się na chwilę na podeście, spod zmrużonych powiek zlu-
strował podwórko, samochód i stojący pod ścianą rowerek Emmy, a potem
rozejrzał się po ulicy i sąsiednich domach, jakby się chciał zorientować, kto
tu mieszka, i wyciągnąć z tego wnioski dotyczące Ewy. Kim jest, że miesz-
ka właśnie w tej okolicy, właśnie w tym domu?

— Czy nie odniosła pani wrażenia, że przyjaciółka miała dużo pieniędzy?

Pytanie spadło jak grom z jasnego nieba.

—Owszem. Wszystko, co posiadała, było drogie. Jadała w restauracjach i tak dalej...

—Zastanawiamy się, czy nie ukryła gdzieś większej sumy — wyjaśnił — i czy ktoś o tym mógł wiedzieć.

Jego wzrok, jak wiązka laserowa, trafił ją między oczy. Przerazona, gwałtownie zamrugła.

— Mąż Marii Durban przyleciał wczoraj z Francji. Mamy nadzieję, że powie nam coś więcej podczas przesłuchania.

— Słucham? Oparła się o futrynę.

—Mąż pani przyjaciółki — powtórzył Sejer. — Przestraszyła się pani?

—Nie wiedziałam, że ma męża — odparła matowym głosem.

—Naprawdę? Nie powiedziała pani tego? — Sejer zmarszczył brwi. — To chyba trochę dziwne, zważywszy, że byliście dobrymi przyjaciółkami?

Jeżeli, poprawiła w duchu. Jeżeli rzeczywiście byliśmy dobrymi przyjaciółkami. Jeżeli mówię prawdę. Gdyby nawet gadała do wieczora, i tak jej nie uwierzy.

— Nie ma pani nic do dodania, pani Magnus? Potrząsnęła przecząco głową. Przeraziła się. Mężczyzna

z chatki to mąż Mai. Poszukiwał spadku. A nuż pojawi się któregoś dnia na jej progu? Może w nocy, podczas snu? Niewykluczone, że Maja opowiedziała mu o ich spotkaniu. Jeśli zdążyła. Albo dzwoniła. Połączenie międzynarodowe z Francją.

Sejer zszedł po czterech schodkach z kutego żelaza i stanął na ścieżce.

— Niech pani nie moczy tej kostki w gorącej wodzie. Lepiej owinać bandażem.

*

Trzeba się pozbyć tych pieniędzy z domu. Obszerny peugeot odjechał, a Ewa zatrzaskała drzwi wejściowe i rzuciła się do piwnicy. Zaczynała

znowu tracić czucie w stopie. Podważyła scyzorykiem wieczko kubelka i wysypała paczuszki na cementową podłogę. Kucnąwszy, zdarła z nich umocowaną naokoło gumkami folię. Szybko odkryła, że banknoty są uporządkowane. Tysiące osobno, setki osobno. Łatwo Uczyć. Cement ziębił siedzenie, prawie już go nie czuła. Liczyła gorączkowo, zapisywała sobie w głowie cyfry, odkładała kupkę na bok i brała się za kolejny plik. Serce było coraz szybciej. Gdzie by tu schować tyle pieniędzy? Sejf w banku wydawał się zbyt ryzykowny. Miała przeczucie, że od tej chwili będzie czujnie śledzona. Przez Sejera i jego ludzi. A także przez męża Mai.

Maja była mężatką. Dlaczego nic nie powiedziała? Czy to wstyd mieć męża, towarzysza życia? A może dla niej porażka? Czy raczej był tylko partnerem w interesach, z którym miała wspólnie prowadzić ów hotel? Albo po prostu typem, do którego się wołała nie przyznawać? Najbardziej prawdopodobna wydawała się ta ostatnia możliwość.

Kubelek po farbie stanowił świetny schowek, ale musiała go ukryć gdzieś indziej, gdzie nikt by go nie szukał, a ona sama miałaby w razie potrzeby łatwy dostęp. Oczywiście! U ojca! W piwnicy, w tej kupie śmieci i złomu, którą nagromadził przez lata. Razem z jej starym łóżeczkiem, zgnitymi jabłkami w skrzyni na ziemniaki i popsutą pralką. Pomyliła się w liczeniu i musiała zacząć od nowa. Dłonie się jej pociły, co pomagało rozdzielać gładkie banknoty. Niedługo dojedzie do pół miliona, a jeszcze została cała fura. Mąż Mai. Może to jakiś naprawdę podejrzany typ. Skoro Maja była prostytutką, to kimże był jej mąż? Jakimś handlarzem narkotyków albo coś w tym guście. Oboje niemoralni. A czy ja jestem moralna? Zbliżała się w liczeniu do miliona i kupka przed nią zaczynała się zmniejszać. Przecież te sumy, myślała, to fragmenty domowych budżetów setek mężatek w tym mieście, pieniądze, które mogłyby zostać wydane na pieluszki i soczki. Dziwne skojarzenie. Zabrała się za mniejsze nominały i zwolniła tempo. Pięćsetki podobały się jej najbardziej pod względem wzoru i barwy. Piękne niebieskie banknoty. Jeden, przecinek sześć. Palce zgrabiały. Liczyła pięćdziesiątki. Jeśli zanotował numery samochodu, bez trudu dostanie jej adres w biurze rejestru pojazdów. Gdyby miał dość wyobraźni, toby rozważył taką możliwość. Zabrakło mu jej jednak, żeby przeszukać

wychodek. Jeden, przecinek siedem miliona. I kilka pięćdziesiątek. Maja była całkiem blisko celu. Kawałki folii połyskiwały w świetle zwieszającej się z sufitu żarówki. Milion siedemset tysięcy koron. Ewa wrzuciła wszystko z powrotem do kubelka i weszła na górę. Opuchlizna na kostce jakby zmaląła, przypuszczalnie z powodu niskiej temperatury w piwnicy. Czarne, mokre kosmyki układały się sztywno na karku niby sople lodu. Postawiła kubek w pralni i wróciła do łazienki. Wzięła szybki gorący prysznic i ubrała się ciepło. Milionerka w lustrze wyglądała teraz na zdenerwowaną. Trzeba kupić pokrowiec na samochód... w razie gdyby mąż Mai zaczął tu krążyć i węszyć. A może nowy samochód? Audi na przykład, nie z tych największych, choćby i używany. Nagle zrozumiała, że w żadnym wypadku nie wolno jej tego zrobić. Jak przedtem musi kupować jedynie chleb i mleko. Nawet Omar by się zdziwił, gdyby w jej koszyku zaczęło przybywać towarów. Utykając przeszła do pralni i przyniosła kubek. Nie ma prawa się nie udać. A zresztą mogą się przeprowadzić. W szufladzie w kuchni znalazła folię aluminiową. Zapakowała banknoty starannie i włożyła z powrotem do kubelka, poza jednym plikiem. Na nim nakleiła kawałek taśmy, zastanowiła się chwilę i napisała „Boczek”, po czym wsadziła go do zamrażalnika. Nie ma sensu od razu ze wszystkiego zrezygnować. W puszcze po farbie w piwnicy sporo już ubyło z tamtych sześćdziesięciu tysięcy. Włożyła płaszcz i wyszła. Najpierw zajrzała do skrzynki. Zupełnie o niej zapomniała. Zobaczyła zieloną kopertę z Państwowej Rady Artystycznej. Uśmiechnęła się, mile zaskoczona. Przysłali stypendium.

—Zaczełaś się włóczyć po nocach — przywitał ją ojciec. — To dobry znak.

—O co ci chodzi?

—Dzwoniłem do ciebie wczoraj przez cały dzień, aż do jedenastej.

—A tak, nie było mnie w domu.

—Znalazłaś sobie wreszcie kogoś do ogrzania? — spytał z nadzieją.

Tak, mało nie zamarzałam na śmierć, pomyślała, pół nocy siedziałam po uszy w gnoju.

— Hm, chyba tak, w pewnym sensie. Lepiej nie pytaj. Starła się udawać tajemniczą, uściskała ojca i weszła do

domu. Kubelek zostawiła w bagażniku. Przyniesie go później i przemyci do piwnicy.

— Coś się stało, tato?

— Alarm pożarowy mi się włączył. Wył i wył, a ja nie potrafiłem go odciąć.

— O! I co zrobiłeś?

—Zadzwoniłem do straży pożarnej. Mili ludzie. Od razu przyjechali. Siadaj, dziecko! Jak długo możesz zostać? Masz dzisiaj trochę czasu? A czemu Emma wciąż jest u Josteina? Chyba nie chcesz jej oddać na stałe?

—Nie wygłupiaj się, tato! Do głowy by mi to nie przyszło! Mogę zostać dłużej, zrobię dla nas obiad.

—Chyba nie mam nic w lodówce.

—No to pojedę na zakupy.

— Nie ma mowy, nie stać cię na żywienie starucha. Zjem kaszkę.

— A co byś powiedział na befsztyczek? — uśmiechnęła się.

—Nie żartuj sobie ze zgrzybiałego starca — odparł zde gustowany.

—Dostałam dziś stypendium i nie mam z kim świętować.

Uległ w końcu. Ewa zakrzętała się po domu i powoli serce zaczęło bić spokojniejszym rytmem. Tego jej najbardziej brakowało, obecności drugiego człowieka, jego oddechu, szurania pantofli. Radio i telewizor ich nie zastępują.

— Czytałaś gazety? — mruknął po dłuższej chwili. — Ktoś udusił jakąś biedną dziewczynę w jej własnym łóżku. Temu zbójowi należałoby przetrącić kark. Biedactwo. Żeby tak potraktować dziewczynę, która się do tego stopnia oddaje do dyspozycji. Niesłychane. Nazwisko wydało mi się jakby znajome, ale zupełnie nie potrafię go sobie umiejscowić. Czytałaś, Ewuniu? Czy to ktoś, kogo znamy?

— Nie — odpowiedziała z kuchni. Zmarszczył czoło.

—Nie, to nie. Może i dobrze. Gdyby to była jakaś znajoma, tobym wyszedł tego typu i skreślił mu kark. Inaczej ukarzą go telewizorem w celi i trzema posiłkami dziennie. Wiesz, zastanawiam się, czy ktokolwiek ich pyta o skruchę.

—Chyba tak. — Ewa związała torbę ze śmieciami i podeszła do drzwi. Musi teraz uważać. —Przy wymierzaniu kary sąd przywiązuje dużą wagę do tego, czy ludzie żałują swego postępu.

—Ha! Wobec tego mogą żałować do upojenia i wykpić się tanim kosztem.

—Tak łatwo im to chyba nie przychodzi. Są eksperci, którzy wykryją każde kłamstwo.

Jej własne słowa sprawiły, że zadrżała.

Zniknęła za drzwiami. Słyszał, jak podnosi klapę i wrzuca śmieci do pojemnika. Odczekał chwilę, ale nie weszła. Co się z nią dzieje? — zastanawiał się. Co to za tajemnicze zachowanie? Jakby się zajmowała czymś, o czym nie powinienem się dowiedzieć. Przecież na tyle ją znam, że wiem, kiedy coś ukrywa. Jak wtedy ze śmiercią Skollenborgowej. Baba miała z dziewięćdziesiątkę i nikt z dzieciaków jej nie lubił, bo też wredna była jak pies, a tu mi dziewczyna wpada w histerię. Zupełnie nienormalna. Coś w tym jednak śmierdziało. A weźmy na przykład teraz, poszła do piwnicy. Po co, do jasnej Anielki?!

Tak sobie filozofował, próbując wykrzesać ogień zjedno-razowej zapalniczki. Pocierał ją mocno suchymi palcami, póki gaz się nie rozszerzył do odpowiedniej objętości i nie zapłonął płomień. Do dziesięciu razy udawało mu się zapalić właściwie pustą zapalniczkę. Zaprawdę można się nauczyć oszczędności, będąc emerytem, pomyślał.

—Co chcesz do befsztyka? — spytała Ewa po powrocie z piwnicy z żaroodpornym półmiskiem.

—Po co ci to?

—Znalazłam w piwnicy — powiedziała szybko.

—Upiekę w nim jarzyny.

—To jarzyn się nie gotuje?

—Owszem, właśnie w tym naczyniu. Lubisz brokuły? Takie twarde, posolone i polane masełkiem?

—Zobacz, czy nam wystarczy wina.

—Jest mnóstwo. Nie wiedziałam, że na dole masz dodatkową piwniczkę.

—Na wypadek gdybym stracił swoją pomoc domową. Nigdy nic nie wiadomo. Władze komunalne wzięły się za oszczędzanie. Tylko w tym roku mają uciuć dwadzieścia milionów koron.

Zaciągnął się gwałtownie papierosem, jakby sygnalizując w ten sposób, że nie życzy sobie dalszych komentarzy.

— Od kiedy interesujesz się jedzeniem? — spytał nagle.

— Żyjesz przecież głównie o chlebie i wodzie.

—Może po prostu dorastam. Nie wiem zresztą, ot tak, nasza mnie ochota. Kaszka z czerwonym winem źle do siebie pasują.

—Bzdura. Porządna, dobrze osolona kasza jęczmienna ze skwarkami i do tego czerwone wino, to ci dopiero wyżerka!

—Pójdę do Lorentzena, tym razem kupię świeże mięso. Masz ochotę na coś specjalnego?

— Wieczną młodość — warknął. Zmarszczyła czoło. Nie lubiła, kiedy tak mówił. Nawet nie mrugnęła okiem, prosząc o pół kilo polędwicy.

Kobieta za ladą błyskawicznie naciągnęła plastikową rękawiczkę i bez zastanowienia wybrała duży kawałek mięsa koloru mniej więcej wątroby. Więc tak w rzeczywistości wygląda polędwica?

—W całości czy pokroić? Podniosła w górę nóż.

—Czy ja wiem? A co mi pani radzi?

—Cienkie plastry. Poczeka pani, aż się masło zrumieni i szybciotko przesunie pani każdy plaster po patelni. Tak jakby pani biegała po świeżo kładzionym asfalcie. Za żadne skarby proszę ich nie smażyć.

—Nie sędzę, żeby mój ojciec chciał jeść surowe mięso.

—Niech go pani nie pyta, co chce, tylko zrobi według mojej rady.

Uśmiechnęła się nagle i ujęła Ewę swoim wyglądem, niemal symbolizującym zasady higieny. Obfite kształty okrywał biały nylonowy fartuch. Urocza, biała muślinowa siateczka na głowie przypominała raczej koronę, a cała lada martwego mięsa — królestwo, nad którym ta koronowana władczyni niepodzielnie panuje.

Odważyła plastry i delikatnie nakleiła cenę, jakby owijała ranę bandażem. Sto trzydzieści koron. Nie do wiary. Ewa przechadzała się jeszcze chwilę pomiędzy półkami, wrzucając do koszyka co jakiś czas ten czy tam-

ten drobiazg. Musi wszystko od razu, nie mówiąc ojcu, wstawić do lodówki, bo inaczej nie zechce nic przyjąć. Kozi serek, pasztet, dwie paczki najlepszej kawy, świeże masło, śmietanka, markizy na deser. Pod wpływem impulsu dołożyła trzy pary slipek La Mote'a. Trzeba je tylko przesz mugować do ojcowej komody i mieć nadzieję, że ich będzie używał. Przy kasie wzięła jeszcze pudełko czekoladek, dwa ilustrowane tygodniki i karton papierosów. Suma końcowa była oszałamiająca. Ale przecież starszych ludzi powinno być stać na takie zakupy, choć raz w tygodniu, przed niedzielą, żeby pod koniec życia mieli trochę przyjemności. Młodzi mogą się obejść kaszą, pomyślała. Zapłaciła, zapakowała torby do samochodu i odjechała.

— Jak myślisz, dlaczego on to zrobił? — spytał ojciec, przełykając delikatne mięso.

— Co takiego?

— Zabił tę dziewczynę. No wiesz, w łóżku i tak dalej.

— Czemu cię to ciekawi?

— A ciebie nie?

Ewa odczekała z odpowiedzią, żując powoli kawałek befsztyka, zresztą raczej dla zyskania na czasie, bo mogła go od razu przełknąć.

— Owszem, w pewnym sensie. Czemu o to pytasz?

— Interesują mnie ciemne strony ludzkiej psychiki. Jesteś przecież artystką, ciebie one nie zajmują? Ludzkie dramaty?

— Środowisko, w którym się obracała, można nazwać dość specyficznym. Nie znam się na tym.

— Chyba była w twoim wieku.

— Tak, i do tego stosunkowo głupia. Nie wykazała za dużo sprytu, wchodząc w taki interes. Widocznie myślała tylko o jednym: Jak najwięcej pieniędzy w jak najkrótszym czasie. I do tego wolnych od podatku. Pewnie się zaczęli kłócić...

Dolała ojcu wina i dołożyła dodatkową łyżkę sosu.

— Tacy ludzie muszą przekroczyć pewien próg — rzekł w zamyśleniu.

— Zastanawiam się, na czym on polega i co to ze sobą niesie. Dlaczego jedni ten próg przekraczają, a inni się na to nigdy nie zdobędą?

—Każdy może — powiedziała. — Decyduje przypadek. A poza tym nikt tego progu nie przekracza, raczej się przezeń prześlizguje. Nie widzi go, póki się nie znajdzie po drugiej stronie. Wtedy najczęściej jest już za późno.

Za późno, powtórzyła w myślach zaskoczona. Ukradłam pieniądze. Naprawdę to zrobiłam.

— Wyrznięłem kiedyś jednego faceta w robocie — odezwał się nagle ojciec. — Za złośliwość. Taki zgniłek. Potem już mnie szanował, jakby zaakceptował ten policzek. Nigdy tego nie zapomniałem. Jeden jedyny raz w życiu uderzyłem człowieka i właśnie wtedy okazało się to potrzebne. Nic innego nie było w stanie uciszyć we mnie wściekłości. Czułem, że zwariuję, jeżeli mu nie dam w pysk. Jak gdyby mi się mózg zagotował. Pociągnął kilka łyków wina i mlasnął z namysłem językiem.

—Agresja to strach — stwierdziła nagle Ewa.—Agresj a jest właściwie samoobroną, zawsze, w ten czy inny sposób. Formą ochrony czy to ciała, czy rozumu, czy wreszcie godności.

—Są jednak przecież ludzie, którzy zabijają dla zdobyczy.

—Owszem, ale to znowu co innego. Ona, ta z gazety, na pewno nie została zabita dla pieniędzy.

—Tak czy owak, niedługo go złapią. Jeden z mieszkańców bloku widział samochód. To wspaniale, tak przynajmniej uważam, że auto ich zawsze zdradza. Do diabła, nawet nie mają tyle rozumu, żeby załatwić swoje brudne sprawy na piechotę.

—Coś ty powiedział?

—Nie rozumiesz? Facet nie wiedział, że to może być ważne. Dopiero dziś rano wrócił z podróży. Ale wczesnym wieczorem tego dnia widział, jak jakiś samochód z dużą prędkością wyjeżdża z ulicy i skręca. Biały, nie całkiem nowy. Prawdopodobnie renault.

—Słucham?

Ewa wypuściła nóż z ręki. Upadł na talerz, rozpryskując resztki sosu.

—Renault. Specjalny model. Nie ma ich wiele, więc przypuszczają, że nie będzie faceta trudno znaleźć. Ten rejestr samochodów to prawdziwa pociecha w takich wypadkach. Starczy wyszukać właścicieli wszystkich

takich samochodów i odwiedzić ich po kolei. A potem, proszę uprzejmie, niech podadzą alibi. Biada tym, którzy nie mogą. Cwana metoda.

—To było renault? — Ewa przełknęła kęs mięsa.

—Zgadza się. Ten, co widział, to stary taksówkarz, zna się na markach. Łaska boska, że nie trała się jakaś starucha. Te to nie odróżnią porsche'a od garbusa.

Dziobała widelcem brokuły, próbując ukryć drżenie rąk. Cholera, trafią w ślepy zaułek!

—Może się zdarzyć, że ten taksówkarz się pomylił. Pomyśl, ile czasu policja zmarnuje!

—No, ale przecież nie mają innego śladu—zaoponował zdumiony jej wybuchem. — A zresztą dlaczego miałyby się mylić? Zna się na autach, mówili to w radiu.

Dolała jeszcze po odrobinie wina, próbując ukryć zdenerwowanie. Renault. Czy on naprawdę przypomina opla? Francuskie samochody wyglądają zupełnie inaczej. Może jakiś idiota chciał zagrać ważnego. Pomyślała o Elmerze. Musi skakać ze szczęścia z powodu tej głupiej informacji. Na pewno ją usłyszał. Założę się, że siedzi z uchem przy radiu, kiedy nadają dziennik. A teraz zaciera ręce z radości. Tylko się powiesić.

—Chcesz jogurt na deser? — spytała bez wstępów.

—Tak, pod warunkiem że dostanę kawę.

—Przecież zawsze dostajesz!

— Dobrze, dobrze — odparł zdziwiony. — Chyba wolno zażartować?

Wstała i sprzątnęła ze stołu. Była zirytowana. Talerze i sztuce podzwaniały w jej dłoniach. Trzeba z tym coś zrobić. To jej wina, że morderca buja na swobodzie. Gdyby powiedziała prawdę, już by go przyskrzynili. A tak mogą aresztować kogoś innego. Położyła cygaro obok ojcowskiego kieliszka i oczyściła talerze. Później zjedli w milczeniu jogurt. Ojciec z upodobaniem zlizywał z górnej wargi białą słodką pianę. Od czasu do czasu zezował w kierunku córki. Wolał się nie wychylać, może ma jakieś kobiece problemy. Usadowiła go na kanapie i poszła zmywać. Przedtem jednak włożyła do słoika w kredensie cztery setki, w nadziei że ojciec nie w

pełni kontroluje stan swoich finansów. Na koniec siedzieli oboje obok siebie, rozleniwieni obiadem i winem. Ewę ogarnął spokój.

— Dopadną go — rzekła powoli. — Zawsze się znajdzie ktoś, kto coś widział. Bywa, że mu nie spieszo, ale w końcu się ujawni. Żadnemu łajdakowi nie ujdzie na sucho. Na świecie jest jednak jakaś sprawiedliwość. Niełatwo też w takiej sytuacji utrzymać język za zębami. Może się komuś po pijanemu zwierzy? Wiesz, taki facet, który jest w stanie zabić w ten sposób człowieka, na przykład w napadzie wściekłości, taki nie zrównoważony, nie potrafi się też pewnie opanować przez resztę życia i kiedyś się zdradzi. Musi sobie ulżyć, przed kimś się wypowiedzieć. A ten drugi doniesie policji. Albo policja wyznaczy nagrodę i tamten, który wysłuchał zwierzeń, połączy się na forszę.

Słowa stawały jej kością w gardle.

—Po prostu wydaje mi się — podjęła po chwili — że gdzieś musi się znaleźć jakiś człowiek, któremu leży na sercu zwycięstwo sprawiedliwości. Ludzie mają najczęściej spóźniony refleks. Albo się boją.

—Więcej, są tchórzami — mruknął ojciec. — W tym rzecz. Ludzie to tchórze, obchodzi ich tylko własna skóra. Jak by to powiedzieć: nie mieszają się w nie swoje sprawy. To miło, córuchno, że tak mocno wierzysz w sprawiedliwość, ale to niewiele pomoże. Mam na myśli tę dziewczynę. Jej już nie pomoże nic.

Ewa nie odpowiedziała, głos odmówiłby jej posłuszeństwa. Zaciągnęła się papierosem.

—Dlaczego dałeś tamtemu facetowi w pysk, tato? — spytała nagle.

—Komu?

—Temu w robocie. Opowiadałeś przecież.

—Aha! No, mówiłem, był złośliwy.

—To nie jest odpowiedź.

—A dlaczego wpadłeś w taką histerię, kiedy umarła stara Skollenborgowa?

—Powie ci innym razem.

—Jak będę umierał?

—Możesz wtedy spytać jeszcze raz, to zobaczymy.

Nadchodziła noc. Ewa wspomniała Elmera. Zastanawiała się, co teraz porabia. Może siedzi wpatrzony w ścianę, we wzór na tapecie? Albo we własne dłonie? Może się dziwi, jak to się dzieje, że żyją niezależnym życiem i działają poza jego kontrolą? Tymczasem Maja leży w chłodni, pozbawiona świadomości, bez nawet jednej myśli pod oziębioną czaszką.

Ewie także wietrzały myśli z głowy. Dołała sobie wina i czuła, jak z niej uchodzą, zamieniają się w mgłę, której się już nie da przebić wzrokiem.

*

Poranek był mglisty i wietrzny, lecz wypogodziło się, gdy jedli śniadanie. Włączone radio brzęczało w tle. Ewa nie zwracała na nie uwagi. Nagle nastawiła uszu. Zapowiedzieli wiadomości. W związku z morderstwem z pierwszego października zatrzymano pięćdziesięciosiedmioletniego kierowcę autobusowego, właściciela białego renault. Oboje przestali jeść i zamienili się w słuch.

— Ha! Nie ma alibi! — skomentował ojciec.

A więc jednak. Aresztowany przyznał, że wielokrotnie kupował seks u ofiary. Naturalnie, nie był jedyny, całe tłumy przewinęły się przez mieszkanie Mai w ciągu ostatnich niespełna dwóch lat. Ewa widziała oczami duszy, jak przyszłość tego niewinnego biedaka wali się w gruzy. Może ma rodzinę... To moja wina, pomyślała.

—A nie mówiłem, że zaraz go złapią! — triumfował ojciec.

—Trochę to, jak dla mnie, za łatwo poszło. Aresztować człowieka tylko dlatego, że ma białe renault i nie potrafi podać alibi. Poza tym kupowanie usług seksualnych nie jest karalne. Dawniej, jak facet nie chodził do burdelu, to się nie liczył jako stuprocentowy mężczyzna.

—Rany boskie! — Ojciec spojrział na nią tak ostro, aż się spociła. — Coś ty się tak uparła krytykować? Przecież u nas zawsze szybko łapią przestępców. To w końcu małe miasto.

— Bywa, że się mylą — ucieła.

Męczyła się z twardą skórką na ojcowej kromce chleba i jednocześnie zbliżała do podjęcia ostatecznych decyzji. Musi z tym coś zrobić.

— Z całą pewnością wśród gości... tej kobiety znajdzie się spora liczba posiadaczy białych samochodów, którzy na ten wieczór nie mają alibi.

Skończyła jeść i wstała. Sprzątnęła ze stołu, zmyła, wetknęła portfel pomiędzy gazety na stole i chwyciła płaszcz. Uściskała przelotnie ojca.

—Do zobaczenia niedługo, tato! — Skinęła ręką.

—Niech żywi nie tracą nadziei!

Poprawił sztuczną szczękę, która miała tendencję do opadania, gdy przekraczał optymalną szerokość uśmiechu, i odpowiedział tym samym gestem. Odprowadził wzrokiem podskakującego na nierównościach drogi opła i poczuł, że drzenie — jak zawsze gdy nagle zostawał sam po dłuższej wizycie córki — narasta.

Wkrótce zjeżdżała równym, szybkim tempem w kierunku tunelu w Hov. Wstąpię na Rosenkrantzgate, postanowiła, do tego zielonego bliźniaka i zorientuję się, kto to jest. W bagażniku miała dużą torbę na ramię, a w długiej spódnicy mogła uchodzić za akwizytora albo reprezentantkę jakiejś ewangelizującej sekty. Może uda się jej zerknąć na żonę albo zamienić dwa słowa z małym? O ile to był jego syn, ale właściwie nie miała wątpliwości. Świadkowie Jehowy chyba się ubierają podobnie i też mają długie włosy. Przynajmniej za jej dziewczęcych lat mieli. A może to byli mormoni? Czy to nie to samo? Wjechała do tunelu. Przyjrzała się w lusterku swojej pozbawionej makijażu twarzy, ale dostrzegła jedynie odbłysek pomarańczowych lamp w źrenicach. Nie poznawała własnych rysów. Zacisnęła dłoń na kierownicy. Coś się w niej zaczynało żarzyć. Od czasów wspólnego dzieciństwa z Mają niczego podobnego nie odczuwała. Gwałtowne uczucia i namiętności zanikły w niej dawno. Przygniotły je trudne lata małżeństwa, stosy nie zapłaconych rachunków, troska o nadwagę Emmy i frustracja artystycznego niespełnienia. Żar powstał gdzieś w piersiach, lecz stopniowo schodził niżej, do podbrzusza. Wlał w Ewę życie, dał jej wrażenie, że gdyby teraz była w atelier, potrafiłaby namalować wspaniałą, mocny obraz, lepszy od wszystkich dotychczasowych, oparty na prawdziwym gniewie. Nastrój jej się natychmiast poprawił. Puls przyspieszył, a migotliwe poma-

rańcowe światło z sufitu podtrzymywało wewnętrzny płomień aż do wjazdu do centrum. Tam zjechała na prawy pas i podążyła na Rosenkrantzgate.

Wokół kolorowych domków było pusto. Pora widać zbyt wczesna. Przejechała obok zielonego budynku i zaparkowała za schowkiem na rowery na skraju osiedla. Weszła spieszonym krokiem pomiędzy bloki, starając się wyglądać na zadowoloną i zdecydowaną, jakby roznosiła Dobrą Nowinę. Po drodze zapamiętywała szczegóły, a to stojaki na rowery, a to plac zabaw z huśtawką i piaskownicą, sznury na bieliznę i żywopłot z resztką żółtych kwiatów na gałązkach. Porzucone i powyginane zabawki z plastiku pstrzyły mikroskopijne ogródki. Skreśliła ku zielonemu budynkowi i podeszła do pierwszej klatki. Na pewno rozpozna tę drobną blondynę

0 wariackich gestach, jak tylko ją zobaczy. Przyglądała się z namysłem domofonowi. Wybrała górny guzik z nazwiskiem Helland, ale na razie zbierała się na odwagę. Zajrzała przez zbrojoną szybę i oczywiście niczego przez nią nie zobaczyła. Niczego też nie usłyszała, toteż podskoczyła ze strachu, gdy drzwi się nieoczekiwanie otworzyły i stanęła twarzą w twarz z obcym mężczyzną. To nie był Elmer. Na każdej klatce mieszkały tylko dwie rodziny, więc kiwnęła mu jedynie głową i ustąpiła z drogi. Przyjrzał się jej podejrzliwie. Czym prędzej poszukała nazwiska na domofonie.

—Pan Helland?

—Tak, to ja.

—O, przepraszam, w takim razie chodzi o Einarssonów. Obejrzał się na nią raz jeszcze, nim zniknął koło garaży.

Ewa tymczasem wślizgnęła się jak złodziej do klatki.

Porcelanową tabliczkę z nazwiskiem ozdabiał dość amatorski malunek mamy, taty i dziecka z imionami pod każdą postacią: Jorun, Egil i Jan Henry. Kiwnęła bez słowa głową i cicho wyszła. Egil Einarsson, Rosenkrantzgate szesnaście, powtórzyła w myślach. Wiem, kim jesteś i co zrobiłeś. I wkrótce ci o tym osobiście opowiem.

Była znowu w domu. W pełnej koncentracji.

Wszystkie inne zajęcia zostały odłożone. Wszelkie skrupuły pękały jak bańki powietrza w chwili, gdy docierały do powierzchni świadomości. Cały lęk zamienił się w chęć działania. Oczami wyobraźni widziała nieszczęśliwego kierowcę. Grubawy, łysawy, fantazjowała, siedzi teraz w jakimś pokoju przesłuchań, pije rozpuszczalną kawę i pali do woli papierosy. Nawet mu już nie smakują w tej ilości, ale przynajmniej ma czym zająć ręce. Inaczej nie wiedziałaby, co z nimi robić, zważywszy że w pomieszczeniu pełno jest mundurowych, a wszyscy wpatrują się w jego dłonie i zastanawiają, czy byłby nimi zdolny zabić Maję. Oczywiście przeprowadzą test DNA, ale to zajmie sporo czasu, może kilka tygodni, a jemu pozostanie tylko czekać. Policjanci zaś nie przestaną podejrzewać, że choć tego wieczoru akurat nie spał z Mają, to jednak mógł ją zamordować. Naturalnie stosują humanitarne metody, nawet w przypadku morderstwa, najgorszego, najpoważniejszego ze wszystkich przestępstw. Niemniej nie sprawiało jej trudności wyobrażenie sobie jakiegoś łobuza z przenikliwymi oczami, który odziera nieszczęśnika z resztek godności i poczucia bezpieczeństwa. Może zgoła Sejer, mimo całej swojej miłkiwej cierpliwości, mógł się przemienić w takiego koszmarnego śledczego. Niewykluczone. A gdzieś tam, oszalała ze strachu, łka żona. Jak przyjdzie co do czego, podsumowała, nikt nie może na nikim polegać.

Znalazła w szafie kilka sztuk nie używanej zazwyczaj odzieży, między innymi stare spodnie z demobilu z kieszeniami na udach, grube, sztywne i niemile w dotyku, zupełnie nie w jej stylu — i dlatego właśnie bardzo odpowiednie. Łatwiej pójdzie, kiedy zmieni skórę. Czarny sweter z golfem i krótkie białe kalosze również dobrze pasowały. Siadła potem przy stole nad notesem. Długo obgryzała ołówek. Smakowało jej porowate drewno i miękki grafit, podobnie jak lubiła lizać wymyte w terpentynie pędzle. Miała taki sekretny nałóg, nikomu o nim nie mówiła. Po trzech przymiarkach tekst był gotowy. Krótki, jasny, bez zbędnych ozdóbek, niemal jakby go pisał mężczyzna. Ucieszyła ją własna aktywność, ta nowa siła, z którą parła naprzód. Dawno już tak się nie czuła. Jak dotąd snuła się tylko przez życie,

powłócząc nogami, nic jej nie popychało, nic jej nie ciągnęło. Teraz nabrała rozpędu. Mai by się to podobało.

„Dobrze zapłacę, jeśli się pan zdecyduje sprzedać samochód”.

I nic więcej. Tylko podpis. Trochę z nim zwlekała, bo nie chciała używać swojego nazwiska, a nie potrafiła zmyślać. Cokolwiek jej przyszło do głowy, wydawało się głupie. W końcu nawinęło się samo. Prawdziwe nazwisko, którego nie znał, i prawdziwy numer telefonu, ale nie jej. Po siódmej wieczorem. Tak, gotowe. Zrezygnowała z torebki i płaszcza. Wynalazła gdzieś starą puchową kurtkę i schowała kartkę do kieszeni. Pod wpływem impulsu zebrała włosy gumką w koński ogon. Kiedy w korytarzu zatrzymała się przed lustrem, zobaczyła zupełnie obcą osobę z odstającymi uszami, przypominającą przerośniętą dziewczynkę. Nie szkodzi, nie wariowała na punkcie swojego wyglądu. Najważniejsze, że nie była podobna do Ewy. Na koniec skoczyła do piwnicy, pogrzebała trochę w bałaganie na heblarce i znalazła zostawioną przez Josteina torbę na ryby z nożem o długim, wąskim ostrzu na dnie. Zmieścił się idealnie w kieszeni na udzie, odrobina bezpieczeństwa dla samotnej kobiety. Na postrach i dla przestrogi, gdyby Egil Einarsson wpadł na jakiś głupi pomysł.

Zaparkowała w sporej odległości, na rogu przy łaźni. Strażnika nie było nigdzie widać, pewnie miał pod ochroną także inne tereny, i chwala Bogu! Niewykluczone, że snuł się po szatniach i toaletach albo miał oko na magazyny piwa i wody mineralnej. Zapewne zdarzały się tutaj kradzieże, podobnie jak w wielu innych zakładach. Przeszła przez jezdnię i przemknęła obok barierki. Zdumiało ją na nowo, jak wiele tu stoi białych samochodów, lecz automatycznie poszukała manty na zwykłym miejscu. Nie było jej tam. Może dziś nie przyszedł do pracy, wreszcie się załamał i uciekł. Albo pracował na nocną zmianę. Mimo to krążyła wzdłuż rzędów aut. Może już wiedział o kierowcy autobusu i poczuł się o wiele bezpieczniej. Renault! Co za głupota! Od czasu do czasu oglądała się przez ramię, ale nikt się nie pojawiał. Jak pajak po nitce przebiegła szybko parking i wreszcie znalazła opla — zupełnie na skraju, postawionego na skos oznaczonego pola, jakby właściciel bardzo się spieszył. Wyłowiła kartkę z kieszeni, rozprostowała i włożyła za wycieraczkę. Przez kilka chwil przyglądała się uważ-

nie samochodowi, na wypadek gdyby ktoś ją obserwował z jakiegoś okna, a potem wróciła do swojego auta i odjechała główną arterią miejską. Czowała się, jakby wystartowała do maratonu bez przygotowawczego treningu. Zadanie przerażało ją ogromem, lecz była dobrej myśli i zdecydowana je wypełnić. Zapamięta sobie ten dzień, piąty października, niebo lekko zasnuwane chmurami i dość silny wiatr.

*

Mniej więcej co piętnaście minut zerkała na zegarek.

Okolo szóstej wieczorem wsiadła do samochodu i pojechała dwadzieścia pięć kilometrów za miasto do ojca. Zobaczył asconę z daleka i kiedy dotarła na miejsce, stał na schodkach ze zmarszczonym czołem. Miała na sobie dziwne ubranie, jakby się wybierała do lasu. Potrząsnął głową.

—Planujesz włamanie?

—Faktycznie. Poprowadzisz samochód?

—Zostawiłaś portfel — poinformował.

—Wiem. Dlatego przyjechałam.

Poklepała go po policzku i weszła do środka. Rzuciła okiem na drzwi do gabinetu, gdzie stał telefon. Były uchylone. Spojrzała przelotnie na zegarek i pomyślała, że Einarsson może wcale nie zadzwonić albo odezwie się dopiero późnym wieczorem. Znała jednak stosunek mężczyzn do samochodów. Szczyt próżności. Przechwalać się autem, dyskutować, kiwając głową ze znajomością rzeczy, o przyczepności i konstrukcji, ślinić się jak niemowlęta na temat koni mechanicznych, hamowania i niemieckiej dokładności, stanowiło ich największą namiętność. Jej wstępna ocena powinna być prawidłowa. To auto było dla niego ważne. Żona i syn liczyli się dopiero w drugiej kolejności. Nie miała pewności, że zechce mantę sprzedać, ale też wcale się nie spieszyła kupować. A jak usłyszy, że chodzi o kobietę, będzie bardziej zaintrygowany, ten dziwkarz i oszust, co to mając żonę i dziecko wyrzuca zarobione pieniądze dla zaspokojenia popędów u sprzedajnych kobiet. Prymitywna osobowość. Może nawet ze skłonnościami do alkoholu. A na pewno niezrównoważony psychicznie. Łajdak i...

—Coś ty tak poczerwieniała na twarzy? Wzdrygnęła się i natychmiast opanowała.

—Mam mały problem.

—Co ty powiesz? Emma się nie odzywała?

— Przyjedzie, przyjedzie. Uważasz, że jestem niedobrą matką?

Chrząknął parę razy.

— Chyba nie najgorszą. Starasz się. Nic właściwie nie jest dość dobre, w każdym razie dla Emmy.

Pokuśtykał w ślad za Ewą w kierunku kuchni.

—Na miłość boską, tato! Bardziej się zajmujesz tą dziewczyną niż w swoim czasie mną.

—To naturalne. Poczekaj, aż sama zostaniesz babką. Wiesz, to jakby taka dodatkowa szansa, żeby za drugim razem postępować lepiej niż za pierwszym.

—Dla mnie byłeś wystarczająco dobry.

—Mimo przeprowadzki? Odwróciła się z torebką kawy w rękę.

—Oczywiście.

—Nie przypuszczałbym, że mi wybaczyłaś.

—Możliwe, że nie. Ale jak każdy człowiek masz prawo popełnić określoną liczbę błędów.

—Chyba bardziej wtedy chodziło o tę twoją przyjaciółkę. O to, że ją straciłaś. Najlepsza przyjaciółka... Jakże się ona nazywała?

Głos ojca brzmiał zupełnie niewinnie.

— Eee... May Britt.

— May Britt? Chyba nie. Jesteś pewna?

Sypała kawę do papierowego filtra wstrzymując oddech. Na szczęście ojciec był już stary i miał kłopoty z pamięcią. Mimo wszystko czuła się podle. Kłamała przecież jak z nut.

—Przyznaj się, brakuje ci Emmy tak samo jak mnie. Dlatego ostatnio tak często tu zaglądasz. Zdajesz sobie sprawę, że jeśli za dużo będzie siedzieć u Josteina, to musisz płacić alimenty?

—Coś ty! Nigdy by mu to nie przyszło do głowy.

—Ja cię tylko ostrzegam. A ta jego babka? Jak dobrze ją właściwie znasz?

—W ogóle. Nie ciekawi mnie. Blondynka, rozumiesz, z dużym biustem.

—Uważaj na nią! Taka może coś wymyślić.

—Tato! — Ewa odwróciła się gwałtownie i jęknęła. — Nie dokładaj mi nowych zmartwień! Wystarczy tych, z którymi i tak już się borykam!

Zawstydzony spuścił oczy.

—Przepraszam. Próbuję tylko wysondować, co cię gryzie.

—Dzięki, w gruncie rzeczy nic mnie nie gryzie, raczej odwrotnie. Siedz! Powinieneś trzymać nogi wysoko. Nie pilnujesz się, prawda? Dałam ci elektryczny koc, używasz go?

—Zapominam wsadzić wtyczkę do kontaktu. Jestem stary. Nie mogę o wszystkim pamiętać. A poza tym zawsze się boję, że zrobię spięcie.

—W takim razie musimy pomyśleć o automatycznym wyłączniku albo czymś podobnym.

—Dostałaś spadek czy co?

Zapadła kompletna cisza. Pierwsze krople wrzątku przeciekły przez filtr i w kuchni rozszedł się aromat kawy.

—Nie — odparła Ewa spokojnie. — Ale nie mam zamiaru beczynnie czekać, aż brak pieniędzy do reszty zniszczy mi życie.

—Ach, więc założyłaś własną mennicę! Tak sobie myślałam. — Usiadł z zadowoloną miną. — Do kawy przydałby się kieliszek likieru.

—Wiem.

—Wiesz? Wiesz, że dzisiaj jest piąty października?

— Tak. Nie zapomniałam o tej dacie i nigdy o niej nie zapomnę. Pijesz za mamę, jak cię o to prosiła.

— Nie musisz pilnować miary, chętnie wypiję więcej.

— Nigdy tego nie robię. Za dobrze cię znam. Dostał swój likier i popijali razem kawę wyglądając przez

okno. Wspólne milczenie nie sprawiało im trudności, często je dawniej ćwiczyli. Przyglądali się stodole sąsiada i klonowi okrytemu czerwonymi i żółtymi liśćmi. Oboje zauważyli, że z jednej strony zaczyna odpadać kora.

— Niedługo pewnie zetną to drzewo — odezwał się cicho ojciec. — Popatrz! Po tej stronie prawie nie ma już gałęzi.

— Za to jest piękne. Bez niego będzie tu pusto.

— To choroba, chyba rozumiesz. I tak nic by z niego nie zostało.

— Czy trzeba niszczyć potężne drzewa tylko dlatego, że przestają być nieskazitelne?

— Nie. Dlatego że to jest chore. Sąsiad zdążył już posadzić nowe. Tam, na lewo.

— Ten mały ogryzek?

— Od tego się właściwie wszystko zaczyna. Wyrośnie czasem, ale mu to zajmie jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat.

Ewa siorbała kawę i popatrywała ukradkiem na zegarek. Zapewne dawno wrócił do domu. Przeczytał jej kartkę i może przedyskutował z żoną ewentualność sprzedaży. Zresztą nie, nie zrobił tego, zdecydował sam. Niewykluczone jednak, że zadzwonił do jakiegoś kumpla i wysondował, ile powinien zażądać za dobrze utrzymaną mantę. Oby tylko nie wpadł na pomysł, żeby ją o to spytać. Nie miała zielonego pojęcia. Co najwyżej może mu powiedzieć, że się zorientuje w cenach. Przypuśćmy jednak, że pucuje teraz samochód i odkurza wnętrze. Albo też przeczytał kartkę, prychnął pogardliwie i wyrzucił do kosza. A jeśli wiatr ją wyrwał zza wycieraczki, to w ogóle do niego nie dotarła. I facet siedzi teraz przed telewizorem ze szklanką piwa w łapie i nogami na stole, a żona krząta się koło niego i uciska małego, żeby tatuś obejrzał w spokoju przynajmniej wiadomości. Możliwe też, że wybył z paczką kumpli na miasto, pograć w kręgle. Rozważała wszystkie wersje, popijając kawę. Znajdzie się tysiąc powodów, dla których nie zadzwoni. I jeden, dla którego zadzwoni: pieniądze. Okaze się, czy jest równie chciwy jak ona. Osobiście była o tym przekonana. Oprócz tego nadarzała się okazja, żeby się pozbyć przedmiotu łączącego go ze zbrodnią...

Ewa zbliżała do warg filiżankę zapatrzona w chore drzewo na dworze, kiedy nagle odezwał się telefon. Podskoczyła, aż kawa chlusnęła na brodę.

Ojciec przyjrzał się jej zdumiony.

— Co się dzieje?

—Telefon dzwoni. Odbiorę.

Pobiegła do gabinetu i przymknęła za sobą cicho drzwi. Nim drżącą ręką ujęła słuchawkę, musiała się błyskawicznie opanować. Nie wiadomo, czy to on. A nuż tylko zachorowała pomoc domowa i zawiadamia, że nie przyjdzie. Albo to Emma. Albo pomyłka.

— Liland — zgłosiła się cicho.

Przez chwilę panowało milczenie. Odezwał się niepewnym tonem, jakby w obawie że zostanie wystrychnięty na dudka. Może wietrzył niebezpieczeństwo.

—Hm, chodzi o opła mantę. Miałem się zgłosić pod ten numer. Podano mi nazwisko Liland, czy mógłbym...

—To ja. — Przez chwilę czuła się kompletnie przytłoczona. Naprawdę słyszy jego głos! — Więc jest pan zainteresowany?

—To raczej pani jest zainteresowana. Myślałem, że chodzi o mężczyznę.

—Czy to sprawi panu jakąś różnicę?

—Nie, oczywiście, że nie. O ile tylko pani wie, o co chodzi.

—O mój Boże! — Zaśmiała się krótko. — O cóż może chodzić, jak nie o pieniądze? Prawda? Wie pan, prawie wszystko jest na sprzedaż, byle cena była odpowiednio wysoka.

Przybrała pewny siebie ton. Nawet jej to łatwo przyszło.

— Zgoda, ale naprawdę musi być nie byle jaka.

— I będzie, jeśli samochód jest tak dobry, na jaki wygląda.

Serce tłuło się jej pod czarnym swetrem. Mówił jakby obrażonym tonem. Czuła, że już go nie znosi.

—Samochód jest ekstra. Nie licząc leciutkiego wycieku oleju.

—W porządku. To się chyba da naprawić. Mogę obejrzeć?

—Odświeżyłem wóz trochę z wierzchu i od środka. Ale trzeba się nim najpierw przejechać.

— Nie zamierzałam go kupować bez próbnej jazdy.

— Wcale jeszcze nie wiem, czy go sprzedam. Zamilkli oboje. Przysłuchiwała się wrogości, drgającej

w kablach pomiędzy nimi, i nie do końca rozumiała, skąd się ona bierze, jakby się od dawna nienawidzili.

— Jest teraz dziesięć po siódmej. Muszę jeszcze załatwić parę spraw. Czy może pani przyjechać do centrum na... wpół do dziesiątej, powiedzmy? Mieszka pani w mieście?

— Tak.

— Powiedzmy... przy dworcu autobusowym?

— W porządku. Wpół do dziesiątej. Rozpoznam pana po samochodzie. Będę czekała przy kiosku.

Odłożył słuchawkę, a Ewa wsłuchiwała się jeszcze przez chwilę w dźwięk sygnału. Ojciec nawoływał z kuchni. Patrzyła tępo w tubkę i zdumiewała się obojętnością tego mężczyzny. Jak gdyby nigdy nic. I tak faktycznie to odczuwał. Dla niego sprawa się skończyła. Było, minęło, szlus. Teraz zajmowały go pieniądze. Ją zresztą także. Wzdrygnęła się i wyszła. Siadła za stołem. Wydarzenia nabierały tempa, toczyły się niemal za przędko, musiała się zastanowić... Serce jednak biło nadal, a policzki płonęły.

— No? — spytał zaciekawiony ojciec — To nie do mnie?

— Ktoś się pomylił.

— Ach tak? Dość długo, moim zdaniem, trwało wyjaśnianie tej pomyłki.

— Facet był gadatliwy. Miły zresztą. Spytał, czybym nie kupiła od niego samochodu.

— Też coś! Tę dziedzinę lepiej pozostaw innym. A jak będziesz wymieniała auto, poproś Josteina o pomoc.

— Nie zapomnę.

Nalała sobie następną kawę i znowu zapatrzyła się w klon. Szrama na korze wyglądała naprawdę paskudnie. Przypominała w gruncie rzeczy wielką, bolesną ranę.

*

Czekała w ciemnościach. Wiatr nie był już umiarkowany, nadlatywał nad dworzec autobusowy nieobliczalnymi podmuchami, a koński ogon obijał się o jej zlodowaciałe z zimna uszy. Tym razem nie ogrzewały ich roz-

puszczone włosy. Myśli Ewy nawracały krętymi ścieżkami do czasów, kiedy obie z Mają nosiły jeszcze warkoczyki. Przed oczami pojawił się nagle obraz Mai, miały wtedy może po jedenaście lat, w amerykańskim kostiumie kąpielowym, którym się wyjątkowo pyszniła. Kupił go jej wujek. Wujek wielorybnik, który wiecznie przywoził atrakcyjne prezenty. Czasami coś z tych cudów skapywało także Ewie, na przykład pudełka czekoladek czy amerykańska guma do żucia w listkach. Kostium kąpielowy bił po oczach czerwienią i marszczył się sprytnie na całej powierzchni. Wzdłuż i wszerz miał po-wszywane cienkie gumki, tak że materiał tworzył drobniutkie pęcherzyki. Takim kostiumem nie mogła się poszczycić żadna dziewczyna. Napęniał się wodą i zwiększał objętość, toteż kiedy Maja wychodziła z jeziora, przypominała olbrzymią malinę. Ta właśnie chwila wróciła we wspomnieniach. Maja wychodzi z wody, mokre czarne włosy wydają się jeszcze czarniejsze, a kostium najpiękniejszy na całej plaży. Raz po raz, jak na cofanej taśmie, wychodzi z wody, białe zęby lśnią w szerokim uśmiechu... bo nie zna swojej przyszłości i nie wie, jak się to skończy.

Miliony leżą bezpiecznie ukryte w ojcowej piwnicy. Prawdę mówiąc, po prostu cisnęła kubek w kąt, żeby wyglądał równie bezwartościowo jak w chatce w górach. Ojciec nigdy tam nie schodził, stopnie były dla niego zbyt niewygodne. Nikt inny nie miał tam żadnego interesu, co najwyżej sprzątaczką, a i to wątpliwe. Zgodnie z instrukcją pomocy domowe nie tykały piwnic i strychów.

Dworzec autobusowy należał do najbrzydszych budynków w mieście. Szary blok betonu podziurawiony oknami. Zaparkowała samochód z tyłu, od strony torów kolejowych, a teraz, opierając się o kiosk, popatrywała w kierunku mostu, którym, jak wiedziała, nadjedzie. Skręci w prawo, zniknie na moment za bankiem i pojawi się przed kioskiem z gazetami. Nie wyjdzie z auta, żeby się przywitać, nie ten typ. Po prostu pochyli się do przodu i spojrzy przez przednią szybę, marszcząc nos i mrużąc oczy, najwyżej kiwnie lekko głową, żeby wsiadła. Będzie zmuszona zająć miejsce obok niego, odgradzona za ledwie skrzynią biegów. W samochodzie bywa strasznie ciasno, pomyślała. Tak ciasno, że poczuje jego zapach, a jego szczekliwy, nieprzyjemny głos zabrzmie tuż nad jej lewym uchem. Kaszlnęła ner-

wowo, formułując w myślach pierwsze zdanie. Czy takie, żeby mu od razu ścięło krew w żyłach? Odrzuciła ten pomysł, śledząc wzrokiem raz po raz śmigające z wizgiem po moście samochody. Byle się szybciej wyrwać z tego smaganego wichrem miasta. Każdy miał przed sobą jakiś cel. W taki wieczór jak dziś nikt się nie włóczył dla przyjemności. Autobusy poburkiwały zachęcająco w pobliżu garaży. Ludzie wchodzili do ich nagranych i oświetlonych brzuchów. Sprawiały takie miłe wrażenie. Solidny szofer za kierownicą kiwał leniwie głową za każdym razem, gdy zabrzęczały mu w dłoni odliczone monety. Z poszarzałych już jesienną bladością twarzy spoglądały przez szyby nic nie widzące oczy. W autobusie człowiek znajdował się na terenie neutralnym, pogrążony we własnych myślach trząsł się i podskakiwał w cieple wraz z innymi. Ewa nabrała nagle ochoty, by usiąść przy jednym z okien, przejechać całą trasę i poobserwować, jak każdy z pasażerów odnajduje drzwi własnego domu, wejście do swojej bezpiecznej norki. Tymczasem marzła pod kioskiem, rozcierając dłonie w zbyt cienkich rękawiczkach, i czekała na mordercę. Gdy nagle wychynał zza rogu, wypuściła z płuc cały zapas powietrza. Od tego momentu pracowały własnym, niezależnym rytmem, jak sztuczne. Przede wszystkim należało utrzymać pełną koncentrację, nie pofolgować sobie ani na sekundę, nie przejęzyczyć się i czujnie dążyć do celu. Przystanął, wrzucił wolny bieg i wyjrzał przez boczne okno. Minę miał raczej głupawą i odrobinę sceptyczną. Otworzyła drzwi i wsiadła. Natychmiast zacisnął dłoń na dźwigni, jakby w proteście, jakby się z nikim nie chciał dzielić tą zabawką, niemal ostrzegawczo. Dopiero potem skinął lekko głową. Zapięła pas.

— Niech pan jedzie. Później się przesiądziemy.

Nie odpowiedział. Wrzucił bieg i ruszył w poprzek oznaczonych stanowisk dla autobusów. Czują, że na coś czeka, jakby to ona powinna się pierwsza odezwać, bo do niej należy inicjatywa. To ona ma ochotę na nowe auto.

Do diabła, nie jestem tchórzem, pomyślała. Uśmiechnęła się słodko.

— Nie boi się pan zabierać pasażerów z ulicy? Dwudziesta pierwsza czterdzieści, piąty października.

Kartoteka Ewy była czysta jak łąka.

*

Niedbale trzymał kierownicę lewą ręką. Z prawej nie wypuszczał krótkiej, sportowej dźwigni biegów. Przyglądała się tym małym, szerokim, zupełnie pozbawionym owłosienia dłoniom o grubych palcach. Lewa, na kierownicy, była rozluźniona. Prawa, na dźwigni, przypominała poszarzałe szpony. Podobne widziała w książeczkach Emmy o ślepych i bezbarwnych podwodnych stworach. Krótkie i grube uda groziły popękaniem szwów w wąskich dzinsach. Z rozpiętej przyciasnej skórzanej kurtki ze ściągaczami z dzianiny wylewał się brzuch wielkości piątego miesiąca ciąży.

—Wiec postanowiła pani sprawić sobie mantę?—zagaił Einarsson, kiwając się w tył i w przód na siedzeniu.

—Jestem trochę sentymentalna. Miałam już kiedyś ten typ i musiałam go sprzedać. Do dziś się z tym nie mogę pogodzić.

Siedzę sobie jak gdyby nigdy nic obok tego faceta, pomyślała zaskoczona, i prowadzę pogaduszki.

— A czym pani teraz jeździ?

— Starą asconą—uśmiechnęła się w odpowiedzi.—Nie ma porównania.

— Faktycznie.

Znajdowali się w połowie wiaduktu i mrugnął lewym kierunkowskazem, sygnalizując skręt w główną ulicę miasta.

— Niech pan jedzie na Fossen — poleciała. — Jest tam kilka prostych odcinków, na których się można rozpędzić.

— O! Lubimy dawać gaz do dechy?

Zarżał śmiechem i znowu kiwnął się w tył i w przód. To niemal dziecinne zachowanie sprawiało, że wydawał się tak nieinteligentny i prymitywny, jak go zapamiętała. W porównaniu z nim czuła się staro, choć prawdopodobnie byli w jednym wieku. Może miał kilka lat mniej. Mimo zmiany pozycji okrągły brzuch, widać twardy jak kamień, ani drgnął. Każda mijana latarnia uliczna wydobywała zmroku bladą, prawie nieruchomą twarz bez wyrazu.

— Dojadę do lotniska, a pani będzie mogła wrócić. Wystarczy?

— Tak, naturalnie.

Poruszył palcami prawej ręki, żeby przewietrzyć spoconą dłoń, i przyspieszył. Kępna sylwetka w przyciasnym ubraniu przypominała dobrze ubitą pasztetową. Z pewnością był o wiele silniejszy od niej, silniejszy też od Mai. No i siedział na niej wtedy. Próbowala sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby Maja była szybsza i zdołała dźgnąć go nożem. Obie by się pewnie zastanawiały, co zrobić z ciałem. W gruncie rzeczy sprawy przecież mogły przyjąć taki obrót. Jakie to dziwne. Życiem rządzą przypadki.

— Tak dla pani informacji, to jest wersja GSI.

—Bierze mnie pan za kompletnie zieloną?

—Nie, skąd, po prostu mówię — mruknął w odpowiedzi. — W każdym razie daję głowę, że wózka nie zajeździłem. Osiąga setkę w dziesięć sekund. Może z niego pani wydusić nawet dwieście na godzinę, jeśli starczy pani odwagi. Kobiety zresztą dziwnie prowadzą — kiwnął się po swemu — zostawiają decyzję samochodowi. Niby tylko siedzą i pozwalają się wieźć.

—Ta prędkość mi odpowiada. Siedzenia też są wygodne — dodała.

—Recaro.

—Szyberdach ma elektryczne sterowanie?

—Nie. Musi pani obsługiwać ręcznie. Dużo korzystniej, elektryczne szybciej się psują. Cholernie droga naprawa. Pojemność bagażnika czterysta dziewięćdziesiąt litrów, oświetlany. Pomieści w razie potrzeby wózek dziecięcy i tego typu rzeczy.

—Hm, dzięki, że mnie pan ocenia na tak młody wiek. Dużo pali?

—Nie, skądże, przeciętnie. Sześć do dziesięciu litrów, tyle mniej więcej musi pani liczyć.

—Od dawna już mam na niego oko — wyrwało się jej.

—O! To ci dopiero! — Nagle stał się nieufny.

—Musiałam najpierw zebrać pieniądze.

—Pytanie, czy pani starczy.

—Na pewno.

—Nie interesuje pani cena?

—Tak daleko nie doszłam. Jak ustalę odpowiednią, to się pan zgodzi.

—Rany! Mówi pani jak szef mafii.

—No!

—Właściwie wcale go nie chcę sprzedawać.

—Być może, ale jak wszyscy lubi pan pieniążki, więc dojdziemy do porozumienia.

Poprawiła się na siedzeniu. Nóż uwierał ją w udo. Do diabła, przecież nie jestem tchórzem, przypomniała sobie.

—A ta pani cena... — odchrząknął — byłaby jakiego rzędu?

—Chciałby pan wiedzieć! Najpierw się nim przejadę, a potem zajrzę mu do brzucha i pod ogon, i to przy świetle dziennym. Oczywiście chcę też mieć opinię rzeczoznawcy.

— To chce pani kupić tę mantę czy nie?

— Wydawało mi się, że to pan nie chciał jej sprzedać? W aucie zapadła cisza. Ciepło i wilgoć zasnuły szyby

parą. Włączył nawiew. Spod budowanego nowego mostu kolejowego błyskały nieliczne płomienie palników acetylenowych. Sznur samochodów rzednął. Zbliżali się do ostatnich latarni ulicznych. Na rondzie Einarsson skręcił w lewo i wspiał się na wzniesienie po południowej stronie. Rzeka była tu spokojniejsza, choć nurt miała dalej silny. Po kilku minutach milczenia skręcił nagle w prawo. Po lewej rozciągała się płyta lotniska. Wjechał powoli na muldowatą polną drogę, minął grupkę drzew i zatrzymał się na otwartym terenie tuż nad rzeką. Ewa nie była zachwycona. Za daleko od ludzi. Silnik wciąż pracował, mruczał cicho i uspokajająco. Samochód był bez wątpienia w dobrym stanie.

—Pierwszorzędne miejsce na ryby — rzucił, zaciągając hamulec.

—Dziewięćdziesiąt dwa tysiące na liczniku? — zauważyła. — Tylko tyle? Rozumiem, że go pan nie cofał?

—Nie, do cholery! Co pani taka podejrzliwa!

—Po prostu przebieg wydaje mi się bardzo mały. To jest typowo męski samochód, a wy, panowie, lubicie dużo jeździć. Moja ascona, rocznik osiemdziesiąt dwa, ma na liczniku sto sześćdziesiąt tysięcy.

—Wobec tego rzeczywiście potrzebuje pani czegoś nowego. To co, zaglądamy mu w gary?

—Ciemno choć oko wykol!

—Nie szkodzi, mam latarkę.

Zgasił silnik i wygramolił się z samochodu. Ewa zebrała się w sobie i otworzyła drzwi. Potężne uderzenie wiatru wyrwało jej klamkę z ręki.

— Psiakrew! Co za pogoda!

— Jesień. — Podniósł i zablokował maskę. — Od razu mówię, że myłem mu dzisiaj silnik, ale i tak by tam pani nic nie znalazła.

Stała obok niego i zajrzała do błyszczącego mechanizmu.

—Rany! Lśni jak łyżki po prababce!

—Nie?

Odwrócił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Brakowało mu jednego kła.

—Porządna robota, te ople. Cholernie wygodne do dłubania.

—Możliwe. Nie będę się w to sama bawić.

—No jasne. Mam parę części. Mogę je pani odstąpić, jeżeli z tego coś wyjdzie.

—A co pan sobie kupi w miejsce tego?

—Nie wiem jeszcze, ale ciągnie mnie do bmw. Pożyjemy, zobaczymy... tę pani propozycję nie do odrzucenia.

Pochylił się znowu. Ewa patrzyła na jego pośladki w opiętych dżinsach. Wyglądał niechlujnie. Między spodniami a kurtką świecił szeroki pas gołej spoconej skóry, bladej jak niewypieczony bochenek chleba.

— Ten wyciek oleju... chyba go znalazłem. Wystarczy jedna uszczelka. Trzydzieści, czterdzieści koron. Na pewno mam taką w domu.

Ewa nie zareagowała. Wpatrywała się w jego plecy, pasek bladej skóry i kępki jasnych włosów. Z tyłu głowy miał łysy placek. Zapomniała, co ma odpowiedzieć. W ciszy nasłuchiwała monotonnego szumu rzeki. Nieszczęsny kierowca, pomyślała, pewnie dalej siedzi na przesłuchaniu. Nie chce już rozpuszczalnej kawy i męczy się ze swoim brakiem alibi. Nie zawsze ma się przecież alibi albo ma się takie, którego lepiej nie zdradzać. Może odwiedził wtedy kochankę i jeśli by to wyjawił, rozpadłoby się jego małżeństwo? O ile już się nie rozpadło. A co by sobie pomyśleli sąsiedzi? Wnuki musiałyby znaleźć jakąś odpowiedź na zaczepki wszystkich smarka-

czy w szkole, gdyby się rozeszła plotka, że to ich dziadek prawdopodobnie zabił dziwkę z Tordenskioldsgate. A gdyby tak miał słabe serce i zmarł na zawał podczas przesłuchania? Albo w ogóle nie miał kochanki, tylko mu się marzyła? Może po prostu jeździł sobie po mieście, żeby się wyrwać z domu, pobyć trochę sam? Zatrzymał się przy budce z kiełbaskami lub spacerował nad rzeką i wdychał świeże powietrze? I nikt nie chciał w to uwierzyć, bo dorośli mężczyźni w podeszłym wieku nie włączają się bez celu i sensu samochodem po mieście wieczorową porą, chyba że są przestępcami na tle seksualnym albo mają kochanki. Niech pan nas nie czaruje tą budką z kiełbaskami, nie nabierzemy się na ten numer. Niech pan wymyśli coś lepszego. Pytamy po raz ostami: kiedy był pan u Marii Durban?

— Niech pani trzyma.

Wyprostował się i wcisnął jej do ręki latarkę. Snop światła omiółł trawę.

— Albo ja poświecę, a pani popatrzy.

— Nie, dziękuję — wyjąkała. — To nie jest konieczne. Wygląda w porządku. Chciałam powiedzieć: wierzę panu. Kupno samochodu to przecież kwestia zaufania.

— Nie pogniewam się, jak pani tu czy tam zajrzy. Przekona się pani, że naprawdę jest w dobrym stanie. Nikt chyba nie dłubie przy samochodzie tyle co ja. A przedtem miał tylko jednego właściciela. Nie dam nikomu kierownicy do ręki. Żona nie ma prawa jazdy. Więc powiadam, że ta pani propozycja musi być cholernie dobra. I zanim podpiszemy umowę, chcę, żeby pani obejrzała każdą śrubkę, żeby mi pani potem nie łąziła za tyłkiem i nie narzekała.

— Nie jestem idiotką — warknęła. — A jeśli chodzi o ten samochód, to myślę, że mogę panu zaufać.

— I nie zawiedzie się pani. Baby nie zawsze mają równo pod sufitem i tylko dlatego o tym wspomniałem. Zdarza się, że... chowają w zanadrzu niemiłe niespodzianki, że się tak wyrażę.

Nóż, przypomniała sobie. Pociągnął nosem, aż furknęło.

— Muszę się tylko upewnić, że umie pani uczciwie handlować.

Zadrzała. Podniosła latarkę i oświetliła mu twarz.

— Umiem. Płacę i dostaję właściwy towar. Czy to zresztą nie dziwne, że za pieniądze można kupić wszystko?

— Jeszcze nie usłyszałem oferty.

— Usłyszysz pan po opinii rzeczoznawcy.

— Zdaje się, że pani mówiła coś o zaufaniu.

— Tak. Tylko w odniesieniu do samochodu. Parsknął pogardliwie.

— Co mi tu pani, do cholery, opowiada?

— Niech się pan sam domyśli.

Fala na rzece spiętrzyła się w łuk, stęknęła i opadła. Potrząsnął z niedowierzaniem głową i jeszcze raz pochylił się nad silnikiem.

— Cholerne babsko — mruzczał pod nosem. — Wyciąga spokojnego człowieka z ciepłego garażu na takie piekielne wietrzysko, a potem gada głupoty.

— Słucham?

Ewa czuła, jak ziemia ugina się jej pod stopami. Straciła trochę pewności siebie, jakby ją ogarnęło zmęczenie. A może jest nienormalna? Musiała się oprzeć o auto. Stała po lewej stronie, tuż przy pręcie blokującym maskę.

— Nic takiego. Mówię po prostu — odburknął, nie podnosząc się z nad silnika — że to pani chciała kupić samochód. Przyjechałem, jak się umówiliśmy. Więc, do cholery, nie rozumiem, dlaczego się pani tak denerwuje.

— Ja się denerwuję? Pan to nazywa zdenerwowaniem? Widziałam już ludzi w gorszym stanie, niech mi pan wierzy! Widziałam, jak ludzie wariowali z powodu byle czego!

Obrócił się ku niej i przyjrzał nieufnie.

— Jezusie! Schizofreniczka z pani czy co? Znowu zajrzał do silnika.

Ewa wciągnęła powietrze i poczuła, że się w niej gotuje. Co za ulga! Wzburzenie i wściekłość narastały błyskawicznie, rozlewały się jak gorąca lawa, torowały sobie drogę gdzieś od brzucha w górę ku klatce piersiowej i dalej ku ramionom. Zaczęła gwałtownie gestykulować w ciemnościach i nagle uderzyła w coś, co wydało głośny zgrzyt. Pręt podtrzymujący maskę puścił. Ciężka metalowa pokrywa opadła z hukiem, zostawiając wystające na zewnątrz biodra i nogi. Reszta zniknęła.

Odskoczyła z krzykiem. Spod maski dochodziły jakieś gardłowe pomruki i pojedyncze przekleństwa. Przerazona patrzyła, jak ciężka blacha podnosi się leciutko, opada i znowu podnosi. Serce biło jej tak mocno, że chyba musiał to słyszeć. Wzbudziła w nim gniew, dokładnie tak samo jak Maja. Za kilka sekund się uwolni i rzuci na nią w ślepym szale, z nadludzką siłą. Dlatego przysunęła się trochę bliżej, wymacała kieszeń na udzie, wyciągnęła nóż.

— Do wszystkich diabłów!

Chciał się wyprostować, obrócić, ale Ewa podskoczyła do błotnika i całym ciężarem ciała rzuciła się na maskę. Krzyknął głucho, jakby z wnętrza puszk.

—Do diabła! Co pani robi?!

—Tracę rozum! — odkrzyknęła. Głos jej się załamał.

—Wariatka!

—To ty jesteś wariat!

—Czego ode mnie chcesz, do cholery! Ewa odetchnęła głęboko i krzyknęła:

—Dowiedzieć się, dlaczego Maja musiała zginąć. Zapadła śmiertelna cisza. Próbował się ruszyć, ale nie zdołał nawet drgnąć. Słyszała jego przyspieszony oddech.

—Skąd, u diabła...

—Chciałbyś wiedzieć!

Przestał się wyrywać, dyszał z twarzą wciśniętą w silnik jak zgoniony pies.

— To się da wytłumaczyć — zadudnił. — To był nieszczęśliwy wypadek!

—Nieprawda!

—Cholera, miała nóż!

Nagle zapał się tak mocno, że maska podskoczyła, a Ewa ześlizgnęła się na trawę. Nie puściła jednak noża. Ujrzała zaciśnięte pięści, które dusiły Maję.

— Ja też mam!

Poderwała się i rzuciła na samochód. Przygniotła go znowu. Pierwszy cios trafił w bok. Ostrze weszło łatwo, jak w świeży chleb. Maski unieruchomiła go jak mysz w pułapce. Wyciągnęła nóż i coś ciepłego pociekło po rękawiczce. Nie krzyknął, tylko jakby zdziwiony cicho jęknął. Chciał się znowu zaprzeć, nawet uwolnił szarpnięciem jedną rękę, gdy drugi cios wyładował w krzyżu. Poczula, że ostrze natrafiana opór, jakby dotarła do kości. Musiała mocno szarpnąć, żeby je tym razem wyjąć. I właśnie wtedy ugięły się pod nim kolana, osunął się niżej, a ona nie mogła przestać, bo jeszcze się ruszał, pojękiwał, musiała go uciszyć, pozbyć się tego wstrętnego dźwięku. Po chwili złapała rytm i wbijała nóż raz za razem, to w plecy, to w bok, czasem w metal samochodu, w atrapę lub w reflektor. Wreszcie dotarło do niej, że on się już nie rusza, jest bezwładny jak świnia na haku.

Leżała na czymś mokrym i zimnym. Przewróciła się na brzuch. Wokół panowała cisza, jedynie rzeka szumiała jak przedtem, całkowicie obojętna. Ewa ze zdziwieniem poczuła, że całe jej ciało ogarnia powoli paraliż. Nie mogła uruchomić żadnego mięśnia, nawet palców. Miała nadzieję, że ktoś ją tu szybko znajdzie. Leżała na zimnej i mokrej ziemi, zaczęła marznąć.

*

Uniosła głowę i na wysokości oczu dojrzała biało--granatowy sportowy but. Zerknęła wyżej, wzdłuż nogi. Co za głupi widok. Jakby facet zasnął podczas sprawdzania silnika. Poza tym dziwne, że nic się nie działo. Nikt nie nadbiegał w pośpiechu, nie wyły syreny... tylko oni we dwoje, sami w ciemnościach nocy.

Nikt ich nie widział. Nikt nie wiedział, dokąd pojechali, pewnie w ogóle że są razem.

Podniosła się z wysiłkiem, zachwiała, obmacała lepkie i mokre ubranie. Od samochodu do rzeki było jakieś dziesięć, dwanaście metrów. Mógł ważyć z siedemdziesiąt kilo, żaden kolos. Ona sama — sześćdziesiąt. Powinno się udać. Jeśli ciało podryfuje trochę dłużej w dół rzeki, zanim je wyłowią, i jeśli usunie samochód, to nikt nie znajdzie miejsca, gdzie został zabity i gdzie na pewno roило się od śladów.

Przysłuchiwała się chwilę własnym myślom, zaskoczona ich logiką, a potem podeszła do auta. Ostrożnie podniosła maskę i na nowo ją zablokowała. Nawet nie drgnął. Musiała go więc dotknąć, chwycić za oślizgłą kurtkę z wielkimi plamami krwi. Przewrócił się, bezwładnie jak worek, na plecy u jej stóp. Natychmiast się cofnęła. Nagle przyszło jej do głowy, żeby wyjąć mu z kieszeni portfel. Jakby ktoś kiedykolwiek wpadł na pomysł, żeby identyfikować tego typu. Śmieszne. Potem ujęła go pod ramiona, obejrzała się w kierunku rzeki i zaczęła ciągnąć. Był cięższy, niż jej się zdawało. Krótkimi szarpnięciami rozłożonych nóg ślizgał się po mokrej trawie. Dwa kroki i odpoczynek. Dwa kroki i odpoczynek. W ten sposób zbliżała się powoli do brzegu. Stała na dłuższą chwilę, przyjrzała się jego pobladłej łysinie i ruszyła dalej. Wreszcie złożyła go na ziemi głową w wodzie. Ostrożnie zanurzyła jedną stopę. Płytko. Posunęła się kilka kroków dalej, poślizgnęła na mokrych kamieniach, ale wciąż brodziła. Przez brzeg kaloszy wlał się lodowaty strumień wody. Mimo to podeszła jeszcze trochę i zatrzymała się na głębokości powyżej kolan. Wróciła i, chwyciwszy go znowu, pociągnęła w kierunku bystrego nurtu. Wkrótce trup zaczął płynąć, więc jej ulżyło. Szła, póki prąd rzeki nie otarł się niebezpiecznie o uda. Wtedy go przewróciła na brzuch. Woda zachlupotała, zahustał się kilka razy i z dużą prędkością ruszył w dół. Widać było tylko jasną plamę tyłu głowy na tle czarnej rzeki. Stała w wodzie prawie do bioder i jak zaczarowana nie mogła oderwać wzroku od ciała. Nagle stało się coś dziwnego. Jedna stopa uniosła się w górę, natomiast głowa zniknęła pod wodą. Wyglądało, jakby nurkował. Poprzez równomierny szum rzeki dobiegł ją lekki syk. Ciało zniknęło. Czekwała, ale nie wypłynęło ponownie, pojawiały się tylko kolejne skrawki białej piany na wzburzonych, krótkich falach. Powoli wróciła na brzeg, spojrziała za siebie jeszcze raz i podeszła do samochodu. Opuściła cicho maskę. Zabrała z ziemi latarkę i portfel, po czym otworzyła bagażnik. Panował tam nieskazitelny porządek. Rzucił się jej w oczy zielony nylonowy kombinezon roboczy. Naciągnęła go na ubranie. Przez cały czas ani na chwilę nie zdjęła rękawiczek. Siadła za kierownicą. Wtem wyskoczyła z auta i poszukała czegoś gorączkowo w trawie. Odnalazła pochwę noża tuż przed maską i wsadziła ją do kieszeni. Szosą w pobliżu prze-

jechało kilka samochodów, toteż odczekała kilka sekund, nim włączyła światła. Gdy znowu wszystko ucichło, wrzuciła bieg i powoli minęła grupkę drzew. Zwiększyła do maksimum ogrzewanie i wyjechała na szosę. Stopy wydawały się dwoma bryłkami lodu. Może go znajdą, jak tylko się rozjaśni? A może zaczepił o coś i zatonał? Na to wyglądało. Jakby ubranie albo jedna ręka zaczepiły o coś, co wystawało z dna, na przykład o konary złamanego drzewa, które wpadło do wody. Może tam już zostanie kołyszany falami, póki ryby i nurt nie oczyszczą szkieletu do białych kości? Manta nieźle się prowadzi, pomyślała, utrzymując stałą prędkość w drodze powrotnej do miasta. Przy każdym napotkanym samochodzie wstrzymywała dech, jakby przez szybę można było dostrzec, co się wydarzyło. Za mostem skręciła na autostradę w kierunku na Hovland i wysypisko śmieci. Tam zostawi samochód. Znajdą go szybko, pewnie już następnego dnia. Nie ma sensu ukrywać czegoś takiego na wieczność. Ale wtedy skoncentrują się na śmieciach i zmarnują masę czasu. Tymczasem on popłynie daleko, nawet do morza, i fale wyrzucą go na brzeg w zupełnie innym miejscu, w innym mieście, więc znowu rozpocznie się poszukiwanie nie tam, gdzie trzeba. A czas będzie mijał i pokrywał wszystko szarym kurzem.

*

Sejer wstał i podszedł do okna.

Była już późna noc. Poszukał na niebie gwiazd, lecz żadnej nie dojrzał. Za jasno o tej porze roku. Często się w takich chwilach łapał na podejrzeniu, że zniknęły na zawsze, że opuściły Ziemię, żeby świecić nad zupełnie inną planetą. Robiło mu się wtedy smutno. Bez gwiazd pozbawiony był poczucia bezpieczeństwa, jakby zniknął dach nad światem. A niebo było bezkresne.

Potrząsnął głową, zdegustowany własnymi myślami.

Ewa wyjęła z paczki ostatniego papierosa. Wyglądała na opanowaną, jakby jej ulżyło.

— Kiedy się pan domyślił, że to ja? Jeszcze raz potrząsnął głową.

— Nie domyśliłem się. Przypuszczałem, że było was dwoje, a pani po prostu zapłacono za milczenie. Naprawdę nie rozumiałem, co pani zawinił Einarsson.

Ciągle patrzył w okno.

— Ale teraz wiem — mruknął.

Jej twarz była spokojna, otwarta, nigdy jej takiej nie widział. Mimo opuchniętej wargi i rany na brodzie Ewa była piękna.

— Nie uważał pan, że wyglądam na morderczynię? Siadł na biurku.

— Nikt nie wygląda na mordercę.

— Nie miałam zamiaru go pozbawiać życia. Nóż wzięłam ze sobą, bo się bałam. A teraz nikt mi nie uwierzy.

— Niech nam pani da szansę.

— To była samoobrona — powiedziała. — Musiałam być agresywna, zaatakować. On by mnie zabił. I pan to wie.

Nie kontynuował tego tematu.

— Jak wyglądał ten mężczyzna, który ciągnął panią po schodach w piwnicy?

— Ciemny, obcokrajowiec. Wątlej budowy, niemal chudy. Ale mówił po norwesku.

— Z opisu pasuje do Cordoby. Ewa drgnęła.

— Słucham?

— Nazywa się Cordoba. Mąż Marii Durban. Jean Lucas Cordoba. Niezłe nazwisko zresztą.

Ewa zaczęła się śmiać, kryjąc twarz w dłoniach.

— Owszem — zakrztusiła się. — Tak piękne, że dla niego samego warto by było wyjść za mąż, prawda?

Wytarła łzy i zaciągnęła się papierosem.

— Maja przyjmowała różne typki. Także policjantów. Wiedział pan o tym?

Sejer nie mógł się opanować i pozwolił sobie na niechętny uśmiech.

— Cóż, nie różnimy się tak bardzo od innych ludzi. Nie jesteśmy ani lepsi, ani gorsi. Niech mi pani oszczędzi nazwisk.

—Czy możecie mnie podglądać przez okienko w drzwiach? — spytała nagle.

—Tak, możemy.

Pociągnęła nosem i spojrzała na swoje dłonie. Zaczęła zdrapywać paznokciem lakier.

Nie miała nic więcej do powiedzenia. Czekala teraz, aż on załatwi resztę. Żeby mogła odpocząć, rozluźnić się i wykonywać polecenia. To jej najbardziej odpowiadało.

*

Markus Larsgard wygrzebywał się pracowicie spod pledu na kanapie. Jeśli to ktoś znajomy, będzie dzwonił do skutku, bo wie, że jest stary i powolny, że telefon stoi w gabinecie i że musi do niego przejść przez cały pokój na swoich wypełnionych wodą nogach. Jeśli to obcy, zaraz się zniecierpliwi i odłoży słuchawkę.

Niewielu obcych dzwoniło ostatnio do Markusa Larsgar-da. Czasami jakiś akwizytor, innym razem ktoś przez pomyłkę. A poza tym tylko Ewa. Podniósł się wreszcie na kanapie, a że telefon ciągle alarmował, więc widocznie to ktoś znajomy. Z grymasem bólu wstał, wspierając się o stół, i chwycił laskę. Pokuśtykał przez pokój, dziękując w duszy losowi, że ktoś w ogóle miał ochotę wykręcić jego numer i przeszkodzić w przedobiedniej drzemce. Przywłókł się do biurka i wytrwale, choć bez rezultatu próbował oprzeć laskę o blat. Spadła z hukiem na podłogę. Trochę zaskoczony usłyszał po drugiej stronie obcy głos. Adwokat. W imieniu Ewy Magnus, powiedział. Czy pan Larsgard mógłby przyjechać na komendę...

Areszt? Larsgard wymacał niecierpliwie krzesło. Musiał usiąść. Może to tylko stuknięty, jeden z tych telefonicznych terrorystów, którzy straszą ludzi. Pisali o nich w gazetach. Ale ten człowiek nie sprawia takiego wrażenia. Jest uprzejmy, nawet miły. Larsgard skoncentrował się, słuchał, wypytywał, usiłował zrozumieć, o co temu facetowi chodzi, ale bez skutku. To oczywiste nieporozumienie, sami się wprędce zorientują. Mimo wszystko, dla Ewy to potworne przeżycie. Co za straszna historia! Areszt! Musi natychmiast ruszać. Zaraz zadzwoni po taksówkę.

— Nie, panie Larsgard. Niech pan spokojnie czeka, przyślemy po pana samochód.

Więc czekał. Zapomniał odłożyć słuchawkę na widełki. Powinien przed przyjazdem samochodu przygotować jakieś ubranie, ale pomyślał, że właściwie nic go nie obchodzi, czy zmarznie, czy nie. Aresztowali Ewę, zamknęli ją w więzieniu. Może raczej powinien znaleźć coś ciepłego dla niej? Może jej tam zimno? Przez chwilę próbował rozeznac meble w pokoju, przypomnieć sobie, gdzie się co znajduje. Sprzątała przecież pomoc domowa. Może lepiej zabrać butelkę czerwonego wina? Pewnie nie pozwoli. A pieniądze? W jego słoiku był niezły zapas, jakby się nigdy nie miały skończyć, jakby się rozmnażały. Ten pomysł także odrzucił, przypomniawszy sobie, że w Tinghuset nie ma przecież kiosku. Był tam raz, tej jesieni, kiedy mu ukradli motorower, i nie zauważył żadnego. Poza tym powiedzieli, że Ewa siedzi w areszcie, więc nie wolno jej nigdzie chodzić.

Chciał się podnieść i wrócić do saloniku, ale nogi miał jak z waty, jakieś dziwne. Bywało z nimi raz lepiej, raz gorzej. Zdążył się już przyzwyczaić, a teraz w dodatku był wstrząśnięty. Posiedzi jeszcze chwilę. Może powinien zadzwonić do Josteina? Jeszcze raz spróbował wstać, ale opadł bezsilnie na krzesło i nagle zakręciło mu się w głowie. Często mu się to zdarzało, bo miał zwapnione naczynia gdzieś w tylnej części czaszki, na karku, co ograniczało dopływ krwi do mózgu. A zwapnione naczynia miał dlatego, że był stary, więc biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, sytuację należało po prostu określić jako normalną. Aczkolwiek męczącą. Zwłaszcza w tej chwili. Zawrót głowy nie ustępował. Sufit się nagle obniżył. Ściany też się niebezpiecznie przybliżały. Robiło się jakoś ciasno i powoli coraz ciemniej. Ewę aresztowano za morderstwo i przyznała się do winy. Zebrał wszystkie siły i spróbował się podnieść raz jeszcze. W ostatnim przeblysku świadomości poczuł silne uderzenie szpiczastych kolan w czoło.

*

Sejer wyglądał przez okno na policyjne garaże, nigdy nie domykana bramę, przez którą bez przerwy wnikały podejrzane indywidua z ulicy, to ją niszcząc, to kradnąc wyposażenie, i na kępki wysuszonej trawy pod płótem. Brennigenowa zasadziła tam kiedyś petunie. Teraz chwasty odniosły ostateczne zwycięstwo w walce o terytorium. Nikt nie miał czasu pielnić. W raporcie przeczytał, że aresztowana Ewa Magnus w ogóle nie spała, a także odmówiła jedzenia i picia. Nie wyglądało to dobrze. Poza tym uskarżała się, że może być obserwowana przez okienko w drzwiach i że światło pali się przez całą noc.

Powinien się przemóc i powiadomić ją o tej sprawie, ale na samą myśl odczuwał ogromną niechęć, toteż prawdziwą ulgę sprawiło mu pukanie do drzwi. Drobną zwłoką. Karlsen wetknął głowę do pokoju.

— Słyszałem, że miałaś niewąską noc! — Klapnął na krzesło przy biurku i odsunął stos papierów. — Mamy meldunek o zaginięciu.

— No? — zainteresował się Sejer.

Nowe zadanie, oto czego mu trzeba. Coś, co by mu przypominało, że to mimo wszystko jest zwyczajna robota, za którą bierze pensję i którą mógłby odłożyć do szuflady punkt czwarta... gdyby choć raz spróbował.

— Wezmę cokolwiek, byle nie dziecko.

Karlsen westchnął. On także rzucił okiem na radiowozy, jakby się chciał upewnić, że są na miejscu. Przypominali parę starych kowbojów przy stoliku w saloonie, sprawdzających, czy po okolicy nie kręcą się koiokrady.

—A zresztą, powiedziałaś już Ewie Magnus? Sejer zaprzeczył ruchem głowy.

—Robię wszystko, żeby opóźnić ten moment.

—To chyba nie ma sensu?

—Fakt, ale mam opory.

—Mogę cię wyręczyć.

— Dzięki, to należy do moich obowiązków. Albo to zrobię, albo odejdę na emeryturę. Któż to nie wrócił dziś na noc w domowe pielesze?

Karlsen wyciągnął z wewnętrznej kieszeni munduru jakiś papier, rozprostował go, przeczytał po cichu, a potem szarpnął parę razy wąsik i odchrząknął niechętnie.

— Sześćioletnia dziewczynka, Ragnhild Album. Nocowała u przyjaciółki w sąsiedztwie i dziś rano miała wrócić do domu. Dziesięć, może dwanaście minut drogi. Prowadziła różowy wózek dla lalek z płaczącym niemowlakiem. Lalka miała na imię Eliza.

— Eliza?

— Taki oserek ze smoczkiem. Jak się wyjmuje lalkę z wózka, to płacze. Są teraz bardzo modne, wszystkie dziewczynki je mają. No tak, ale ty masz przecież wnuka. To dlatego ich nie widziałeś. Ja, owszem. Płaczą jak prawdziwe niemowlęta. Wrażenie jak z Hitchcocka. Cóż... W wózku była nocna koszulka i mała saszetka ze szczoteczką do zębów i grzebieniem. Wszystko zniknęło.

—Zaginiona od...?

—Ósmej.

—Od ósmej?

Sejer rzucił okiem na zegarek. Była jedenasta.

— Dziewczynka chciała wracać od razu, jak tylko się dziś rano obudziły, a matka przyjaciółki nie zadzwoniła do niej do domu i nie poinformowała, bo sama jeszcze nie wstała. Usłyszała jedynie, że dziewczynki wstały, a potem trzask drzwi około ósmej. Mała poszła sama, to tylko kawałek. Kobieta niczego nie podejrzewała, póki matka Ragnhild nie zadzwoniła koło dziesiątej i nie poprosiła o odesłanie córki, bo miały iść na zakupy. Ale wtedy nie było już po małej ani śladu.

— Gdzie mieszka?

— Fagerlundsasen na Lundeby. Nowe osiedle w budowie. Imigranci.

Sejer bębnił palcami po podkładce na biurku z ilustracją mapy świata. Jego ręka przykrywała całą Amerykę Południową.

—Pojedziemy tam obaj.

—Wysłaliśmy już patrol.

— W takim razie najpierw porozmawiam z Ewą Magnus. Przynajmniej to będziemy mieli z głowy. Zadzwoń i powiadom rodziców, że przyjedziemy, ale bez podawania godziny.

—Tylko matkę. Ojciec wyjechał i nie mogą go złapać. — Karlsen odsunął krzesło i wstał.

—A jak ci się udały ostatnie zakupy, dostałeś te rajstopy dla żony? Karlsen zatrzymał się i zastanowił.

— Pantylinery — podpowiedział Sejer.

— Nie, Konradzie, nie kupiłem rajstop. Pantylinery to takie wkładki dla kobiet na czas niedyspozycji.

Wyszedł, a Sejer oddał się ogryzaniu paznokcia, czując w okolicach żołądka narastające zdenerwowanie.

Fatalne, kiedy sześciolatnie dziewczynki nie wracają na czas do domu. Chociaż zdawał sobie sprawę, że powodów mogło być wiele. Od rozwiedzionych ojców, chcących zademonstrować prawo do dziecka, po zbłąkane szczeniaki, które koniecznie należało przyprowadzić do domu, bądź bezmyślne starsze dzieci, które nikomu nic nie mówiąc, zabierały malucha na wycieczkę. Czasem znajdowali dzieci śpiące pod krzakiem z kciukiem w buzi. Może nie sześciolatki, ale dwu- i trzyletnie brzdące się zdarzały. Bywało, że się po prostu gubiły i kręciły w kółko godzina za godziną. Niektóre od razu zaczynały płakać i z miejsca je odnajdywali. Inne snuły się nie me ze strachu, nie budząc niczyjego zainteresowania. O ósmej rano na ulicach jest przynajmniej niewielki ruch, pomyślał i trochę się uspokoił.

Rozpiął górny guzik koszuli i wstał. Narzucił także marynarkę, jakby mundur mógł go ochronić przed tym, co miało nadejść. Poszedł w głąb korytarza. W promieniach przedpołudniowego słońca wydawał się zielonkawym i przypominał mu stare kąpielisko, gdzie uczęszczał jako chłopiec.

Cele aresztu śledczego znajdowały się na piątym piętrze. Pojechał windą. Zawsze czuł się trochę idiotycznie, stojąc beczynnym w małej puszczy, krążącej w tę i w tę, z góry na dół i z dołu do góry. Poza tym poruszała się stanowczo za szybko. Wszystko powinno trwać w pewnym sensie odpowiednio długo. Wydawało mu się, że zbyt prędko znalazł się u celu, albo lepiej, pod drzwiami celi. Przemoment chciał zwalczyć w sobie chęć

zajrzenia przez okienko, ale wnet się poddał. W otworze zobaczył, że Ewa Magnus siedzi na pryczy owinięta kocem i wpatruje się w szary skrawek nieba za oknem. Wzdrygnęła się na zgrzyt klucza w zamku.

— Nie wytrzymam tego czekania! — poskarżyła się. Pokiwał głową, jakby ją rozumiał.

— Teraz znowu czekam na tatę—mówiła dalej.— Mieli go przywieźć. Adwokat już dzwonił. Przyjadą taksówką. Nie rozumiem, dlaczego to tak długo trwa, przecież to tylko dwadzieścia pięć minut jazdy.

Sejer stał. Nie było gdzie usiąść, a obok niej na pryczy wydawało mu się zbyt intymnie.

— Musi się pani przyzwyczaić do czekania, w najbliższej przyszłości będzie go dużo.

— Ale ja nie jestem do tego przyzwyczajona! W domu cały czas się czymś zajmuję. Zazwyczaj doba ma za mało godzin, a Emma marudzi i wiecznie czegoś chce. Tutaj jest tak cicho — dodała, wytracona z równowagi.

— Niech pani przyjmie ode mnie dobrą radę. Proszę spróbować spać i jeść. Bez tego się pani załamie.

Spojrzała na niego z nagłą nieufnością.

— Jest coś, o czym powinna pani wiedzieć... Przeszedł się kilka kroków i wziął głęboki oddech.

— Dla pani sprawy, dla wyroku nie ma to prawdopodobnie znaczenia. Ale z wielu innych powodów może być trudne.

— Nic nie rozumiem.

— Z upływem czasu otrzymaliśmy kilka dokumentów z medycyny sądowej.

— I...?

— Dotyczących zarówno Marii Durban, jak i Egila Einarssona. Zostały przeprowadzone pewne badania. I dokonano dość nieprzyjemnego dla pani odkrycia.

— Niech mi pan wreszcie powie!

— Maria Durban została uduszona w wyniku przyciśnięcia przez zabójcę poduszki do jej twarzy.

—Tak, widziałam to przecież. Siedziałam obok i wszystko widziałam!

—Ale przedtem uprawiali seks. Ten fakt pozwala na podstawie wydzielin fizjologicznych zidentyfikować mordercę. I sprawa przedstawia się tak, że — wziął głęboki oddech — ten mężczyzna nie jest identyczny z Einarssonem.

Ewa wpatrywała się w Sejera. Twarz miała kompletnie bez wyrazu. Wreszcie się uśmiechnęła.

— Wygląda na to, pani Magnus — ciągnął — że zabiła pani nie tego mężczyznę.

Potrząsnęła zdecydowanie głową i jeszcze przecząco machnęła ręką. Uśmiech wciąż był widoczny, lecz powoli sztywniał w grymas.

—Przepraszam... ale jeśli chodzi o samochód, to jestem pewna. Mieliśmy z Josteinem taki sam.

—Niech pani z łaski swojej zapomni na chwilę o samochodzie. Może ma pani pod tym względem rację. Ale w takim razie nie Egil Einarsson nim przyjechał do Durban.

Nagle ogarnęły ją wątpliwości.

—Nikommu go nie pożyczał — wyjąkała.

—Mógł zrobić wyjątek. Albo ktoś go sobie pożyczył...

— To nieprawda!

— Ile pani właściwie widziała? Zaglądała pani przez wąską szparę w drzwiach. Pokój był słabo oświetlony. A czy sprawy się raczej nie miały tak, że przez większość czasu zasłaniała pani twarz rękami?

—Niech pan idzie! — wykrztusiła z trudem.

—Przykro mi — odparł łagodnie.

—Jak długo pan to wie?

—Dość długo.

—Niech pan się dowie, co się dzieje z tatą!

— Na pewno są w drodze. Może pani spróbuje odpocząć, to się pani przyda.

Nie ruszał się z miejsca, choć miał ochotę czym prędzej stąd wyjść. Opamiętał się jednak.

—Przestępstwo samo w sobie się nie zmienia — rzucił.

—O tak!

— Dla sądu będzie miało niejake znaczenie, że pani uważała go za mordercę.

—Nie! Mam nadzieję, że się mylicie!

—To się nam zdarza. Ale nie tym razem.

Przez długą chwilę siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, a potem spojrziała na niego.

—Pewnego razu, kiedy miałyśmy po trzynaście lat...

—Tak? — Sejer czekał.

— Czy myśli pan, że można umrzeć ze strachu? Wzruszył ramionami.

— Wydaje mi się, że można. Ale raczej tylko kiedy ktoś jest stary i chory na serce. Dlaczego pani pyta?

— Nic, tak sobie. Zapadła cisza.

Ewa Magnus przeciągnęła ręką po czole i zerknęła na przegub. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że jej zabrali zegarek.

— Ale jeśli to nie był Einarsson... to w takim razie kto?

— Mam to właśnie zamiar sprawdzić. Możliwe, że ktoś z kręgu jego znajomych.

— Niech pan sprawdzi, co jest z moim ojcem.

— Dobrze.

Podszedł do drzwi, otworzył je i odwrócił się do niej.

— Niech pani nie bierze sobie tak do serca tego, że w drzwiach są okienka i że przez nie zaglądamy. Używamy ich po to, by sprawdzić, czy nic złego się z wami nie dzieje. Nie jesteśmy podglądaczami.

— Tak się to odbiera.

— To niech pani naciągnie koc na głowę. Niech się pani stara pamiętać, że tutaj jest tylko jedną z wielu. Nikim specjalnym, choć się pani tak czuje. Natomiast dla ludzi poza tym gmachem staje się pani bardzo interesującą osobą, nie mam racji?

— Łatwo panu mówić!

— Odezwę się jeszcze. Zamknął drzwi i przekręcił klucz.

*

Budynek przy Rosenkrantzgate szesnaście był świeżo pomalowany i jeszcze bardziej zielony niż przedtem.

Sejer zaparkował przy garażu i już wystawił nogę z samochodu, kiedy zwrócił uwagę na chłopca przy huśtawkach. Jan Henry zwlekał chwilę, jakby czekając, a potem zbliżył się powoli.

— Myślałem, że pan już nie przyjedzie.

— Przecież obiecałem. Jak leci?

— Nie najgorzej. — Wzruszył wątlymi ramionkami.

— Mama w domu?

— No.

— I co, zabrał cię na porządną przejażdżkę motorem?

— No! Ale pański samochód lepszy. Na motorze strasznie wieje.

— Poczekaj tu na mnie, dobra? Mam coś dla ciebie. Sejer podszedł do klatki, a malec usiadł znowu na

huśtawce. Jorun Einarsson otworzyła mu ubrana wyłącznie w rajtuzy — teraz się to nazywa legginsy — i do tego obszerny sweter. Włosy miała jeszcze bardziej tlenione niż poprzednio.

— O! To pan!

Skłonił się grzecznie. Natychmiast się cofnęła i zaprosiła gestem do środka. Stał na środku salonu, odetchnął głęboko i spojrzał na nią poważnie.

— Mam właściwie tylko jedno pytanie i zaraz sobie idę. Niech się pani dobrze zastanowi nad odpowiedzią, bo to ważne.

Kiwnęła głową na znak, że rozumie.

— Wiem, że pani mąż był bardzo wymagający, gdy w grę wchodził samochód. Dbał o niego i utrzymywał pod każdym względem w porządku. Oraz bardzo niechętnie pożyczał. Zgadza się?

—Coś panu powiem! On był po prostu o niego zazdrosny. Bywało, że się z tego powodu z Egila wyśmiewali w robocie.

—Mimo wszystko... czy jednak zdarzało się, wyjątkowo, że go pożyczał? Zna pani może takie przypadki, kiedy to miało miejsce? Choćby jeden jedyny raz?

Ociągała się chwilę z odpowiedzią.

—No, owszem, bywało. Ale bardzo rzadko. Dawał go czasami jednemu kumplowi z browaru, z tej paczki, co to się trzymała razem. Chłopak nie miał samochodu.

—Zna pani jego nazwisko?

—Hm, boję się wymieniać jakieś nazwiska — odparła, jakby przeczuwając nie całkiem uchwytnie niebezpieczeństwo. — To był Peddik. Peter Fredrik.

—Ahron?

—Tak.

Sejer pokiwał z namysłem głową.

— Będę tu musiał wrócić — powiedział półgłosem. — Proszę mi wybaczyć, ale takie sprawy zabierają dużo czasu, a zostało nam do wyjaśnienia jeszcze parę szczegółów.

Einarssonowa pokiwała głową i odprowadziła go do wyjścia.

Jan Henry zerwał się na jego widok z huśtawki i podbiegł z radosną miną.

—Prędko poszło.

—Tak—powiedział zamyślony Sejer. — Muszę znaleźć teraz jednego faceta. I to biegiem. Chodź, odprowadzisz mnie do samochodu.

Otworzył bagażnik i wyjął reklamówkę Finy.

—Kombinezon roboczy. Dla ciebie. Jest trochę za duży, ale z czasem do niego dorośniesz.

—Ojej! — Jan Henry miał z zachwytu łzy w oczach. — Ile kieszeni! Niedługo będzie akurat, mogę go przecież podwinąć.

—Możesz.

—Kiedy pan znowu przyjedzie?

—Niedługo.

—Aha. Pewnie macie dużo do roboty?

—Tyle o ile. Czasami biorę sobie wolne. Może się znowu wybierzemy na jakąś wycieczkę? Chciałbyś?

Jan Henry nie odpowiedział. Wpatrywał się w wylot ulicy, gdzie ryknął potężny motor bmw.

— Jedzie Peddik. — Chłopiec machnął zrezygnowany ręką.

Sejer odwrócił się i spojrzał na mężczyznę w czarnym skórzanym stroju, który właśnie podjechał do stojaka na rowery, zatrzymał się i zdjął kask. Blondyn z przydługimi włosami i kitką na karku. Rozpiął suwak i oczom Sejera ukazał się dobrze podhodowany brzuch piwosza. W zasadzie Ahron niewiele się różnił od Einarssona. Przy gorszym świetle można ich było nawet pomylić.

Sejer obserwował go, póki tamten nie zaczął się niespokojnie wiercić na siodełku. Potem uśmiechnął się, skinął głową i odjechał.

*

— Gdzie cię nosiło?

Karlsen czekał w recepcji. Rozglądał się już dłuższy czas za samochodem Sejera. Godziny mijały, a nikt nie zadzwonił z radosną nowiną, że mała Ragnhild wróciła szczęśliwie do domu. Wciąż jej nie znaleziono. Denerwował się.

— Do Jorun Einarsson. — Sejer był zniecierpliwiony. To się nieczęsto zdarzało. — Chodź, muszę z tobą pogadać.

Kiwnęli głowami Brenningenowej i poszli w głąb korytarza.

—Trzeba natychmiast przesłuchać pewnego faceta — rzekł Sejer. — Petera Fredrika Ahrona. Jedyne z otoczenia Einarssona, który z rzadka dostępował zaszczytu pożyczania manty. Z bardzo rzadka. Pracuje w browarze. Ostatnio wydeptuje dywany u Einarssonowej. Składał zeznania pó zniknięciu Einarssona. Spotkałem go przed chwilą przed domem na Rosenkrantzgate. Wiesz co? Są do siebie dość podobni. W półmroku trudno by ich było odróżnić. Rozumiesz?

—Gdzie on teraz jest?

—Mam nadzieję, że wciąż u Einarssonowej. Sprawa Ragnhild Album musi poczekać. I tak nasi ludzie szukają małej. Weź ze sobą Skarrego i natychmiast go tu przywieźcie! Czekam.

Karlsen skinął głową i odwrócił się, ale zaraz znowu stanął.

—Słuchaj, mam dla ciebie wiadomość od adwokata Ewy Magnus.

—O co chodzi?

—Larsgard nie żyje.

—Co takiego?!

—Taksówkarz go znalazł.

—Ona już wie?

—Wysłałem do niej jedną z dziewczyn.

Sejer przymknął oczy i potrząsnął głową. Nie miał teraz czasu, żeby się dokładnie zastanowić na konsekwencjach tego faktu dla aresztantki z piątego piętra. Wszedł do pokoju przesłuchań, otworzył okno, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Uporządkował z grubszą biurko, umył pospiesznie ręce i napił się wody z tekturowego kubka. Wyciągnął szufladę z archiwum i wyjął z niej kasetę. Zawierała trzysta sześćdziesiąt minut zeznań Ewy Magnus. Włożył ją do magnetofonu na biurku, zwykłego radioodbiornika z odtwarzaczem kasetowym. Zaczął przewijać taśmę. Zatrzymywał co chwila i cofał, w końcu znalazł poszukiwany fragment, nastawił siłę głosu i wyłączył magnetofon. Potem już tylko czekał. Siedział w wygodnym obrotowym krześle i bawił się myślami. Może Ahron zdążył uciec? W takim razie jest daleko, to szybki motocykl.

Ale nie, nie uciekł. Siedział z gazetą i paczką czekoladowych cukierków na kanapie u Jorun, która stała przy desce do prasowania ze stosem świeżo upranej bielizny. Spojrzała niepewnie na dwóch umundurowanych policjantów, a potem skierowała wzrok na siedzącego mężczyznę, który zadowolony się niecierpliwym uniesieniem brwi, jakby przyszli po niego w najmniej odpowiednim momencie. Z udawaną rezygnacją podniósł się z kanapy i wyszedł za nimi z domu.

Jan Henry przyglądał się, kiedy podchodzili do radiowozu. Nie odezwał się. W gruncie rzeczy było mu obojętne, co się stanie z Peddildem.

*

—Nazywa się pan Peter Fredrik Ahron?

—Tak.

Przygotował skręta, nie spytawszy o pozwolenie.

— Urodzony siódmego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku?

—Po co to pytanie, skoro pan wie? Sejer podniósł wzrok.

—Radziłbym spuścić trochę z tonu.

—Grozi mi pan?

Sejer uśmiechnął się uspokajająco.

—Skąd. My tutaj nie grozimy. Tylko ostrzegamy. Adres?

—Tollbugata cztery. Urodzony i wychowany w Trom-S0, najmłodszy z czworga rodzeństwa. Stosunek do zasadniczej służby wojskowej: odbył. Cóż, nie ma sprawy, jestem do panów dyspozycji, ale w zasadzie powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia.

— Wobec tego powtórzmy to jeszcze raz.

Sejer nieporuszony pisał dalej. Ahron palił nerwowo, lecz nie tracił pewności siebie. Na razie. Pochylił się nad biurkiem ze zrezygnowaną miną.

— Niech mi pan poda choć jeden powód, dla którego miałbym zabić najlepszego przyjaciela?

Sejer wypuścił z rąk długopis i spojrzał na niego zdziwiony.

— Drogi panie Ahron, nikt tutaj pana o to nie podejrzewa. Nie dlatego się pan u nas znalazł. A co, myślał pan, że tu leży przyczyna?

Wpatrywał się w niego w skupieniu, toteż nie umknęło jego uwagi, że w błękitnych oczach Ahrona pojawiły się oznaki podejrzania.

—Chyba nic w tym dziwnego. Ostatnio, kiedy miałem do czynienia z policją, chodziło o Egila.

—To się pan zapędził całkiem nie w tę stronę — odparł Sejer. — Sprawa dotyczy czegoś zupełnie innego.

Cisza. Dym ze skręta wznosił się grubą, białą spiralą pod sufit. Sejer czekał.

—No? Co z panem? — ponaglił.

—Dziękuję, dobrze. A o co panu chodzi?

Sejer skrzyżował ręce na biurku i nie spuszczał z Ahrona wzroku.

—Chodzi mi o to, że pan nie pyta, w czym rzecz. Skoro sprawa nie dotyczy Einarssona.

—Nie mam zielonego pojęcia, czego dotyczy ta... sprawa.

—No właśnie. I dlatego sądziłem, że pan spyta. Ja bym tak zrobił, gdyby mnie tu ściągnęli, odrywając od rubryki sportowej w gazecie. Widać pan nie należy do ciekawskich. Wobec tego sam panu wyjaśnię. W każdym razie stopniowo. Tylko najpierw może małe pytanie: Jak się pan układa z kobietami?

—Niech się pan ich o to spyta — odparł Ahron opryskliwie.

—Hm, chyba ma pan rację. A kogo mam spytać, pana zdaniem? Dużo ich było?

Cisza. Ahron skupił się na zachowaniu aroganckiej pozy.

—Może Marię Durban? Niezły pomysł, co?

—Ma pan chore poczucie humoru.

—Niewykluczone. Niewiele nam powiedziała, kiedyśmy ją znaleźli. Czegoś się jednak dowiedzieliśmy. Zabójca zostawił wizytówkę. Rozumie pan?

Ahron oblizał wargi.

—Nie mam przy tym na myśli zwykłej wizytówki, jakie się zamawia u grafika komputerowego w setkach egzemplarzy — mówił Sejer dalej. — Mówię o indywidualnym kodzie genetycznym. Odmiennym dla każdego z czterech miliardów mieszkańców Ziemi. No, obniżmy trochę tę liczbę. Powiększony pod mikroskopem przypomina nieco współczesne malarstwo. Czerń i biel. Ale czyta pan gazety, panie Ahron, więc się pan na pewno orientuje.

—Zgaduj-zgadula. Jeśli pan zamierza przeprowadzić test, to potrzebuje pan nakazu. A tego pan nie zdobędzie. Nie jestem idiotą. Poza tym żądam adwokata. Bez adwokata nie powiem wam ani słowa więcej. Ani jednego gównianego słowa!

—W porządku. — Sejer odchylił się na krześle. — Mogę kontynuować rozmowę bez pańskiego udziału. A nakaz dotyczący przebadania krwi jest moim najmniejszym problemem. Tak dla pańskiej informacji.

Ahron palił dalej papierosa w milczeniu.

—Pierwszego października był pan „Pod Królewską Bronią” razem z kilkoma kolegami, między innymi z Ar-vesenem i Einarssonem.

—Nigdy temu nie przeczyłem.

—Kiedy opuścił pan pub?

—Chyba sam pan wie najlepiej. W końcu to wyście mnie stamtąd zabrali!

—A przedtem? Kiedy pan wziął samochód Einarssona? Kiedy to było? Koło wpół do ósmej?

—Samochód Einarssona? Pan chyba żartuje? Przecież nikomu nie pożyczął! Czysta głupota. Poza tym wypilem.

—Przedtem to panu nie przeszkadzało. Ma pan wyrok za jazdę pod wpływem alkoholu. A Jorun Einarsson twierdzi, że mąż panu jednemu pożyczął mantę. Wyjątkowo. Jako dobremu przyjacielowi, w dodatku bez auta.

Ahron zaciągnął się dwukrotnie raz za razem i wypuścił kłęb dymu.

—Nigdzie nie pojechałem. Przez cały wieczór piłem jak smok.

—Bez wątplenia. Był pan spity do nieprzytomności, według słów kierownika pubu. Niech pan nie zapomina, że on w pracy musi być trzeźwy i ma oko na gości. Obserwuje, kto przychodzi i kto wychodzi. I kiedy.

Ahron milczał.

—Więc przejechał się pan po mieście, zapewne przyjrzał nocnemu życiu i wylądował u Marii Durban, gdzie zaparkował pan samochód Einarssona na chodniku i punktualnie

o ósmej zadzwonił do drzwi. Dwa krótkie, prawda?

Cisza.

— Zapłacił pan z góry, a potem wyegzekwował opłaconą usługę. A jeszcze później... — Sejer skinął głową, wpatrując się w Ahrona, który

opuścił głowę, jakby przyglądał się z zainteresowaniem swoim kolanom.
— Później zaczął się pan z nią kłócić.

Zniżył głos.

— Ma pan zbyt gwałtowny temperament, panie Ahron. Zabił ją pan, nim się pan obejrzał. Potem wrócił pan w okamgnieniu do pubu, w nadziei że to wystarczy jako alibi i że nikt nie zauważy pańskiej chwilowej nieobecności. I dopiero potem zaczął pan pić.

Ahron potrząsnął zrezygnowany głową. Wciąż milczał.

— Mimo zamroczenia, i to, jak sędzę, niełichego, uświadomił pan sobie swój czyn i zwierzył się Einarssonowi. Może liczył pan na to, że przyjaciel zapewni panu alibi. Wy, chłopaki, zawsze ze sobą trzymaliście. A to przecież był tylko nieszczęśliwy wypadek, prawda? Pan, biedaczysko, poczuł się diabelnie oszukany i wpadł jak śliwka w kompot. Egil na pewno by to zrozumiał i dlatego próbował mu się pan zwierzyć. Oprócz tego był trzeźwy, może jako jedyny z tam obecnych, i dlatego godny zaufania.

Ahron nie trafił niedopałkiem w popielniczkę, przypuszczalnie celowo.

— W końcu chyba jednak puściły panu nerwy — ciągnął Sejer. — Głupio, bo zwrócił pan na siebie uwagę. W nocy zadzwonił do nas kierownik pubu i poprosił o odwiezienie pana do izby wytrzeźwień. Einarsson pojechał za radiowozem. Może się bał, że pan coś wypaple? Musiał pana uchronić nie tylko przed wytrzeźwialnią, ale i przed wyrokiem za morderstwo. I szczyt wszystkiego — udało mu się! Wyjątkowość tej sytuacji zapewne dotarła do pana dopiero następnego dnia, ale wtedy też, mam nadzieję, przeraził się pan, jak niewiele brakowało.

Ahron zapalił nowego skręta.

— Musiał się pan zdziwić, kiedy Einarsson zniknął — mówił dalej podkomisarz. — Zastanawiał się pan kiedyś, dlaczego zginął? Chodzi mi o to, czy pan to dokładnie przeanalizował. Zginął mianowicie, tak jak pan to wcześniej ujął, w wyniku jednego wielkiego nieporozumienia.

Nie spuszczał wzroku z Ahrona, który wciąż milczał.

—A potem zaczął pan się pokazywać u Jorun Einarsson. Wiedział pan, że jest z nami w kontakcie. Bał się pan, że Egil zdążył jej coś powiedzieć?

—Długo pan wymyślał tę historyjkę?

—Niech pan posłucha uważnie. Powiem panu coś jeszcze. Widziano pana. Mamy świadka, ale nie tego, który zaobserwował pana odjeżdżającego z miejsca zbrodni oplem Einarssona. Mamy świadka, który widział, jak pan zabija Marię Durban.

Stwierdzenie było tak zaskakujące, że Ahron musiał się uśmiechnąć.

— Zdarza się, że ludzie boją się zeznawać w charakterze świadków — ciągnął Sejer. — Bywa też, że mają powody, żeby tego nie zrobić. Dlatego wszystko trwało tak długo. Ta kobieta pojawiła się na końcu. Siedziała w przyległym pokoju na taborecie i obserwowała was przez uchylone drzwi. Właśnie się zgłosiła.

Ahron zamrugnął lekko powiekami, a potem uśmiechnął się jeszcze raz.

— Grubymi nićmi szyte, co? — Sejer pokiwał głową.

—Zgadza się, ale tym razem to nie blef. Zabił pan Marię Durban i mamy na to świadka. Brutalny, nikomu niepotrzebny mord. Brudna sprawa. — Poderwał się z krzesła i przeszedł po pokoju. — Była kobietą. Do tego drobną, obdarzoną zaledwie ułamkiem pańskiej masy mięśni. Raport medycyny sądowej podaje, że ważyła pięćdziesiąt cztery kilo i mierzyła metr pięćdziesiąt pięć centymetrów. Była naga. Leżała pod panem. A pan siedział na niej. Innymi słowy...

—Sejer opadł z powrotem na krzesło — była kompletnie bezbronna.

— Diabła tam bezbronna, miała nóż!

Krzyk odbił się echem od ścian, a potem dał się słyszeć krótki szloch.

Ahron ukrył twarz w dłoniach i próbował opanować drzenie, które go stopniowo ogarniało.

—Żądam natychmiast adwokata!

—Przyjdzie, przyjdzie...

—Już!

Sejer pochylił się nad magnetofonem i włączył taśmę. Głos Ewy Magnus brzmiał czysto i wyraźnie, niemal monotonicznie, bo była już zmęczona.

—„Wy, dziwki, jesteście chciwe jak cholera. Niech mnie diabli porwą! Patyka za pięć minut roboty. Wiesz, ile ja muszę na tego patola tyrać w browarze?”

—Rozumie pan teraz, dlaczego zginął Egil Einarsson? Byliście do siebie dość podobni. W półmroku łatwo się pomylić.

—Adwokata! — syknął Ahron.

*

Jan Henry ukrył się w garażu. Usiłował podwinąć nogawki kombinezonu, a kiedy mu się to wreszcie udało, próbował się przejrzeć w starej, pękniętej szybie samochodowej opartej o ścianę.

Emma Magnus rozglądała się z niepewną miną po pokoju gościnnym w mieszkaniu ojca, gdzie stało jej łóżko.

—Wolę spać u was — prosiła.

—Twoje łóżko się tam nie zmieści — tłumaczył zdenerwowany Jostein.

—Mogę przecież spać razem z wami — pociągnęła nosem. — Nawet na złożeniu wersalki!

Karetka odwiozła Larsgård do szpitala. Sanitariusze przeszukali szybko dom, żeby nie zamknąć w nim jakiegoś kota czy psa. Zajrzeli do każdego pomieszczenia, nawet do piwnicy, którą zalegała masa starych sprzętów, uszkodzona pralka, zgniłe jabłka i stos kubelków po farbie.

Ewa Magnus naciągnęła koc na głowę. Pod spodem było ciemno i wnet zrobiło się ciepło. Nie myślała o niczym.

Karlsen i Sejer szli w milczeniu korytarzem. Potem tylnym wyjściem wydostali się na podwórko do radiowozów. Karlsen skierował się do forda mondeo.

—Jak myślisz, z którego paragrafu będzie odpowiadać Ewa Magnus? — Zerknął spod oka na Sejera.

—Obawiam się, że z dwieście trzydziestego dziewiątego, napaść z zamiarem pozbawienia życia.

Podkomisarz westchnął ciężko. Coś go ścisnęło w żołądku. Dzieci mają takie dziwne pomysły. Zapominają o czasie. Są nieodpowiedzialne i w ich przypadku wszystko jest możliwe. Wcale nie wiadomo, czy w ogóle coś

się stało. Prawdopodobnie to drobiazg. Z taką nadzieją szli do samochodu. I jak na komendę, instynktownie obaj przyspieszyli kroku.

TLR